WICEPREMIER JACEK SASIN O KULISACH ATOMOWEJ UMOWY Z KOREAŃCZYKAMI

ROSJA SZYKUJE MIGRACYJNE UDERZENIE NA POLSKĘ I UE. ZNAMY PLAN PUTINA

DLA KOGO DZIŚ PRACUJE NAJEMNIK LESZEK MILLER?

ZMIANY W EDUKACJI DOMOWEJ. CZY SĄ POWODY DO NIEPOKOJU?

UNIA ZADECYDOWAŁA: SAMOCHÓD BĘDZIE LUKSUSEM

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 45 (519) 2022
7–13 listopada 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA PRZED 11 LISTOPADA

NIE DAMY ROZEDRZEĆ POLSKI

PRZEŁOMOWE SŁOWA O TYM, JAK BRONIĆ NAJWAŻNIEJSZYCH SPRAW W OBLICZU WOJNY, KRYZYSU, PRESJI Z BRUKSELI I BERLINA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
45
9 772544 269205

ORLEN
WITAJ
W ŚWIECIE
PIŁKARSKICH
EMOCJI
POLSKA
ORLEN
GŁÓWNY SPONSOR REPREZENTACJI

Kto gra w orkiestrze Putina?

Czy ponad pół roku od napaści Rosji na Ukrainę, w obliczu barbarzyńskiej wojny, w której Rosjanie każdego dnia bestialsko mordują cywilów, można jeszcze nie rozumieć putinowskiego zagrożenia? Okazuje się, że w polskiej rzeczywistości politycznej możliwe jest absolutnie wszystko. Można oskarżać PiS o prorosyjskość i jednocześnie krytykować za wzmacnianie polskiego bezpieczeństwa. Nie chodzi przecież o logikę, lecz antypisowką panikę.

Ruszyła budowa zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim. Rząd podjął tę decyzję w odpowiedzi na działania Rosji, która ściąga obywateli z krajów Azji i Afryki, by podjąć kolejną próbę wywołania kryzysu migracyjnego. Rok temu ten sam manewr próbowano przeprowadzić na granicy białorusko-polskiej. I choć opozycja robiła wszystko, by powstrzymać budowę muru, nieustępliwość rządu uchroniła Europę przed bardzo poważnym kryzysem, który miał być etapem wstępnym, poprzedzającym napaść na Ukrainę. Operacja Śluza się nie powiodła.

Kilka miesięcy później wszystko było już jasne. Dziś nie ma najmniejszych wątpliwości, kim są ludzie dostarczani na naszą wschodnią granicę. W paszportach mają moskiewskie pieczątki, wiadomo, że są to wyjazdy organizowane. Wiemy, że przećwiczony scenariusz ma zostać teraz rozegrany na granicy z Rosją. Sprawa jest zbyt oczywista, by zachować bierność. Stąd błyskawiczna reakcja rządu.

A opozycja? Trwa w absurdalnym opętaniu programową negacją wszystkich decyzji PiS. Prym wiedzie Janina Ochojska, która niejednokrotnie oskarżała polski rząd na forum Parlamentu Europejskiego o to, że dbał o bezpieczeństwo nie tylko polskich, ale i unijnych granic. Tym razem także nie przebierała w słowach skierowanych do szefa MON. „Czy pan i rząd PiS zostaliście pozbawieni rozumu? Wydaliście 1,6 mld zł na »zaporę« na granicy PL-BY po to, żeby mieć furtki do dalszego łamania prawa, na pushbacki, a teraz chcecie zbudować następną? Przestrzegajcie prawa i procedur. To tańsze i skuteczniejsze" – napisała na Twitterze.

Zbyt wiele, by uznać to za naiwność. Każde wystąpienie Ochojskiej jest tak dalece odległe od narodowego interesu, że trudno doszukać się w nim propolskiego myślenia. Potrafiła kwestionować najsłuszniejsze decyzje, gwarantujące bezpieczeństwo obywateli. Nie przyjmowała także do wiadomości zagrożeń podczas kolejnych etapów wojny informacyjnej. Czyich interesów bronią więc politycy opozycji? Czy możliwe, że niechęć do konserwatywnego rządu może ich aż tak mocno zaślepiać? Zwłaszcza że nie jest to postawa odosobniona. Większość polityków Koalicji Obywatelskiej na czele z Donaldem Tuskiem optowała za otwieraniem granic w stanie najwyższego zagrożenia.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że reprezentują pewien trend myślowy wszczepiony umiejętnie w szersze struktury międzynarodowe, zwłaszcza w organizacje pozarządowe. To właśnie on zaważył na dymisji szefa Fronteksu. Fabrice Leggeri, dyrektor Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej, złożył rezygnację w drugim miesiącu wojny, po tym jak współpracujący z Fronteksem eksperci stworzyli raport, w którym zarzucili mu, iż wspierał Litwę w ochronie jej granic. A przecież obowiązkiem Fronteksu była obrona obywateli Europy przed przemytnikami, przestępcami, terrorystami, nielegalnie przekraczającymi granicę. Ślad rosyjski w świadomości europejskich elit jest większy, niż nam się wydawało. Orkiestra Putina gra swój marsz. Warto obserwować, kim obstawiono poszczególne sekcje.

Marzena Nykiel

Reklama | 55/1022/F

asa.pl d585177f9f

SIECI spis treści

38 *Nie wpuszczą lisa do kurnika*
Jan Rokita

62 Bitwa o granice
Wojciech Lada

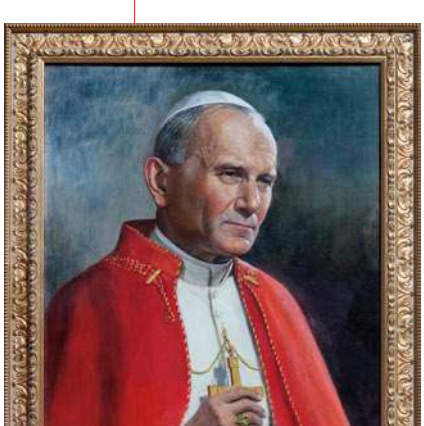

Fot. Renata Sedmakova/Shutterstock.com

68 Jan Paweł II na ławie oskarżonych
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 JEDNOLISTNI
Krzysztof Feusette

9 ZAWÓD: HEJTER
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 BIEDNY TEN NASZ GLOBUS
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 CZY POLSKI KOŚCIÓŁ TO PRZEŻYJE?
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA GOŚKI BAŃKI
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 SYMBOLIKA OPRAWCÓW
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 ROSYJSKIE WOJSKA NA POLSKIEJ GRANICY
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 Z ANDRZEJEM DUDĄ
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

28 ZATROSKANI O NIEPODLEGŁOŚĆ
Jakub Augustyn Maciejewski

31 Z JACKIEM SASINEM
rozmawia Jacek Karnowski

38 NIE WPUSZCZĄ LISA DO KURNIKA
Jan Rokita

41 NAJEMNIK MILLER
Stanisław Janecki

44 WOJNA Z PATOLOGIĄ, NIE Z RODZICAMI
Dorota Łosiewicz

47 POWSZECHNA DEMOTORYZACJA
Konrad Kołodziejski

50 Z ALVINEM GAJADHUREM
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

54 STRACH, GAZ I EGOIZM
Aleksandra Rybińska

57 CO SZYKUJE GUBERNATOR ALICHANOW?
Marek Budzisz

HISTORIA

62 BITWA O GRANICE
Wojciech Lada

66 Z GRZEGORZEM KUCHARCZYKIEM
rozmawia Wojciech Lada

OPINIE

68 JAN PAWEŁ II NA ŁAWIE OSKARŻONYCH
Grzegorz Górny

72 TYROWICZ, JASTRZĘBICA RPP – RADY POLITYKI PARTYJNEJ
Dariusz Matuszak

SIECI KULTURY

77 MISJA PRYMASA WYSZYŃSKIEGO
Jolanta Gajda-Zadworna

80 CHLEW PANIE, NIE SALON
Robert Tekieli

81 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

82 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

86 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

KUCHNIA

92 MOJE SMAKI: MIA ÖHRN
Jolanta Gajda-Zadworna

93 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

94 EUROPA CHRISTI KS. IRENEUSZA
Alina Czerniakowska

95 KAPSUŁA CZASU
Piotr Cywiński

95 GENIALNY IMPROWIZATOR O DELIKATNYM ZDROWIU
Adam Ciesielski

96 NARODOWA NIEATOMOWA
Wiktor Świetlik

96 ROMAN DMOWSKI (TESTAMENT)
Lech Makowiecki

97 KILKA WESTCHNIEŃ KAPUŚCIE POŚWIĘCONYCH
Leszek Długosz

98 ULUBIONY OFICER WERBUNKOWY
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 54/0822/F

eprasa.pl d585177f9f

LINK 4

Pierwsza stłuczka? Nie szkodzi!

Ochrona Zniżki OC już za 35 zł rocznie

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregokolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU Komunikacja na stronie www.link4.pl.

eprasa.pl d585177f9f

Sygnalista nadaje

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, który nie tak dawno stwierdził na Twitterze, że elektorat PiS jest niezwykle toksyczny kulturowo, i z tego powodu należy nie tylko PiS zdelegalizować, ale i później blokować powstanie kolejnej partii tego typu, znów błysnął. Komentując zaproszenie ***Donalda Tuska*** na debatę z Mateuszem Morawieckim (którą lider PO odrzucił), prof. Maciej Górecki stwierdził: „Odradzam jakiekolwiek debatowanie z PiS. Debata to element demokracji, a PiS to partia antydemokratyczna. Należy ją odsunąć od władzy, zdelegalizować, majątek skonfiskować, funkcjonariuszy surowo ukarać. Później, już w demokratycznym towarzystwie, będziemy sobie debatować". O demokracji prof. Górecki nie ma pojęcia, ale w bierutowskim Bloku Demokratycznym odnalazłby się doskonale.

Górecki podał także nieco szczegółów swojego planu. „Rozliczenie z PiS należy przeprowadzić w dwóch etapach. Pierwszy, szybki, to delegalizacja partii, konfiskata jej majątku, odebranie subwencji (posłowie zachowują mandat, tracąc afiliację). Drugi, bardziej żmudny, etap to indywidualne procesy konkretnych przestępców z PiS" – proponuje, dodając: „Rozmawiałem z prominentnym niemieckim dziennikarzem na temat konieczności delegalizacji PiS i dezintegracji przyszłych partii tego typu. Uznał to za oczywisty postulat, Republika Federalna postępuje tak od dekad z ruchami neofaszystowskimi". Propozycja jałowa, nic takiego się nie zdarzy, ale o jednym warto pamiętać: to PiS jest w Polsce partią wolności. Partie III RP wolności się boją.

„Gazeta Wyborcza" oburzyła się na projekt ustawy ws. ochrony dzieci przed pornografią w sieci, przygotowany przez resort rodziny oraz zespół ds. cyfryzacji. Proponowane rozwiązania zakładają, że także osoby dorosłe chcące oglądać treści pornograficzne będą musiały zdjąć nałożoną przez operatora blokadę. „W ten sposób powstanie rejestr osób, które nie wyraziły zgody na blokadę treści pornograficznych. Sam rejestr trafi do ministra właściwego ds. informatyzacji. Pojawia się pytanie, po co władzy informacja, kto porno ogląda?" – snuje czarną wizję „GW". Spustoszeniami, które niesie życiu społecznemu powszechny dostęp dzieci i młodzieży do pornografii, Czerska raczej się nie przejmuje. A powinna, bo to prawdziwe tsunami.

Tusk do debaty nie stanął. Gdyby jednak stanął, to powstaje pytanie, którą ze swoich tożsamości przedstawiłby Polakom. Ma ich wiele. Dziś jest retorycznie antyrosyjski, ale w 2010 r., gdy rządził i gdy Rosja napadła po raz pierwszy na Ukrainę, mówił tak: „Wyobraźmy sobie, gdyby w Polsce rządził Jarosław Kaczyński, który usiłowałby wymusić na państwach regionu, takich jak np. Węgrzy czy Słowacy, radykalnie antyrosyjską postawę", „Gdyby Polska szarżowała, tak jak to proponował Jarosław Kaczyński, tym bardziej stracilibyśmy szansę wpływania na wspólne zachowania, takie solidarne zachowania UE", „Dzisiaj większość państw UE nie chce żadnej awantury z Rosją". Gdyby Tusk rządził dziś, także kopiowałby politykę niemiecką, a Ukraina byłaby już opanowana przez Kreml. Zmieniając władze w 2015 r., Polacy ocalili i Polskę, i cały region.

Choć ***Stefan Niesiołowski*** zniknął z polskiej polityki i parlamentu, to jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. W programie „Politycy od kuchni" nie zawiódł. Znów polały się wiadra żółci i jadu. „Oni [politycy PiS] są jacyś nieświeży, jacyś spoceni, trudno to nawet określić. Jest paru takich, o których się nawet publicznie mówi, że z łupieżem mają problemy czy z zawiązaniem sznurówek. Oni mają jakiś taki element – są w estetycznych kategoriach obrzydliwi. Myślałem, że to zarezerwowane było dla komunistów, oni byli jacyś spasieni, mieli takie mordy kacapskie, a coś takiego jest w PiS. Ja rozpoznaję po twarzach – w 90 proc. się nie mylę, jak widzę ko-

eprasa.pl d58517719f

goś, kto popiera PiS" – przekonywał Niesiołowski. Jego przypadek potwierdza teorię, że swojego obłędu człowiek nie widzi, widzą go jedynie inni.

Zapadł wyrok w sprawie ataku zwolenników KOD na dziennikarzy „Magazynu śledczego Anity Gargas". Tak, uniewinniający. Chodzi o zdarzenie, do którego doszło na spotkaniu z ***Adamem Michnikiem*** w 2017 r. Na nagraniach widać, jak agresywni aktywiści ruszyli w stronę pracowników TVP. Operator kamery został uderzony pięścią, doszło też do uszkodzenia kamery. Co stwierdził sąd? „Prawo prasowe nie stanowi immunitetu dla dziennikarzy, nie daje im przywileju nietykalności" – uznał sędzia Maciej Szulc, dodając, że „nie ma racjonalnego uzasadnienia, dlaczego dziennikarze chcieli uzyskać informacje od Michnika na temat zdarzenia sprzed 27 lat", a także iż robili to „w gwałtowny, uciążliwy sposób". W ogóle ten pluralizm jest strasznie uciążliwy. PO chętnie by go zlikwidowała i jak widać, może liczyć w tej sprawie na wielu sędziów.

Kolejne wybryki opozycji celnie skomentował prof. Ryszard Legutko: „Tam wpompowano taką ilość chamstwa, wulgarności, schamienia, że w zasadzie nie jest możliwa jakakolwiek normalna wymiana zdań wobec tego większość tych, którzy odczuwają pewien dyskomfort czy dyzgust, woli milczeć. Odbudowanie tej sfery publicznej będzie bardzo trudne" – mówił europoseł PiS. To prawda, ale z chamstwem trzeba walczyć. Dziś obrona Polski to także walka z wulgaryzmami, agresją, przemocą. Jeśli pół narodu przechowa cywilizację, to zawsze będzie jakaś podstawa do odbudowy.

Jerzy Stuhr, który pod wpływem alkoholu potrącił w Krakowie motocyklistę, przekonywał, że zachował się, jak trzeba: gdy tylko dostrzegł zdarzenie, stanął i wspólnie z ofiarą czekał na policję. Z zeznań poszkodowanego, którego ujawnił „Fakt", wyłania się jednak inny obraz. Aktor próbował dwukrotnie uciekać oraz twierdzić, że potrącony udaje, że coś go boli. Miał też utrudniać policji zbadanie go alkomatem. „Przed skrzyżowaniem Sławomirowi G. udało się wyprzedzić lexusa. Podszedł do samochodu i powiedział kierowcy [...], że ma nagranie na kamerce, jak został potrącony, i pokaże je policji. Wtedy lexus ruszył. Sławomir G. wsiadł na motocykl i dalej go ścigał. Ponownie zajechał drogę lexusowi i przyhamował" – pisze dziennik. I przytacza słowa ofiary: „Kierowca próbował we mnie wjechać, zepchnąć mnie. Ja dodałem troszeczkę gazu i znów zahamowałem. On wtedy jechał buspasem. Zablokowałem mu możliwość dalszej jazdy". Wygląda na to, że aktor tak bardzo uciekał od polskości, że w końcu dogoniła go jej najmniej cywilizowana wersja.

Dzieci, rodzice i nauczyciele z Zespołu Szkolno-Przedszkolnego nr 5 w Wałbrzychu wybrali swojego patrona. Ale nie są to św. Jan Paweł II czy św. Siostra Faustyna Kowalska. Będzie nim księżna Daisy Hochberg von Pless. Symboliczne zdarzenie skomentował dr Piotr Sosiński, sekretarz wałbrzyskich struktur PiS. Jego zdaniem miasto od dawna kompletnie ignoruje polskie odniesienia historyczne. „Daisy Hochberg von Pless to barwna postać przedwojennej historii Wałbrzycha. Angielska arystokratka mieszkająca na zamku Książ. Wybór tej osoby na patrona szkoły to potwierdzenie trendu poszukiwania tożsamości w niemieckiej historii miasta. Moim zdaniem to początek świeckiego kultu wpisany w promocję Książa" – zauważa dr Stasiński. Rzecz dzieje się w Wałbrzychu, ale tak naprawdę niemal wszędzie na Ziemiach Odzyskanych. Smutne. I bardzo niepokojące.

Wicemarszałek Sejmu i szef klubu PiS wspominał w rozmowie z Telewizją Republika swoją hipisowską młodość. „Wydawało się, że taka rewolucja obyczajowa może rozszczelnić system komunistyczny. [...] Mnie się to spodobało. Miałem 18 czy 19 lat. W takim wieku łatwo o buntownicze nastroje" – mówił Terlecki, opisując ówczesną codzienność: „Długie włosy to był problem wcześniejszy, bo w szkole. Ta moda przyszła z Zachodu i próbowała się zainstalować w Polsce wbrew powszechnej opinii. W szkole zwracano uwagę, by te włosy obcinać. Jak już byłem studentem, to zdarzało się, że nas, długowłosych, nie wpuszczano do kawiarni". Tłumaczył też, skąd jest hipisowski pseudonim Pies: „Kiedyś nas milicja zatrzymała i milicjant, widząc nasze stroje i długie włosy, zapytał: »Cóż to jest?«. Ktoś mu powiedział »hipisi«, chciał zapisać w notatce i pytał, jak to zapisać. Kolega mu tłumaczył: »Hip i pies«". Innym ważnym politykiem PiS, który był zaangażowany w ruchu hipisowski, jest Marek Kuchciński. „Prezes Kaczyński czasem żartuje, że hipisi są we władzach konserwatywnej partii" – mówił Terlecki. Partia konserwatywna, ale fantazji ma dużo, a duch rebelii też żywy. Poza tym dziś globalną milicją są lewacy, którzy wszystkich chcą ulepić po swojemu. Dziś to prawica walczy i o wolność, i o odrobinę oddechu w coraz bardziej totalitarnym świecie.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Denis Makarenko/Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

Jednolistni

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Panowie, powiem krótko i bez owijania w reklamówkę: nareszcie mamy to, na co tak czekaliśmy.
Biedroń: Tęczowy piątek?
Tusk: I to codziennie. Chodzi o nowy, genialny plan na odsunięcie PiS. Czy panowie są zainteresowani?
Czarzasty: Planem czy odsunięciem?
Tusk: To jest to samo. Kto powie inaczej, temu sznur i gałąź. Raz, dwa, trzy, znikasz ty.
Kosiniak-Kamysz: A kto jest autorem?
Tusk: Grono ekspertów. Najwybitniejszych. Tak wybitnych, że ich nazwiska nic wam nie powiedzą, gdyż – jak wiemy – jesteście totalnymi laikami.
Biedroń: A ja się cieszę, że jesteśmy razem. Kolega obok kolegi, lewica koło liberałów, chłopi przy mniejszościach...
Kosiniak-Kamysz: Wypraszam sobie.
Hołownia: A mnie się zbiera na płacz, jak was słucham.
Tusk: To nie my mamy płakać, ale oni! Za naszą krzywdę, za rękę podniesioną na naszych sędziów i dziennikarzy, za te lata bez spółek, bez karuzeli VAT-owskiej, za Sławka Nowaka i Józka Piniora...
Kosiniak-Kamysz: Za Burego...
Hołownia: A co? Znów zatrzasnął się w radiowozie?
Kosiniak-Kamysz: Nie ten. Tamten był nasz. Sztabkę złota w sejfie na plebanii trzymał niewiadomego pochodzenia, to go zamknęli. I sejf, i Burego.
Tusk: Nic co dane, nie będzie zabrane. Nie muszę dodawać, że nasza rozmowa jest ściśle tajna. A teraz poproszę kolegę Kierwińskiego o przedstawienie naszego planu na zwycięstwo.
Kierwiński: Dzień dobry. Jako sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej mam przyjemność...
Tusk: Do brzegu.
Kierwiński: Oczywiście. Zatem krótko: plan jest prosty. Ale genialny. W swej prostocie właśnie. Nie mylić z prostatą. Ani prostactwem. Usiądźcie, zanim wstaniecie. Dwa słowa: jedna lista.
Czarzasty: Słucham?
Kierwiński: Jedna lista. Taki jest plan.
Kosiniak-Kamysz: Czemu nie dwie?
Biedroń: Albo trzy?
Kierwiński: Bo jedna jest dobra, a dwie nie. Trzy są beznadziejne.
Gowin: A cztery?
Tusk: Panie Jarosławie, umówiliśmy się, że pan się nie odzywa. Nie pan nas będzie rozliczał, jasne? Cztery listy byłyby tragedią.
Komorowski: A dlaczego?
Kierwiński: Bo cztery to jest cztery razy tyle, co jedna! Na litość boską!
Kosiniak-Kamysz: Ale czym pan się denerwuje? My od dawna układamy sobie listę. Jedną. Ale naszą. Prawda, panie prezydencie?
Komorowski: Ho, ho, ho...
Tusk: Chyba Onetu nie czytaliście. Podobno pan Szymek rano chce, a wieczorem nie. Halo, panie Szymonku, jest pan tu z nami? Ciągle pan w tym telefonie grzebie...
Hołownia: A, bo lajki sobie wklepuję z lewego konta. Cóż, nie mam zdania. To znaczy, mnie się marzy rząd techniczny natychmiast.
Tusk: A kto premierem? Skąd głosy?
Hołownia: No, myślałem, że od was. Wy mnie popieracie na premiera, a ja wam robię dobrze w prezydenckich. Albo odwrotnie. Bo prezydentem też mogę być.
Kierwiński: Powolutku. Najpierw jedna lista. Prawda, panie przewodniczący?
Tusk: Tak jest. Odsuńmy PiS, a dzielić będziemy się potem. Podkreślam słowo „uczciwie".
Kierwiński: Wężykiem, prawda?
Gowin: Mnie się wydaje...
Tusk: To źle się panu wydaje. Ani słowa więcej.
Komorowski: Ho, ho, ho... Tak nie wolno. Ja tu przyszedłem z tym panem i z nim wyjdę. Jak trzeba było wam d... ratować i Kidawę na Trzaskowskiego podmienić, to pan Gowin był cacy, bo się oddał za frajer. A teraz co? Psu na budę?
Hołownia: Ja go nie chcę. PO zdradził, PiS to samo, może inaczej nie umie?
Czarzasty: Oj tam, „zdradził" od razu. A pan to nie zdradził? Taki pan miał być nowy, hamerykański, szkoda...
Hołownia: Proszę mnie nie zaczepiać, bo ja mam krótki lont. I mogę wybuchnąć w każdej chwili.
Czarzasty: Chyba szlochem.
Biedroń: A co pan wtedy robi z lontem?
Hołownia: Gaszę łzami, cymbale.
Kierwiński: O, i już jest konflikt. A niepotrzebnie. Jedna lista wykluczy wszelkie takie sytuacje. Po co wy rozmawiacie o innych koncepcjach? Kosiniak z Komorowskim, Kamysz z Hołownią?
Tusk: Dajcie spokój, kolego. Niech rozmawiają. Ale plan jest inny i jeśli ktoś nie chce go przyjąć, to znaczy, że jest za PiS.
Gowin: Ja też?
Kierwiński: Pan się nie odzywa, bo pan przewodniczący naprawdę straci nerwy.
Biedroń: Oj, zrobiło się nieprzyjemnie. Ten samczy alfizm jest okropny. Od razu widać, że nie ma wśród nas kobiety.
Czarzasty: No, nie wiem...
Biedroń: Co masz na myśli?
Czarzasty: Że nie wiem, czy widać.
Hołownia: Chyba jednak się rozpłaczę...
Biedroń: To za mało. Łzy nie czynią cię kobietą. No, chodź, przytul się, bo te wilki cię zjedzą. Przecież ty nawet struktur nie masz...
Hołownia: A wy macie i 10 proc. nie możecie uzbierać.
Kierwiński: Jedna lista. I znikną problemy.
Czarzasty: A kto na jedynkach?
Tusk: Liderzy partii tworzących listę oraz najtęższe umysły największej formacji opozycyjnej.
Kierwiński: No i ja. Też wężykiem.

eprasa.pl d585177f9f

WIEŻA BAB

Zawód: hejter

Jest coś paskudnego w tym, że zamiast spierać się o kwestie zasadnicze, merytoryczne, Niesiołowski woli omawiać wygląd polityków i wyborców PiS

Choć Stefan Niesiołowski zniknął z polskiej polityki i parlamentu, to jednak postanowił o sobie przypomnieć. Niestety, przypomniał wszystko, co najgorsze, czyli nienawiść i przemysł pogardy, który latami współtworzył.

Niesiołowski wystąpił w programie „Politycy od kuchni", gdzie pokazał, jak mieszka na działce. Nagranie można obejrzeć na stronie „Super Expressu". Niestety, mimo wysokiej temperatury politycznego sporu, nasilających się ataków na biura polityków nie mógł sobie odmówić pokusy wylania wiadra żółci pod adresem polityków partii rządzącej. „Oni są jacyś nieświeży, jacyś spoceni, trudno to nawet określić" – tymi słowami opisał polityków PiS Niesiołowski. „Jest paru takich, o których się nawet publicznie mówi, że z łupieżem mają problemy czy z zawiązaniem sznurówek. Oni mają jakiś taki element – są w estetycznych kategoriach obrzydliwi. Myślałem, że to zarezerwowane było dla komunistów, oni byli jacyś spasieni, mieli takie mordy kacapskie, a coś takiego jest w PiS. Ja rozpoznaję po twarzach – w 90 proc. się nie mylę, jak widzę kogoś, kto popiera PiS" – wyłożył swoją specyficzną teorię specjalista od muchówek.

Złośliwi mogliby przypomnieć, co o Stefanie Niesiołowskim pisała Anastazja P. w swoim pamiętniku. Ale nie w tym rzecz. Jest bowiem coś paskudnego w tym, że zamiast spierać się o kwestie zasadnicze, merytoryczne, dotyczące kierunków np. polityki zagranicznej czy choćby polityki społecznej, pan Niesiołowski, który kiedyś zachęcał głodne dzieci do jedzenia szczawiu i mirabelek z nasypu, woli omawiać wygląd polityków, a także wyborców PiS. Tu chodzi wyłącznie o wywołanie obrzydzenia i niechęci do politycznych przeciwników. W 12. rocznicę śmierci Marka Rosiaka, zapytany przez portal wPolityce.pl o swoje wspomnienie sprzed lat, Witold Waszczykowski zwrócił uwagę, że nie wyciągnięto wniosków z tamtej historii, a drastyczna nagonka na polityków może doprowadzić do kolejnych nieszczęść. W tę nagonkę właśnie postanowił się wpisać Stefan Niesiołowski. „Teraz kampania prowadzona przez PO ma także zohydzić, wręcz odczłowieczyć polityków PiS, pokazywać, że są nienormalni, oderwani od rzeczywistości. Ma wywołać taką sytuację, że jak coś się im stanie, to nie żal, bo przecież zasłużyli" — mówił były szef MSZ.

Dokładnie taki jest właśnie cel szpetnej wypowiedzi Niesiołowskiego. Jego udział w przemyśle pogardy kierowanym w stronę Lecha Kaczyńskiego opisywała w książce „Moi rodzice" Marta Kaczyńska. „Kampania nienawiści, złośliwości i oszczerstw, która ruszyła krótko po zaprzysiężeniu, była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ojciec zaczął być systematycznie niszczony. W styczniu przed katastrofą Janusz Palikot przyznał: »Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni«. Chodziło o całkowite odarcie mojego ojca z godności, żeby w ten sposób osłabić jego szanse na reelekcję, czy też może szerzej: szanse na istnienie w polskiej polityce. Platforma Obywatelska wyznaczyła Januszowi Palikotowi specjalną rolę polegającą na niszczeniu Lecha Kaczyńskiego. Do Palikota dołączył jeszcze Stefan Niesiołowski" – wspominała Marta Kaczyńska.

12 lat od katastrofy smoleńskiej i tragicznej śmierci Marka Rosiaka nic się nie zmieniło. Nikt nie poszedł po rozum do głowy. Odczłowieczanie i dehumanizowanie idzie pełną parą. Donald Tusk cały czas zapowiada wyprowadzanie z urzędów, wsadzanie do więzień, robienie porządków. Podgrzewa w ten sposób atmosferę niechęci do władzy wśród swoich zwolenników. Każe im wychodzić na pole i bić się ze złem. Trudno się więc dziwić, że ci wychodzą i się biją, a przynajmniej próbują. Mamy więc kolejne ataki na kolejne biura. W minionym miesiącu m.in. na siedzibę PiS przy Nowogrodzkiej, biuro poselskie Witolda Waszczykowskiego czy Moniki Pawłowskiej. A refleksja nie nadchodzi.

Dorota Łosiewicz

Fot. Shutterstock

Inwazja szpiegów

Norwegia

1 listopada Norwegia po raz kolejny podniosła stan gotowości w swoich siłach zbrojnych. „Wszystkie państwa NATO, w tym również my, musimy być czujni wobec różnych zagrożeń, działalności wywiadowczej lub prób kształtowania opinii publicznej – uzasadnił tę decyzję premier Norwegii Jonas Gahr Støre. Jak wyjaśnił minister obrony Bjørn Arild Gram, wojsko zwiększy ochronę obiektów infrastruktury krytycznej i militarnej. Norwegia stała się bowiem celem najpoważniejszych w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ataków szpiegowskich ze strony Rosji.

W ostatnich tygodniach wielokrotnie obserwowano loty niezidentyfikowanych dronów nad norweskimi platformami wydobywczymi. Wokół nich kręciły się też rosyjskie statki „badawcze". Zatrzymano kilku Rosjan wykonujących zdjęcia norweskich instalacji z dronów. Wśród nich znalazł się Andriej Jakunin, syn byłego prezesa Kolei Rosyjskich i zarazem wpływowego urzędnika z bliskiego otoczenia Putina.

Zaledwie tydzień później, 24 października, w położonym za kołem podbiegunowym mieście Tromsø w ręce norweskich służb wpadł brazylijski naukowiec, który na miejscowym Uniwersytecie Arktycznym zajmował się badaniem zagrożeń hybrydowych. Władze poinformowały, że rzekomy Brazylijczyk jest w rzeczywistości rosyjskim „nielegałem", a więc szpiegiem działającym pod cudzą tożsamością. Dziennikarze śledczy z portalu Bellingcat ustalili, że rzekomy Jose Gianmaria to w rzeczywistości pułkownik GRU Michaił Michuszyn. Na jego prawdziwe personalia udało się natrafić dzięki przechwyconym danym z moskiewskiego urzędu, w którym szpieg w 2015 r. przedłużył sobie prawo jazdy.

Michuszyn pojawił się w Brazylii już w 2006 r., gdzie dzięki sfałszowanym papierom udało mu się wyłudzić paszport. Potem próbował się „zalegendować", prowadząc aktywną działalność „naukową" i „polityczną". W 2015 r. zaangażował się m.in. w kampanię lewicowej Nowej Partii Demokratycznej w Kanadzie. Bywał też na różnych sympozjach naukowych w Europie, najbardziej interesowały go te, które były poświęcone kwestiom bezpieczeństwa. Przykładowo w 2018 r. podczas konferencji w Wilnie rzekomy Jose Gianmaria debatował nad scenariuszem działań po ataku na gazociąg Nord Stream oraz nad przeciwdziałaniem cyberatakom i sztucznym falom migracyjnym. I to właśnie w roli specjalisty od takich zagrożeń trafił na uniwersytet w Tromsø jako tzw. wizytujący wykładowca. Co ciekawe, w odróżnieniu od dawnych sowieckich „nielegałów", którzy by uniknąć dekonspiracji, zrywali wszelkie kontakty z Moskwą, Michuszyn potajemnie, aczkolwiek dość regularnie, odwiedzał Rosję.

Jak wynika z oświadczenia władz norweskich, służby od pewnego czasu prowadziły obserwację Michuszyna. Aresztowano go w chwili, gdy uznano, że jego dalsza działalność może wyrządzić nieodwracalne straty dla interesów państwa.

Konrad Kołodziejski

Porażka brazylijskiego Trumpa

Starcie dwóch „populizmów" w Brazylii. Luiz Inácio Lula da Silva pokonał w wyborach prezydenckich urzędującego prezydenta Jaira Bolsonaro. O minimalnej różnicy 50,9 proc. do 49,1 proc. głosów zdecydowało ponad 2,1 mln wyborców. Po ogłoszeniu wyników niezadowoleni zwolennicy Bolsonaro wyszli na ulice, ten jednak powiedział, że będzie stosował się do konstytucji.

Gorąca kampania wyborcza była starciem dwóch odmiennych wizji politycznych i kulturowych. Lewicowy populista Lula to dawny przywódca związkowy oraz jeden z liderów opozycji przeciw prawicowej dyktaturze. W latach 2002–2011, będąc prezydentem Brazylii, firmował politykę ograniczania długu i inflacji, choć zarazem wprowadzał szczodre programy socjalne. Prawicowy populista Bolsonaro, reprezentujący konserwatywną część społeczeństwa, udowodnił zaś, że wcale nie jest takim gospodarczym liberałem, za jakiego uchodził. Wspierała go prawica: Donald Trump, Binjamin Netanjahu i Viktor Orbán. Z kolei Lula był przyjacielem Fidela Castro i socjalistycznego prezydenta Wenezueli Hugo Cháveza. Dzisiaj cieszy się sympatią demokratycznej administracji Joe Bidena.

Lula w 2017 r. został uznany za winnego korupcji oraz prania brudnych pieniędzy i spędził półtora roku w więzieniu.

Fot. BW Press/Shutterstock.com

W kwietniu 2021 r. brazylijski Sąd Najwyższy unieważnił wyrok, dzięki czemu z hasłem „Miłość, pokój i nadzieja" Lula powrócił do politycznej gry. Nie doceniono jednak bardzo silnego konserwatyzmu brazylijskiego społeczeństwa i strachu przed powrotem lewicy do władzy. Choć Bolsonaro przegrał, to do brazylijskiego Kongresu wprowadził więcej deputowanych niż cztery lata temu. Lewica zarzuca mu przede wszystkim politykę nastawioną na grabież tropikalnych lasów i ich przyspieszoną wycinkę pod uprawy soi i wypas bydła. Był również atakowany za lekceważenie pandemii koronawirusa. Bolsonaro wywodzi się z wojska, a pod hasłem „Bóg, rodzina, ojczyzna i wolność" opowiadał się za zniesieniem ograniczeń dotyczących dostępu do broni oraz przeciw aborcji. Mówił, że wolałby, by jego syn zginął w wypadku, niż miał okazać się homoseksualistą.

W jednym zarówno Lula, jak i Bolsonaro są zgodni: obaj nie widzą zagrożenia w imperialnej polityce Moskwy. Putin, gratulując Luli zwycięstwa, wyraził nadzieję na kontynuację dotychczasowej „konstruktywnej współpracy rosyjsko-brazylijskiej na wszystkich frontach".

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl d585177f9f

Powrót Netanjahu

Izrael

Piąte w ciągu trzech i pół roku wybory w Izraelu przyniosły powrót do władzy byłego premiera Binjamina Netanjahu, którego koalicja zbudowana wokół prawicowego Likudu zdołała osiągnąć niewielką większość w Knesecie. Centrolewicowa formacja Yesh Atid, na której czele stoi dotychczasowy szef rządu Ja'ir Lapid, osiągnęła drugie miejsce, zdobywając 24 mandaty. Języczkiem u wagi mogłaby zostać Partia Jedności Narodowej, której przewodzi były minister obrony Beni Ganc, ale zdobyła zaledwie 12 miejsc w parlamencie, co jest zbyt małym wynikiem, by ten umiarkowany polityk odegrał rolę partnera koalicyjnego, którego postawa mogłaby przesądzić, kto z głównych rywali będzie w stanie stworzyć gabinet.

Wyniki wyborów oznaczają więc nie tylko powrót Netanjahu, ale również znaczne przesunięcie nastrojów wyborców w prawo, o czym świadczy wynik formacji ortodoksów żydowskich, które weszły w koalicję z Likudem. W swoim przemówieniu wygłoszonym dzień po wyborach Netanjahu powiedział, iż wyniki świadczą o tym, że obywatele Izraela postawili na „obóz dumy narodowej i państwo żydowskie". Te ostatnie słowa i dobry wynik partii reprezentujących tradycjonalistów religijnych są interpretowane przez komentatorów jako zapowiedź wprowadzenia do ustawodawstwa zapisów, które mogą stanowić odejście od idei państwa świeckiego na rzecz rozwiązań religijnych, a także zaostrzenie podejścia w kwestiach relacji z Arabami. Formacja Becalela Smotricza, który otwierał listę partii religijnych syjonistów (14 mandatów), weszła bowiem w koalicję z Itamarem Ben-Gewirem, politykiem, który opowiada się za wydaleniem z Izraela tych przedstawicieli mniejszości, którzy są nielojalni wobec państwa. Ben-Gewir nie odbywał nigdy służby wojskowej ze względu na swoje radykalnie prawicowe poglądy, a w przeszłości występował przeciw traktatowi z Oslo, na mocy którego utworzono Autonomię Palestyńską.

Mobilizacja wyborcza zwolenników prawicy, formacji religijnych i nacjonalistycznych była pierwszym źródłem sukcesu koalicji Netanjahu. Drugim był podział wśród konkurencji, w partii Balad reprezentującej Arabów, co spowodowało, że nie przekroczyła ona progu wyborczego. Trzecim źródłem sukcesu była wysoka frekwencja, co spowodowało, że aby przekroczyć próg wyborczy, wynoszący w Izraelu 3,75 proc., trzeba było zdobyć w liczbach bezwzględnych o wiele więcej głosów.

W wymiarze międzynarodowym sukces Netanjahu, który uchodzi za osobistego przyjaciela Władimira Putina, raczej wzmocni linię państwa Izrael, by nie mieszać się w wojnę rosyjsko-ukraińską i nie dostarczać Kijowowi sprzętu oraz amunicji.

Marek Budzisz

Fot. paparazzza/Shutterstock.com

Niekończąca się wojna

Somalia

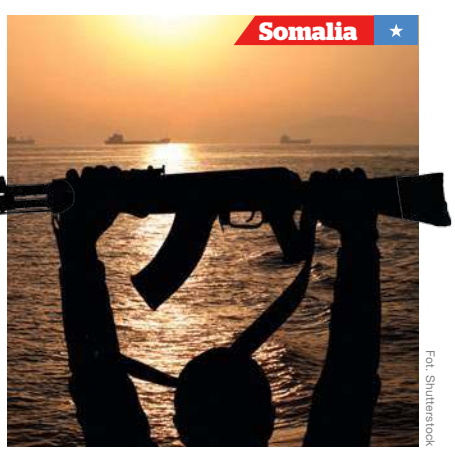

Fot. Shutterstock

Są na naszym globie wojny, które toczą się od tak długiego czasu, że przestają absorbować uwagę świata. Agencje prasowe i działy zagraniczne redakcji tak przywykają do tych konfliktów, że nie uważają za stosowne informować o ich codziennych ofiarach. Wyjątek robią, gdy dochodzi do masowych masakr. Tak jest w przypadku Somalii, gdzie ostatnio islamscy terroryści dokonali w pobliżu ministerstwa edukacji w Mogadiszu zamachu bombowego, w którym zginęło ok. 120 osób, a ponad 300 zostało rannych. Poprzedni tego typu akt miał miejsce w październiku 2017 r. Na skutek wybuchu ciężarówki wypełnionej materiałami wybuchowymi zginęło wówczas w Mogadiszu 587 osób, a 316 zostało rannych.

Wspomniane mordy stanowią najbardziej krwawe epizody toczącej się od 2006 r. wojny, którą islamska organizacja Asz-Szabab wypowiedziała somalijskiemu rządowi. Obecnie dżihadyści kontrolują większość południowych i centralnych regionów państwa. Stamtąd przeprowadzają wypady na tereny bronione przez wojska rządowe. W stolicy atakują zwłaszcza budynki publiczne i miejsca, w których często bywają przedstawiciele miejscowych elit oraz zagraniczni dyplomaci i biznesmeni. Swoją działalność finansują głównie z handlu narkotykami i kłusownictwa, a także z podatków nakładanych na ludność wiejską na zajętych przez siebie terytoriach.

Islamiści są bezwzględni wobec mieszkańców. Od trzech lat z powodu panującej w kraju suszy milionom ludzi grozi klęska głodu. Potrzebującym pomagają różne organizacje międzynarodowe, wysyłając transporty z żywnością. Konwoje są jednak napadane przez dżihadystów, którzy je niszczą lub rabują, a w najlepszym razie wymuszają haracz za przepuszczenie.

Największym problemem jest to, że nie widać końca wojny. Kompromis z terrorystami, którzy dążą do przejęcia władzy i wprowadzenia szariatu, nie wchodzi w rachubę. Państwo jest jednak zbyt słabe, żeby zdławić islamistów, oni zaś zbyt silni, by mu ulec. Wszystko wskazuje więc na to, że nadal będzie lać się krew.

Grzegorz Górny

eprasa.pl d585177f9f

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Biedny ten nasz globus

Jan Pietrzak

Pośród ekopostępaków krąży kolejna ciekawa moda – mianowicie przyklejanie się do muzealnych obrazów. Ma taki wyczyn zwrócić uwagę na kiepski stan ekologii na globie. Bardziej jednak zwraca uwagę na odklejenie tej sekty od zdrowego rozsądku.

Przed kilkudziesięcioma laty idea troski o przyrodę i o klimat sprawiała pozytywne wrażenie. Były to czasy, kiedy dymiące kominy hut i fabryk stanowiły powód do dumy ustroju ogólnej szczęśliwości. Akcje klimatologów na ogół miały rozsądne hasła, zwracały uwagę na degradację środowiska. Niestety, społeczny ruch wpadł w łapy skorumpowanych politykierów i zdegenerował się chyba bardziej od klimatu. Biedny ten nasz globus.

Nawet pożyteczne projekty przetworzone przez pazerne państwa i chciwe korporacje stają się swoim przeciwieństwem. System opłat za nadmierną emisję CO_2 stał się spekulacyjną maszynką do alokacji pieniędzy – jak zwykle od biedniejszych do bogatszych. Akurat w naszym kraju tak się składa, że aktywność „zielonych" zawsze ma cele antypolskie. Czy to może być przypadek? Nie wierzę. Tak jak nie wierzę, że to przypadkowy głupek podpalił pomnik przyrody, 500-letni dąb Cysters. To okropne, ale nie bezmyślne. To epizod z cyklu profanacji, prowokacji, poniżania Polaków, „piłowania" polskości, bo przecież polskość to nienormalność, jak uważa Tusk.

Wzorcami normalności w naszej części Europy są Niemcy i Rosjanie. Czasem jedni, czasem drudzy wybijają się na pierwszy plan, ale zawsze w antypolskiej zmowie. Wiedzą, jak nas szczuć na siebie, i mają tu czujnych współpracowników w rodzaju „nieznanych sprawców" z lat komuny. Zwracam uwagę, że niszą ekologiczną ludzkiego gatunku jest nie tylko przyroda, ale też społeczeństwo.

Właśnie minęły ważne chrześcijańskie święta, duchowe spotkanie ze zmarłymi. Cmentarze są miejscem rozmowy z osobami kochanymi, bliskimi, ważnymi... Niekiedy miałem w tych dniach wrażenie, że to nie było święto zmarłych, lecz festiwal wypadków. Media prześcigały się w wyliczaniu liczby kolizji, stłuczek, ofiar, zatrzymań, nietrzeźwości, mandatów, statystyk porównawczych..., ignorując wszystkich świętych, z których powodu ludzie jadą na cmentarze modlić się, kłaść kwiaty, palić znicze...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie palcie Dugina

Dominik Zdort

Aleksander Dugin, ideolog euroazjatyzmu, wydał w Polsce książkę. A właściwie wydała ją Myśl Polska, wydawnictwo odnoszące się z sympatią do Rosji. To środowisko uważane za ulegające moskiewskim wpływom, co – przynajmniej od początku tego roku – u większości Polaków sympatii nie może budzić.

Dugin do niedawna był znany tylko tym, którzy interesowali się rosyjską polityką, ostatnio – gdy w zamachu bombowym zginęła jego córka – jest już powszechnie kojarzony z poparciem dla reżimu Putina. Niektórzy twierdzą, że jest wręcz nieformalnym doradcą prezydenta Rosji.

Niewątpliwie ten działacz i filozof sroce spod ogona nie wypadł. Od kilku dekad jest aktywny w życiu publicznym i mediach, nie sposób wymienić wszystkich audycji w radiu i telewizji, które prowadził, i stanowisk (także naukowych), które zajmował. Wspomnijmy o różnych: był doradcą przewodniczącego rosyjskiej Dumy Państwowej, felietonistą magazynu „Rolling Stone", a o jego realnej pozycji świadczy to, że jest na liście Rosjan, którzy nie mają wstępu do UE i USA.

Uprzedzając oburzenie czytelników książki, wydawca Jan Engelgard zastrzega we wstępie, że nie utożsamia się z przesłaniem Dugina. „Nie jesteśmy częścią tzw. ruchu eurazjatyckiego, albowiem jesteśmy spadkobiercami myśli politycznej Narodowej Demokracji. [...] Nie oznacza to jednak, że nie mamy prawa zapoznawać się z jego przemyśleniami, które dotyczą przecież najbardziej istotnych problemów współczesnego świata".

Krótko odniosę się do tego drugiego argumentu. Otóż oburza mnie wszelkiego rodzaju utrudnianie publikacji czy promocji książek – co ma miejsce obecnie w przypadku pism Aleksandra Dugina. Choć dopuszczam wyjątkowe sytuacje, kiedy sąd mógłby zakazać rozpowszechniania czy reklamowania tekstu wzywającego do fizycznej eliminacji jakiejś mniejszości narodowej lub usprawiedliwiającego np. zboczenia i dewiacje.

To jednak nie jest przypadek rosyjskiego aktywisty i myśliciela. Jeśli jest rzeczywiście tak wpływowy, że trafił na amerykańską „czarną listę", to jego filozofię, przemyślenia i rady, których mógłby udzielić Putinowi, powinniśmy poznać. Podobnie jak powinniśmy byli w przeszłości uważniej analizować recepty na uzdrowienie świata Lenina, Hitlera, Mao...

Mądrym ludziom, którzy obawiają się wpływu Dugina na świat i ludzi, doradzałbym (trawestując Jacka Kuronia): nie palcie książek. Piszcie własne.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl d585177f9f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy polski Kościół to przeżyje?

Ostatni tydzień media nie tylko w Polsce żyły aktem apostazji sex workera z Łomży Damiana Pieluchy, znanego jako... zresztą nieważne. Oczywiście nie wszystkie. Rządowe TVP i radio nieomal nie zauważyły sprawy, narażając się na zasłużone kpiny ze strony obrońców wolności słowa. Również prawicowe tygodniki wyraźnie obawiały się zmierzyć z wystąpieniem Pieluchy. Tymczasem jego manifest: „Nie dla hipokryzji, dzielenia ludzi na dobrych i złych, na grzesznych i świętych, zbawionych i potępionych; nie dla nietolerancji i chronienia pedofilów", odbił się już szerokim echem w całej Europie. Wstrząs wywołał wywiad Pieluchy dla prestiżowej telewizji informacyjnej, w której początkowo występował on w masce wystylizowanej na czarczaf (w jednej z późniejszych wypowiedzi podnosił, że był to protest przeciwko katolickiemu obskurantyzmowi, który jest bez porównania groźniejszy niż muzułmański fundamentalizm), wyjaśniając to obawą przed zemstą kościelnych integrystów, ale zdarł ją po kilku minutach, wykrzykując, że w sytuacjach granicznych należy stawić czoła nawet skrajnemu zagrożeniu – ten akt zjednał mu międzynarodowe uznanie. Grupa publicystów tworząca „dziennikarską trzodę" zaproponowała wysunięcie go do Pokojowej Nagrody Nobla.

Apostazja Pieluchy nabiera szczególnego dramatyzmu z powodu podkreślanego przez niego przywiązania do Kościoła, które wyniósł z domu. Był ministrantem i doświadczył molestowania seksualnego ze strony księdza.

Bezpośrednio do apostazji skłoniła Pieluchę relacja założyciela fundacji „Nie lękajcie się", który przytaczał rozmowę ważnego duchownego ze znaczącym posłem PiS. Ten drugi obiecywał temu pierwszemu tuszowanie wszystkich jego seksualnych ekscesów w zamian za polityczne wsparcie. Ze względu na obawy o bezpieczeństwo ujawniający musiał pseudonimować opisane osoby. „Zdajemy sobie sprawę, gdzie żyjemy" – wyjaśnił z goryczą. Rzecz była oczywista.

„Tego już za wiele" – uznał Pielucha, ogłaszając apostazję.

W kolejnym wzruszającym wywiadzie opowiadał, jak od zawsze oburzała go nieczułość Kościoła objawiająca się w ostentacyjnym bogactwie, które przecież można przeznaczyć dla potrzebujących. Odwoływał się do słów wybitnego publicysty katolickiego, który był wstrząśnięty tym, że zamiast szpitali buduje się kościoły. Pielucha nie mógł także nigdy pogodzić się z nietolerancją Kościoła wobec kochających inaczej. „Kochaj i rób, co chcesz" – cytował św. Augustyna.

Znany teolog jezuicki, który przeprowadził wyczerpującą rozmowę z Pieluchą, opublikowaną później jako materiał okładkowy w tygodniku, od zawsze walczącego o pogłębienie wiary, uznał, że było to jedno z jego ważniejszych duchowych doświadczeń. Tym, którzy protestowali, przypomniał fragmenty Ewangelii, w których faryzeusze oburzają się na obcowanie Chrystusa z celnikami i jawnogrzesznicami. „Pamiętajcie, że to modlitwa celnika została wysłuchana, a nie faryzeusza!" – zagrzmiał w homilii, która dotyczyła sprawy.

Przedstawiciele katolicyzmu otwartego zaproponowali Pielusze udział w komitecie „Kościół z duchem czasu", apelującym o synod, który miałby dokonać reinterpretacji prawd wiary i stworzenie nowego katechizmu. Pielucha delikatnie odmówił, wskazując, że jest już poza Kościołem, a jego zawodowe obowiązki, które ostatnio uległy lawinowemu spotęgowaniu, tudzież konieczność tłumaczenia sensu apostazji nie dają mu czasu na nic więcej. Pozostawił sobie jednak furtkę powrotu do katolicyzmu, a nawet głębszego zaangażowania się w życie wspólnoty „wolnych" – jak zaznaczył – jeśli postawa Kościoła ulegnie istotnej zmianie.

Popularności Pielusze przysporzyły kołtuńskie ataki katolickich fundamentalistów, którzy kwestionowali jego wystąpienie ze względu na uprawianą przez niego profesję. Sprawę zamknęły wreszcie głośne słowa papieża: „A kim ja jestem, by wartościować czyjś zawód".

Apostazja Pieluchy przesłoniła wiele kolejnych, spośród których najgłośniejsze były manifesty znanych celebrytów: Dagmary Zupy, Kriszny Szczypawy i Erwiny Kundelki. Zmęczona opinia publiczna nie reagowała, jak należy. Propozycja Pieluchy, by od teraz dokonywać apostazji zespołowo i uczynić z tego nowy świecki rytuał, nie do końca spotkała się z uznaniem. „Sam się wylaszczył, a innych spycha w tłum" – miała powiedzieć Zupa, chociaż tłumaczyła potem, że jej wypowiedź została źle zinterpretowana.

Sytuację zmienił wyrok TSUE w sprawie Maklali, które zwróciło się w sprawie dyskryminacji ze strony polskiego Kościoła odmawiającego mu sakramentów. TSUE przyznał rację skarżącemu, nałożył na Kościół grzywnę i nakazał udzielić Maklali wszystkich żądanych świadczeń włącznie z zaległymi.

Wstrzymało to inicjatywę Pieluchy powołania Kościoła „Chrystus dla wolności". Wniosek KE, by apostaci stworzyli ciało doradcze dla UE, które miałoby mediować w konfliktach prowokowanych przez polski Kościół, jest intensywnie rozważany w jego kręgu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d585177f9f

Walizka Gośki Bańki

kompozytorki, wokalistki, pianistki, producentki spektakli muzycznych

To podróż wokół zmysłów. Wszystko, co zawiera moja walizka, jest związane z uczuciami. Moje podróże odbywam w różnych przestrzeniach, a jednym z moich emocjonalnych przystanków jest Piano Bar, w którym spotykam się z ludźmi podczas moich koncertów, śpiewając przy fortepianie chanson française, czyli piosenkę francuską. Jestem wtedy tête-à-tête z człowiekiem i zderzam się z jego emocjami. Kiedy ludzie śpiewają ze mną „la, la, la" po francusku, dzieje się taka magia, że o, la, la! Esencją życia jest ciągła droga... na którą składa się wiele podróży. Tą najważniejszą dla mnie okazała się voyage do miasta tysiąca świateł... Paryż okazał się moją rzeczywistością i oczywistością, której w żaden sposób nie umiałam wytłumaczyć. Zostałam pod francuskim niebem. Wróciłam dopiero po latach dla poezji, która też ma swoje szczególne miejsce w mojej walizce.

FORTEPIAN – RADIO – CD PLAYER

Gra, jest radiem i nośnikiem CD, trafiłam na niego w Paryżu. To dowód na to, że radio było mi pisane, gdyż obecnie prowadzę autorską audycję „Rendez-vous z Gośką Bańką" w Radiu dla Ciebie. Kocham tę intymność radiową, którą odczuwam ze słuchaczami.

LES BOTTES – YVES SAINT LAURENT

Są chodzącym dziełem sztuki, które podziwiam, szczególnie wtedy gdy czaple oplatają moje nogi. Czapla jest symbolem wiedzy i intuicji. Przypisuje się jej dostęp do innych światów i ochronę, a w wielu kulturach uchodzi również za zwierzę wyrocznię...

GARNITUR À LA FRAK – ETRO

Jest stworzony z różnych kawałków materiału. Są one jak pozszywane kawałki z mojego życia, które działo się na różnych półkulach ziemskich.

eprasa.pl d585177f9f

PERFUMY – ALFA I OMEGA

Mam tak, że zazwyczaj noszę dwie perfumy naraz z jednej rodziny zapachowej. Kocham słowo „perfuma", a te fiolki i ich przejrzysta, prosta forma mnie fascynują. Mają serca mężczyzny i kobiety jakby z kamienia. Używając Alfy i Omegi, czuję pełnię, gdyż poruszam w sobie damskie i męskie nuty, które we mnie drzemią.

LE BAISER – ART BOOK

„Le baiser" oznacza po francusku pocałunek. Album zawiera najpiękniejsze pocałunki, które utrwalono w malarstwie, rzeźbie i cytatach mądrych tego świata. Pocałunek jest zmysłową esencją, w jego trakcie mózg sprawia, że mamy uczucie uniesienia. Jest dla mnie jak piosenka francuska.

ROZKŁADANA KLAWIATURA – 88 KLAWISZY ROLL PIANO

Bardzo istotny przedmiot, dzięki któremu mogę nie tylko trenować palce, ale też komponować muzykę w każdym miejscu świata oraz który przydaje się, kiedy mam zagrać koncert w szczególnych okolicznościach przyrody.

MOJA PŁYTA – „WŁAŚNIE KOCHAM. POŚWIATOWSKA"

Płyta została premierowo gościnnie zagrana i zaśpiewana przeze mnie w Teatrze Polonia w Warszawie. Halinę Poświatowską odkryłam najpierw po francusku, potem po polsku. Poetka mnie uwiodła. Jej spojrzenie na życie, miłość, przemijanie i śmierć jest mi bliskie, dlatego postanowiłam Poświatowską dalej głosić światu i dlatego przygotowuję coś, co będzie poruszać zmysły. Więcej informacji na: www.goskabanka.com.

BRANSOLETY

Podarunek od znanego producenta z Madrytu, z którym zrobiłam płytę po hiszpańsku w czasie, gdy żyłam w Kostaryce. Bransolety należały do pewnej księżniczki i zostały mi przekazane, bym je godnie nosiła, co też robię. Zwłaszcza kiedy mam wrażenie, że księżniczka ma ochotę wyjść na salony...

KRÓLEWSKIE PUDEŁKO I WIERSZE POŚWIATOWSKIEJ

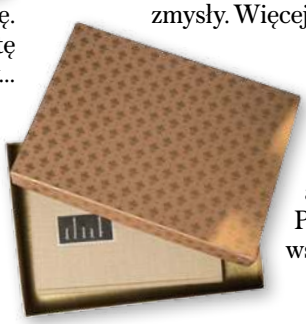

Prezent znaleziony w antykwariacie, a w nim twórczość Haliny Poświatowskiej – „Jeszcze jedno wspomnienie".

LE PLUS PETIT LAROUSSE

Miniaturka słownika encyklopedycznego po francusku, która dużo przeżyła. Była ze mną od samego początku mojej fascynacji dla tego miłosnego języka. To dzięki niej poznałam bardzo rzadkie francuskie słowa, których lubię używać, kiedy rozmawiam po francusku bądź piszę francuskie, autorskie piosenki.

PŁYTA – KEITH JARRETT, „THE KÖLN CONCERT"

Ta płyta jest ważnym prezentem ode mnie, który ofiaruję wybranym jednostkom, sprawiającym, że czuję, że staję się...

TABAKIERA

Mięta, pieprz, kardamon, a reszta jest tajemnicą... To podarunek, który pobudza mnie nie do życia, lecz do czucia, bo nie wystarczy żyć i być, trzeba przede wszystkim czuć i stawać się. Taka jest moja prawda życiowa, którą podążam.

Wysłuchał Michał Korsun

Podziękowania dla Piano Bar Warsaw przy ul. Żelaznej 51/53 za pomoc przy realizacji sesji

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d585177f9f

OGNIEM NA WPROST

Komary bojowe

Armia Łukaszenki wyciąga wnioski z konfliktu na Ukrainie i postanowiła zaprezentować najnowocześniejsze rozwiązania sprzętowe. Osobiście poligon doświadczalny odwiedzili: sam Baćka Traktorzysta z kilkoma „gienierałami". Technicznymi nowinkami pochwalili się białoruscy inżynierowie. Do pierwszego patentu wykorzystano wojskową ciężarówkę Kamaz 4310. Jej przód obłożono brzozowymi kłodami drewna od zderzaka po szybę kierowcy i pasażera. Na dole, w celu poprawienia bezpieczeństwa w razie uderzenia w przeszkodę, przyczepiono trzy zużyte opony. Konstrukcja ma być teoretycznie odporna na uderzenia pocisków kumulacyjnych z granatnika RPG-7. W rzeczywistości wątpię, żeby skutecznie ochroniła silnik i dół kabiny kierowcy przed czołowym zderzeniem pojazdu z przebiegającą dziką świnią. Jeśli zaś chodzi o drugie rozwiązanie, to powinni poważnie zastanowić się nad nim konstruktorzy ręcznego przeciwpancernego pocisku FGM-148 Javelin, reprezentujący firmy Raytheon Texas Instruments z Dallas oraz Missiles and Fire Control z Orlando. Po odpaleniu z wyrzutni cel (np. czołg) jest obserwowany przez zainstalowany w pocisku czujnik podczerwieni, przesyłający dane do urządzenia sterującego lotem rakiety i prowadzącego go do punktu trafienia. Żeby zmylić Javelina, inżynierowie z Mińska przyspawali do tylnego pancerza T-72 stalową rurę. Na jej końcu w odległości kilku metrów od pojazdu opancerzonego zainstalowano na wspomnianej rurze alternatywne (mylące) źródło ciepła... rozpalony koksownik. Jedyna realna korzyść wynikająca z tych patentów, to sytuacja, w której doszłoby podczas nadchodzącej zimy do usterki zarówno czołgu, jak i ciężarówki. Wtedy załogi obu pojazdów będą mogły zacząć ogrzewać się przy kozie, by po wyczerpaniu się koksu przejść na palenie bierwionami brzozy z przedniego „pancerza" Kamaza. Warunek. Do zestawu trzeba dołączyć siekierę.

Łukaszenkę w jego pomysłach mogą prześcignąć tylko propagandyści z Kremla. Ostatnio przedstawiciel Rosji Wasilij Nebienzia powtórzył na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ tezy o broni biologicznej, dodając do nich nowy wątek. Tym razem stwierdził, że wiadomo o dronie opatentowanym w USA, który może rozpylać zarażone groźnymi wirusami komary na wojska przeciwnika. Przedtem miały to być skażone jakimś paskudztwem ptaki i nietoperze. Najprawdopodobniej nietoperze zostały wyhodowane albo sprowadzone przez agentów CIA z laboratorium bądź bazaru w Wuhan (domniemany ośrodek wylęgania COVID-19). Ale o tym przedstawiciel Federacji Rosyjskiej w ONZ nie wspomniał, ponieważ nie chciał konfliktu z kupującymi od nich gaz ziemny Chinami.

Ruski już w czasie II wojny światowej słynął z umiejętności maskowania swoich wojsk. Coś musi być na rzeczy, albowiem kiedy żołnierze ukraińscy zdobyli pozycje bojców, odkryli zamaskowane kryjówki i sieć podziemnych korytarzy. Głębokie, ale ciasne doły osłonięto drewnianymi drzwiami od dużych skrzyń wojskowych. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to wkopana w ziemię skrzynka z amunicją. Po otwarciu wieka prawda okazała się zgoła inna. Zamiast taśm z nabojami znaleziono tam ukryte wejście do wilgotnej nory, w której walały się wojskowe, cuchnące stęchlizną śpiwory. Kryjówka miała kilka bocznych „pokojów" i schodki prowadzące w dół do następnych miniaturowych pomieszczeń. Tak żyli sobie Buriaci w środku lasu. Jak to mówią – lepiej ciasne, ale własne.

„Blad'" to rosyjska, niecenzuralna nazwa kobiety „zawodowo lekkomyślnej". Na zamieszczonym ostatnio w sieci filmiku obserwujemy paniczne wycofywanie się ruskiej piechoty zmotoryzowanej z rejonu walk gdzieś koło Chersonia. Dowódca pogania krzykiem żołnierzy, żeby szybciej wskakiwali na swoje transportery opancerzone. Widać trzy zaparkowane na skraju drogi kołowe BTR-80. Sytuacja staje się nerwowa, bo szefostwo coraz częściej krzyczy: „Bystro! Bystro! Blad', dawaj!". W końcu towarzystwo siedzi w środku i na pancerzach gotowe do odjazdu. Ruszają. Kamera znajduje się na pierwszym transporterze. Nie jadą, tylko pędzą. Jeden z bojców usiadł tak, że zasłonił kierowcy wizjer. BTR skręca w prawo. Koła łapią rów. „Na liewo, blad'!" – krzyczy ktoś z desantu do kierowcy. Ten próbuje, ale nic z tego. Transporter z bojcami wjeżdża do rowu i wali się na bok. „Kaniec filma". Dzięki temu nagraniu w nawiązaniu do niemieckiego określenia wojny błyskawicznej „Blitzkrieg" powstał nowy termin – „Blad'krieg". To obecne określenie „operacji specjalnej" Władimira Władimirowicza na Ukrainie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d585177f9f

Symbolika oprawców

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według szacunków Instytutu Pamięci Narodowej do niedawna w polskiej przestrzeni publicznej istniało ok. 60 pomników żołnierzy Armii Czerwonej, narzędzia ZSRS. Armii, która w sposób zaplanowany mordowała Polaków, Ukraińców, Kazachów, Tatarów, przedstawicieli wielu innych narodów, własnych obywateli i podporządkowała sobie na dekady znaczną część Europy, pozbawiając jej ludność wolności i innych podstawowych praw oczywistych w strefie cywilizacji chrześcijańskiej. Usuwanie pomników gloryfikujących zbrodniarzy rozpoczęło się spektakularnie wraz z przemianami przełomu lat 80. i 90. XX w., a później spowolniło, jakby konieczność przeprowadzenia dekomunizacji przestrzeni publicznej w Polsce została zlekceważona.

Od 2016 r. obowiązuje ustawa o usuwaniu symboli totalitarnych z przestrzeni publicznej. Wedle przepisów obowiązujących w Polsce pomniki nie mogą upamiętniać osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm lub inny ustrój totalitarny ani w inny sposób takiego ustroju propagować. Akt prawny został przyjęty większością aż 438 głosów!

Wykonując przepisy wspomnianej ustawy w ostatnich dniach października br. w Głubczycach, Byczynie, Bobolicach i Staszowie zdemontowano cztery posowieckie monumenty. Wiosną usunięto podobne symbole z Garncarska w gminie Sobótka, Siedlca i Międzybłocia w Wielkopolsce. Analogiczne działania są podejmowane przez władze Łotwy, które w czerwcu br. zadecydowały o likwidacji znajdującego się w Rydze 79-metrowego (!) pomnika Żołnierzy Armii Sowieckiej – „wyzwolicieli sowieckiej Łotwy i Rygi z rąk okupantów niemiecko-faszystowskich, wzniesionego w 40. rocznicę zwycięstwa ZSRS". Ponadto w stolicy Łotwy zaplanowano demontaż 69 pomników i tablic pamiątkowych gloryfikujących Armię Czerwoną i Związek Sowiecki. O usunięciu symboliki ZSRS z przestrzeni publicznej zadecydowała także Estonia i Litwa, gdzie do likwidacji pozostaje odpowiednio 400 i ok. 360 różnego rodzaju upamiętnień „wyzwolicieli".

Świadomość, czym w istocie był zorganizowany przez Związek Sowiecki PRL, staje się w ostatnich latach coraz wyrazistsza, a okrucieństwo trwającego od 24 lutego terrorystycznego ataku na Ukrainę uzmysławia, że natura dzisiejszej Federacji Rosyjskiej nie różni się zasadniczo od ZSRS. Tym bardziej więc przestrzeń publiczna powinna zostać uwolniona od wszelkich symboli, które mogłyby stanowić pretekst do podważania zbrodniczej, złej roli, którą wyrył w historii okres dominacji ZSRS.

Pałac Kultury i Nauki w Warszawie wzniesiony na życzenie Józefa Stalina jest najbardziej przytłaczającym z istniejących w Polsce pomników tego zbrodniarza. Zalicza się do tzw. siedmiu sióstr, czyli zlokalizowanych w kilku krajach budowli z lat 1949–1957, które miały sławić potęgę Stalina. Warto wspomnieć, że przytłaczający swoją architekturą „dar narodów sowieckich dla narodu polskiego", jak głosiła propaganda, nie był żadnym prezentem od Związku Sowieckiego. Z dokumentów archiwalnych wynika, że nie został sfinansowany przez ZSRS. Pochłonął za to kilka kwartałów przedwojennych, secesyjnych ulic, których kamienice wyburzono specjalnie pod jego budowę. Wielu twierdzi, że pałac wtopił się w architekturę stolicy i zdaje się wręcz atrakcyjnym reliktem minionej epoki. Z uwagi na jego gabaryty trudno byłoby go zlikwidować. Martwi jednak, że – tak jak miało to miejsce przez dziesiątki lat – wciąż góruje w świadomości wielu Polaków i zagranicznych turystów jako główny symbol Warszawy.

Architektura jest dziedzictwem każdego narodu, punktem odniesienia i wizytówką wpływającą na poczucie własnej wartości. Stalinowski pałac w centrum Warszawy, symbolizujący oprawcę Polaków i marionetkowe sowieckie rządy okresu PRL, powinien pozostawać w cieniu budowli przypominających najlepsze tradycje Rzeczypospolitej. Nie da się go fizycznie usunąć, ale wzbogacić przestrzeń wokół niego o rzetelną wiedzę na temat jego prawdziwej symboliki i zaprzestać prezentowania tej bryły jako oderwanego od mrocznej przeszłości popkulturowego symbolu także współczesnej Warszawy zdecydowanie można i trzeba.

REKLAMA

3/1122/F

eprasa.pl d585177f9f

Rosyjskie wojska na polskiej granicy

Samuel Pereira

Nie miejmy złudzeń. Taka dzisiaj byłaby nasza rzeczywistość, gdybyśmy – a tego chcą najważniejsi politycy opozycji pretendujący do rządzenia Polską – we wszystkim oglądali się na Berlin i Brukselę.

6 października Unia Europejska przyjęła ósmy pakiet sankcji wobec Rosji, a niedługo ma przyjąć dziewiąty. Zacząłbym od tego, że już samo w sobie jest to groteskowe, bo na zagrożenie rosyjską agresją na Ukrainę należało przygotować się pod koniec ub.r., gdy premier Mateusz Morawiecki odbył tour po Europie i ostrzegał unijnych przywódców przed Rosją. Pamiętamy ten klimat na początku lutego, gdy padały deklaracje, żeby Putin nawet nie próbował wjeżdżać na Ukrainę, bo wtedy zasmakuje sankcji UE i pożałuje. Skończyło się działaniami tak wolnymi, że aż niezrozumiałymi z punktu widzenia logiki. Okazało się, że Niemcy po cichu liczyli się z szybkim marszem Rosjan na Kijów i zgodnie ze starym, dobrym „business as usual" wróciliby do robienia interesów. Gdyby polityka UE wobec Rosji była naprawdę nastawiona na zatrzymanie wojny i odzyskaniu dla Ukrainy jej terytorium, to pakiety sankcji byłyby maksymalnie trzy, z czego ostatni zamykający temat i rzucający Putina na kolana. Nieprzypadkowo tak się nie dzieje i Bruksela wciąż bardziej skupia się na zaszkodzeniu Warszawie niż Moskwie.

Szczególnie w Polsce nie powinniśmy mieć żadnych złudzeń, w końcu gdyby nie blokada premiera Morawieckiego, to latem 2021 r. Unia Europejska zaprosiłaby Putina na szczyt. Ten chory pomysł przywódców Francji i Niemiec przypomina odprawę polskich ambasadorów w 2010 r., na którą Radosław Sikorski zaprosił... szefa rosyjskiego MSZ, Siergieja Ławrowa. Taka, proszę państwa, była polityka zagraniczna i byłaby dalej, gdyby dziś rządziła ekipa PO-PSL. Czy ktoś ma wątpliwości, że gdyby dziś byli u sterów, to każdą decyzję i ruch w sprawie Ukrainy – konsultowaliby z Niemcami? Bo ja nie. Rosja dawno zajmowałaby Ukrainę, a swoje wojska trzymała pod polską granicą, jako „element negocjacyjny" z UE, a władze w Warszawie przekonywałyby, że jeśli nie podpiszemy porozumienia z Rosją, to wszyscy zginiemy.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Pan od mikrofonów

Z Markiem Grąbczewskim, najbardziej znanym realizatorem technicznym fonii, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. TVP

Mam wrażenie, że jest pan najlepiej prezentującym się i rozpoznawalnym pracownikiem technicznym TVP. Największe imprezy na żywo, w tym opolskie festiwale, odbywały się z pana udziałem. Ile to już lat pracy w obchodzącej 70-lecie instytucji?

Marek Grąbczewski: Ponad pół wieku. Teraz na co dzień zajmuję się realizacją techniczną dźwięku w warszawskich studiach TVP. A w opolskim amfiteatrze pierwszy raz nagłaśniałem artystów w 1972 r. Wtedy podczas całego festiwalu uruchamiałem 10 mikrofonów. Teraz tylko w czasie jednego koncertu na estradzie jest ich czynnych trzy razy więcej.

Pana telewizyjny staż robi wrażenie podobnie jak wizerunek, który zaprowadził pana w końcu przed kamery. Jakiego programu?

„The Voice Senior" – to wszyscy wiedzą. Tuż przed wejściem na scenę wspieram uczestników. To bardzo ciekawi, przemili ludzie. O wielu zainteresowaniach, nie tylko wokalnych. Z przyjemnością się z nimi rozmawia. I oczywiście trzymam za nich kciuki podczas kolejnych występów.

Ma pan swoich faworytów?

Chyba każdy ich ma, ale żadnego tu nie wskażę.

A czeka pan na wykonanie jakiegoś utworu?

Daję szansę wszystkim prezentowanym piosenkom, bo w tym programie i tak najważniejsze jest wykonanie. To, co wnoszą do utworu uczestnicy. Jakie emocje i jaki bagaż życiowych doświadczeń.

eprasa.pl d585177f9f

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

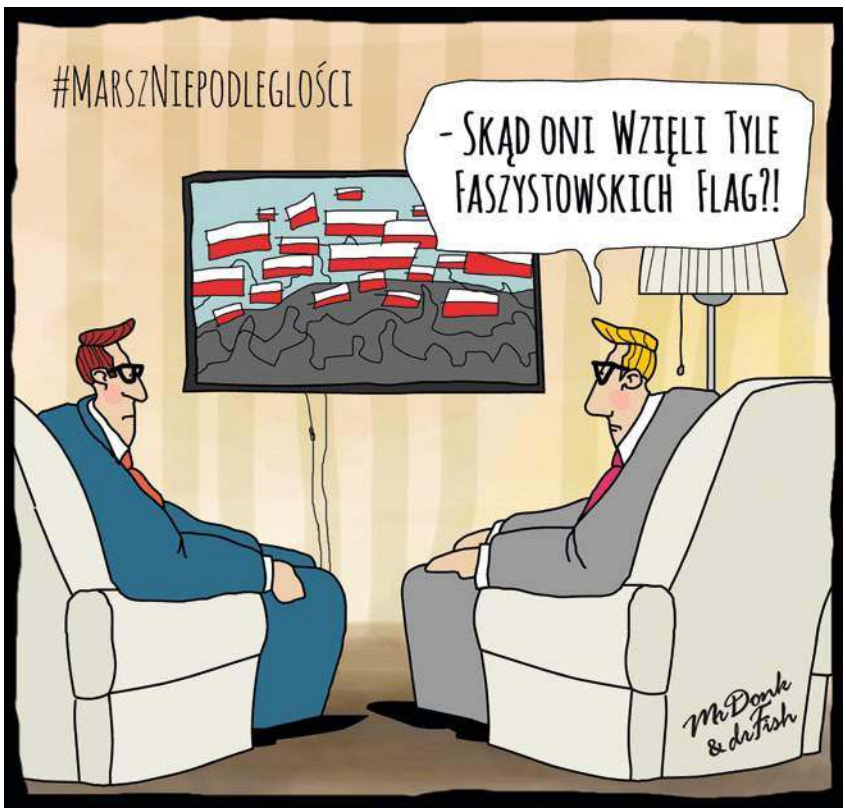

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialine

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, SHUTTERSTOCK/ LUKAS KURKA, TOMKO91, SEO BYEONG GON, HEIDE PINKALL, APHOENIX

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

nasz **sondaż**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

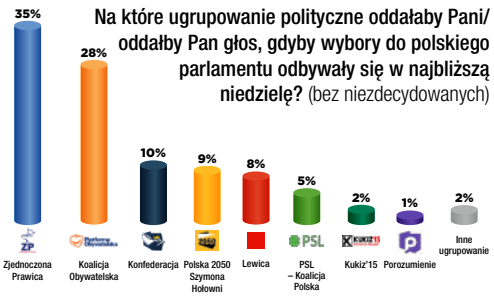

Czy popiera Pani/Pan budowę w Polsce dwóch elektrowni atomowych, które są zaplanowane w ramach rządowego Programu Polskiej Energetyki Jądrowej?

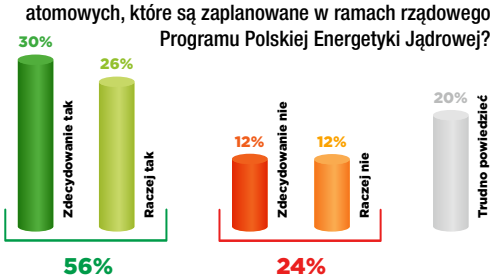

A czy popiera Pani/Pan budowę w Polsce większej liczby elektrowni, także przez prywatne konsorcja?

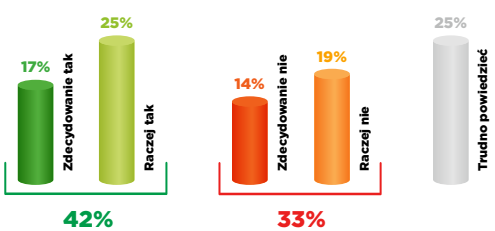

Czy zgadza się Pani/Pan, aby samorządy mogły obecnie podnosić ceny za wodę i ścieki?

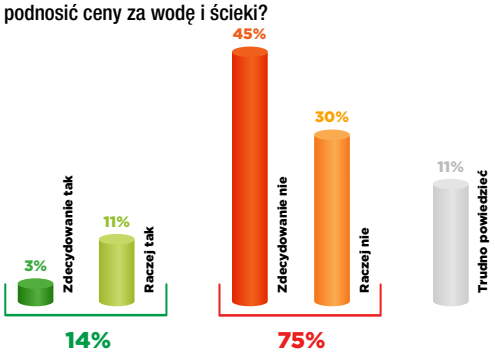

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1058.

Zakres czasowy badania 28–31 października 2022 r.

eprasa.pl d585177f9f

Polska to nie żart

eprasa.pl d585177f9f

Ja już żadnych odpowiedzi na sugestie z tamtej strony nie będę realizował. Nie wierzę w to, że dalsze wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom Brukseli przyniesie jakiekolwiek rezultaty. Nie wchodziliśmy do Unii, w której będą nam narzucane obce wzorce. Nie takiej Unii chcemy. Nie na taką Unię Polacy się umawiali – mówi prezydent ***Andrzej Duda*** w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Fot. Andrzej Wiktor

Rozmawiamy w dniu, w którym uczestniczył pan w uroczystości otwarcia Muzeum Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej. Czy w czasie, gdy w putinowskiej Rosji odradza się – można powiedzieć – hybryda dwóch totalitarnych ustrojów, z którymi rotmistrz tak bohatersko walczył, pamięć o nim jest szczególnie cenna?

Andrzej Duda: Wyjątkowe jest to, że powstaje pewien zespół muzeów, bardzo ważny dla opisywania naszych bohaterów, a przede wszystkim ich miłości do ojczyzny. Zaczynamy w Ostrowi Mazowieckiej, w polskim domu, z którego wywodzi się Maria, żona rotmistrza Pileckiego. W nim się wychowała, a później w czasie wojny schroniła z dziećmi. Dalej przechodzimy przez Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, aż docieramy do tego najtragiczniejszego miejsca przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie naszych bohaterów więziono, katowano i mordowano. Ten cykl muzeów buduje opowieść, którą każdy w Polsce powinien poznać, by zrozumieć, czym jest polski patriotyzm.

I że wynosi się go z domu?

Pileccy wspólnie przeszli drogę krzyżową. Siłę do tego Maria musiała wynieść z domu. Nieustannie martwiła się o Witolda, od jego pójścia na wojnę, przez to, że znalazł się w obozie koncentracyjnym, a później w konspiracji. A jednak trwała i troszczyła się o dzieci, a jego nawet podtrzymywała na duchu. Gdy aresztowali go komuniści i się nad nim znęcali, ona była przy nim. A gdy go zamordowali, była z nim duchowo. Później mimo wszystkich trudności szła przez bardzo ciężkie życie prześladowanej rodziny żołnierza niezłomnego. Aż dzieci skończyły studia i mogła uznać, że jej matczyny i patriotyczny obowiązek został

eprasa.pl d585177f9f

wykonany. Czy dobrze? Proszę pójść do muzeum przy ul. Rakowieckiej i porozmawiać z panią Zofią Pilecką-Optułowicz, a zobaczycie państwo, że został wykonany wzorowo.

To patriotyczne wychowanie dziś, w obliczu barbarzyńskich działań Rosji, nabiera szczególnej wagi?

Imperializm rosyjski odradzał się od 20 lat. W 2008 r. niezwykle mocno i trafnie pokazał to w Tbilisi Lech Kaczyński. Od tamtej pory te zapędy Moskwy tylko narastały. To, co dziś się dzieje na Ukrainie, to emanacja rosyjskiego szowinizmu. Na szczęście widzimy, jak kulejącego i łamiącego sobie zęby na ukraińskiej obronie.

Ale czy nie ma pan wrażenia, że po raz pierwszy po 1989 r. tak wyraźnie widzimy, że niepodległość nie musi być dana na zawsze?

Nie jest dana. Naiwni byli ci, którzy uważali, że tak jest. Ja nigdy tak nie uważałem, dlatego od początku mówiłem, że trzeba twardo prowadzić polskie sprawy, ale przede wszystkim odbudować Polskę tam, gdzie ona została zniszczona czy zaniedbana. Mam na myśli m.in. kwestię bezpieczeństwa zewnętrznego, czyli budowania potencjału polskiej armii. To zadanie bardzo trudne, bo wiążące się z ogromnymi wydatkami i trudnymi decyzjami. Ale ten proces się dzieje. Wierzę, że dzięki niemu żadna agresja na Polskę się nie zdarzy, bo będzie ona wystarczająco silna, by przed tym odstraszyć. Dzięki powołaniu Wojsk Obrony Terytorialnej możemy dostrzec, jak wielu jest ludzi, których cechuje postawa patriotyczna, którzy chcą służyć ojczyźnie. To dla mnie niezwykle ważne.

Szykujemy się „na wypadek gdyby…". Co by pan w przypadku tego „gdyby" powiedział tym młodym żołnierzom, zwłaszcza z WOT?

Im nie trzeba nic mówić. Poszli do wojska z przekonaniem, że trzeba bronić ojczyzny, jeśli zajdzie taka potrzeba. Są gotowi stanąć i własną piersią bronić Polski. Dlatego chcą się nauczyć strzelać, podstawowych zasad zachowania żołnierza, prawideł współczesnego pola walki. Rozmawiam z nimi, więc mam tego pełną świadomość. Chciałbym, by całe społeczeństwo przyjęło do świadomości, że jeśli zdarzyłoby się jakiekolwiek niebezpieczeństwo, to trzeba będzie bronić ojczyzny.

A jeśli ktoś tego nie rozumie?

Wytłumaczyłbym mu to tak: nigdy nie będziesz obywatelem pierwszej kategorii poza własnym krajem. Nigdy! A przynajmniej nie w pierwszym pokoleniu emigracyjnym. Zawsze będziesz przyjezdnym. Taka jest prawda. Można się czuć obywatelem świata, ale inną sprawą jest, jak będą cię traktowali. Obywatelem pierwszej kategorii jesteś tylko tu, u siebie, gdzie o swoim kraju decydujesz, korzystasz z wszystkich demokratycznych praw. Demokracja to z jednej strony władza, która otrzymuje legitymację od ludzi do rządzenia, a z drugiej – rządy w interesie obywateli.

> Niepodległa ojczyzna to nie jest żart. Trzeba ją szanować, pilnować jej interesów. Jeśli ktoś tego nie pojmuje, niech otworzy książkę do historii i poczyta o utracie państwowości w okresie zaborów

To jaki jest pana przekaz, apel do Polaków na tegoroczne Święto Niepodległości?

Polska to poważna sprawa. Własna niepodległa ojczyzna to nie jest żart. Trzeba ją szanować, pilnować jej interesów. Ale przede wszystkim trzeba o nią dbać, by trwała tutaj, w tym miejscu Europy, by była nasza, cały czas niepodległa i suwerenna. To ma absolutnie fundamentalne znaczenie dla naszego narodu. Jeśli ktoś tego nie pojmuje, niech otworzy książkę do historii i poczyta o utracie państwowości w okresie zaborów. Niech sobie przypomni, jak wtedy żyli Polacy, jaka była rozpacz. Niech poczyta utwory Mickiewicza, posłucha muzyki Chopina – tych, którzy na emigracji cierpieli z tęsknoty za ojczyzną. Bo nie było do czego wracać. Bo ludzie byli więzieni, wywożeni w kibitkach na Sybir, germanizowani, wynaradawiani.

Jeszcze parę miesięcy temu niektórym pewnie trudno byłoby przyjąć, że to wcale nie musi być tylko karta odległej historii.

A przecież np. postawa dzieci z Wrześni nie jest jakąś dawną legendą. Ktoś dziś mógłby pomyśleć: dzieci nie chciały się modlić po niemiecku. To jakieś dziwne dzieci! No więc nie chciały i bardzo dobrze wiedziały, dlaczego nie chcą. Ich rodzice też bardzo dobrze wiedzieli, dlaczego nie zmuszają swoich dzieci do modlenia się po niemiecku, a uczyli je w domach modlić się po polsku. Bo byli Polakami i chcieli mieć z powrotem swoje własne państwo. Walczyli o nie. I wygrali. W międzywojniu rozumiano, jak wielka jest to wartość. Niestety, utraciliśmy ją we wrześniu 1939 r. Może właśnie dlatego, że w II Rzeczypospolitej nie umieli się dogadać w wielu sprawach.

To też lekcja na dziś.

Oczywiście. Trzeba patrzeć nie tylko na te piękne karty – inwestycje, rozwój przemysłu, miast, kultury – ale też niepotrzebne kłótnie, złość, nienawiść. Niech Polska już nigdy taka nie będzie. Niech będzie lepsza. Ten 11 listopada też niech będzie takim memento. Bo przez dwie dekady się nim cieszyliśmy, ale potem przyszedł wrzesień. I pytanie: co zrobić, by podobnego września nigdy więcej nie było, by już nie dało się Polski rozedrzeć, pokonać? Wtedy niestety mieliśmy niewiarygodne sojusze, byliśmy za słabi, by się samodzielnie obronić. Dziś wyciągamy z tego naukę.

Szkoda, że tyle czasu zmarnowano w czasie ostatnich trzech dekad wolności.

eprasa.pl d585177f9f

Dlatego mówię to wszystko zwłaszcza do młodych, którzy urodzili się po 1989 r. i nie pamiętają czasów, kiedy nie byliśmy państwem wolnym, suwerennym. Kiedy mieliśmy narzuconą władzę, której wydawało się, że nie uda się zmienić. Kiedy wielu ludziom wydawało się, że jesteśmy skazani na życie w komunie. Kiedy upadek Związku Sowieckiego wydawał się czymś abstrakcyjnym. Potem własnymi oczami obserwowaliśmy z zapartym tchem historię, która z całą pewnością znajdzie się w podręcznikach. Przecież przełom lat 80. i 90. to była przemiana, która będzie traktowana na równi z Wiosną Ludów i innymi wielkimi zmianami politycznymi w Europie i na świecie. Dziś moim zdaniem obserwujemy kolejną.

Przez pryzmat Ukrainy?

Tak. Nie widzieliśmy tego przez dziesięciolecia – wojny totalnej, większej niż w państwach wywodzących się z byłej Jugosławii, o większej skali, w której bierze udział mocarstwo atomowe, atakując niepodległy kraj. Od tego, czy ten kraj się obroni, zachowa suwerenność, zależą dalsze losy Europy.

Mówi pan o niebezpieczeństwie na Wschodzie. Ono jest już chyba dla wszystkich oczywiste. Ale nie sposób oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy w pewnych kleszczach. Bo przecież napór ideologiczny z Zachodu czy szantaże finansowe – i to ze strony sojuszników – też stanowią zagrożenie. Nie chcemy tego oczywiście równoważyć, ale faktem jest, że musimy dziś walczyć również na takim niespodziewanym froncie.

Odpowiem tak: z wielką uwagą przeczytałem ostatnią rozmowę w tygodniku „Sieci" z panem posłem Jackiem Saryusz-Wolskim. W wielu punktach przyznaję mu rację.

On stawia bardzo mocną diagnozę, że Polska jest przedmiotem ataku hybrydowego. Mówi: „Czas przyjąć do wiadomości, że Niemcy via Bruksela i lewicowo-liberalny mainstream wypowiedzieli nam niekonwencjonalną wojnę".

Nie wchodziliśmy do Unii, w której będą nam narzucane obce wzorce. Nie takiej Unii chcemy. Nie na taką Unię Polacy się umawiali. Od 1945 r. mieliśmy narzucane, co ma w Polsce się dziać. Jestem przekonany, że Polacy chcą sami o sobie decydować, a nie żeby ktoś na nas cokolwiek wymuszał. Najlepszym dowodem, że Polacy sobie tego nie życzą, było ponowne zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy w 2019 r. i moje w 2020 r. Gdyby Polacy chcieli realizowania dyktatów z zagranicy, to ani w 2019 r., ani w 2020 r. nie wybraliby nas, lecz tych, którzy chcą realizować to, co się im każe z zewnątrz.

> Ja się do Brukseli nie wpraszałem. To pani von der Leyen do mnie dzwoniła z prośbą, bym przyjechał i przedstawił naszą propozycję w sprawie Sądu Najwyższego. To była jej inicjatywa. I nie miała wtedy uwag

Elementem tego dyktatu było oszukanie pana przez szefową Komisji Europejskiej?

Nie. Było elementem nieuczciwej gry. Tak to odbieram.

Po co był ten spektakl z jej strony? Dlaczego przyjechała do Warszawy i w pana obecności powiedziała, że jest zielone światło dla wypłaty pieniędzy z KPO, a później zmieniła zdanie?

Nie wiem. Ja cały czas zachowywałem się uczciwie. Nigdy niczego nie ukrywałem. Scena polityczna jest w Polsce taka, jaka jest, z panią Ursulą von der Leyen mówiłem otwarcie, jak wygląda sytuacja w wymiarze sprawiedliwości, dlaczego są wokół niego tak duże tarcia, dlaczego musimy go naprawiać. Mówiłem jej też jasno, że wtrącanie się instytucji europejskich w tę sprawę jest nielegalne, że to łamanie prawa europejskiego. Poza tym ja się do Brukseli nie wpraszałem. To ona do mnie dzwoniła z prośbą, bym przyjechał i przedstawił naszą propozycję. Powiedziałem, że co prawda tymi sprawami zajmuje się pan premier, ale ponieważ projekt jest mój, oczywiście mogę wyjaśnić założenia projektu ustawy o Sądzie Najwyższym. To była jej inicjatywa. I nie miała wtedy uwag.

Jak szukać jakiegoś porozumienia, skoro nawet głowa naszego państwa została przez szefową KE oszukana?

Ja już żadnych odpowiedzi na sugestie z tamtej strony nie będę realizował. Mamy Izbę Odpowiedzialności Zawodowej w Sądzie Najwyższym, ma ona swojego prezesa, bardzo dobrze moim zdaniem wybranego. Poszedłem za wskazaniem większości sędziów. Oczekuję dojrzałości od niektórych w SN i odrobiny refleksji. Bo ten sąd, w którym jeden z sędziów przed 2015 r. prowadził skandaliczne rozmowy telefoniczne – do dziś można je odsłuchać w internecie – chyba nie funkcjonował dobrze, skoro nie wyciągał konsekwencji z takich sytuacji.

Jest możliwy powrót do rozmów o KPO z Brukselą? Rząd powinien być gotowy na jakieś ustępstwa czy raczej zaostrzyć kurs?

Według mojej wiedzy zrealizowaliśmy wszystkie warunki, by otrzymać pieniądze z KPO, nasz plan wydatków został zatwierdzony. Rozumiem, że czekamy na wypłatę tego, co nam się należy.

Ale wypłaty nie ma. Powinniśmy zmiękczyć stanowisko?

Nie wierzę w to, że dalsze wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom tamtej strony przyniesie jakiekolwiek rezultaty. Uważam, że za dużo dobrej woli z polskiej strony zostało wykazane. Zresztą doskonale wiemy, że jest tam grupa z Polski, która prowadzi politykę sprzeczną z podstawowymi interesami państwa polskiego i zaciera ręce, gdy Polsce szkodzi się w Brukseli. Boleję nad tym,

eprasa.pl d585177f9f

ale takie są fakty. Podobnie jak faktem jest, że obóz liberalno-lewicowy, którego przedstawiciele w większości zasiadają w KE, za wszelką cenę chce doprowadzić do zmiany władzy w Polsce.

Bój o tę stawkę za rok. Ale można powiedzieć, że kampania już trwa. Będzie pan ją tylko obserwował z boku?

Zależy mi na tym, by polskie sprawy były dobrze prowadzone. Pójdę więc oczywiście do wyborów, będę głosował na tych, co do których jestem przekonany, że będą realizowali to, co dla mnie jest ważne.

Wesprze pan Zjednoczoną Prawicę w kampanii?

Powtórzę: wesprę tych, którzy będą realizowali to, co dla mnie jest ważne. Chyba dla nikogo nie jest tajemnicą, jakiego państwa polskiego chcę, jak chciałbym, by Polacy czuli się w swojej ojczyźnie, jak chciałbym, by nasz kraj był traktowany z zewnątrz i w jakim kierunku powinien zmierzać. Mam nadzieję, że jest to spójna wizja i chciałbym, by była dalej realizowana.

Co będzie osią tej kampanii? W 2020 r. mówił pan często o tym, że Polakom żyje się lepiej. Teraz trudno o takie stwierdzenie.

Teraz chyba nikomu – może poza jakimiś jednostkami – nie żyje się coraz lepiej. Ani w Polsce, ani nigdzie dookoła.

Dlatego Polacy mówią: rządzie, zrób coś! Uzasadnione są te pretensje?

To naturalne, bo od kogo ludzie mają oczekiwać poprawy swojego losu? W demokracji obywatele oczekują od rządu i prezydenta aktywności. Jest to absolutnie zrozumiałe. Nawet jeżeli pewne rzeczy nie należą do kompetencji prezydenta, to jako szef państwa rozumiem swoją odpowiedzialność. Walka ze skutkami kryzysu covidowego i wojennego jest naszym obowiązkiem.

Opozycja, mówiąc o drożyźnie, w ogóle nie łączy jej z wojną. Dosyć bezceremonialnie zrzuca winę na PiS. Przyjmuje prezenty od Putina w wewnętrznej walce o władzę?

Można tak powiedzieć. W każdym razie atakowanie rządzących jest zbójeckim prawem opozycji. Czy to robi uczciwie, czy w trudnych czasach powinna z tego prawa korzystać – to jest inna sprawa.

A powinna?

Ja uważam, że w trudnych momentach trzeba się mitygować. I dlatego m.in. – choć sam mam swoje przekonania i z wieloma politykami na naszej scenie pod względem wizji Polski mocno się różnimy – wielokrotnie zapraszałem ich do siebie, kiedy trzeba było zwołać Radę Bezpieczeństwa Narodowego, omówić trudne tematy. Uważałem, że również mają prawo usłyszeć stanowisko prezydenta, poznać uczciwy obraz sytuacji i nasze możliwości działania. I byli zadowoleni. Traktowaliśmy się poważnie, bo uważaliśmy, że to jest realizacja interesów Rzeczypospolitej Polskiej. Chciałbym, żebyśmy uświadomili sobie, iż tych sytuacji, w których trzeba bardzo poważnego podejścia, jest ostatnio – niestety – dużo. Wolałbym, żebyśmy mieli lekko, łatwo i przyjemnie, ale tak nie jest.

> Osobiście wolę silną władzę centralną, ale ze sprawnym samorządem. Nie może być jednak tak, że samorządowcy uznają, że mogą zastępować władze państwowe i ingerują w ważne kwestie ogólnopaństwowe

Historia wraca? W walce o przetrwanie państwa znów liczy się to samo co przed 100 laty – wojsko, silna władza centralna?

Powiedziałbym, że liczy się sprawne państwo. Osobiście wolę silną władzę centralną, ale ze sprawnym samorządem. Nie może być jednak tak, że samorządowcy uznają, że mogą zastępować władze państwowe i ingerują w ważne kwestie ogólnopaństwowe. Mają się zajmować sprawami lokalnymi. Ale najważniejsze jest rozumienie interesu Polski jako całości.

Jaki zatem spór czeka nas za rok? O co będzie się toczył?

Myślę, że to wciąż będzie starcie dwóch różnych wizji Polski i jej miejsca we wspólnocie międzynarodowej. Wizji państwa suwerennego, podmiotowego i wizji zmierzającej w kierunku federalizacji UE, do czego wzywają europejskie mocarstwa, bo jest im to na rękę. Już słyszymy, że należy zrezygnować z prawa weta i wprowadzić we wszystkich sprawach głosowania większościowe. A to będzie oznaczało *de facto*, że będą mogli realizować przede wszystkim własne interesy. Oczywiście znajdą się tacy, którzy będą nam wmawiali, że tutaj chodzi o wielki interes całej Europy, ale prawda jest taka, że dla tych wielkich wielki interes Europy to jest ich interes.

Jak się temu sprzeciwiać?

Musimy przede wszystkim realizować swoje interesy. Tak robi każda mądra władza państwowa. Mam nadzieję, że większość Polaków instynktownie czuje, że tak właśnie powinniśmy robić.

A uda nam się zrealizować wielki interes narodowy, którym jest budowa elektrowni atomowych, bez rzucania nam kłód pod nogi przez Brukselę?

Zawsze znajdą się tacy, którzy będą przeciwni takim inwestycjom. Obawiam się tylko, że może tutaj chodzić nie tylko o Brukselę, tutaj mogą być czynni także inni szatani...

Umiejscawia ich pan na północny wschód od Brukseli?

[śmiech] Bardzo dobrze panowie wiecie, o kogo może mi chodzić!

Czy budowanie elektrowni atomowych ze Stanami Zjednoczonymi i z Koreą Południową oznacza coś więcej niż tylko umowy biznesowe? Czy to są kierunki, na których chcemy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d585177f9f

Nie możemy sobie pozwolić na to, by rozrywały nas jakieś niepokoje. Być może jest tak, że ten, kto nam najbardziej zagraża, chce, byśmy byli wewnętrznie osłabieni. Żeby w razie czego trudniej nam było zewrzeć szyki

eprasa.pl d58517719f

mieć najsilniejsze sojusze i w ten sposób je wzmacniamy?

Przede wszystkim tak wielkie projekty chcemy budować z wiarygodnymi partnerami. Nie tylko z takimi, którzy zbudują szybko i mają technologię na tyle wypróbowaną, że elektrownia się nie zepsuje ani nie spowoduje katastrofy. Chodzi o partnera, który ma w swojej ofercie także inne sprawy, w których jest wiarygodny. Stany Zjednoczone to przede wszystkim oferta bezpieczeństwa światowego. Korea Południowa ma technologię, z którą przychodziła do Polski przez ostatnie 30 lat i wyrobiła sobie niezaprzeczalną markę. Jako pracodawca, jako oferent towarów. Proszę spojrzeć, ilu Polaków jeździ dzisiaj koreańskimi samochodami czy używa koreańskiej elektroniki i uważa te produkty za świetne. One są prawie w każdym polskim domu. Nasze relacje są sprawdzone.

Były premier Leszek Miller po ogłoszeniu, że naszymi partnerami będą Amerykanie i Koreańczycy, ostrzegał, że Komisja Europejska może nam te inwestycje zablokować. W domyśle, bo nie wybraliśmy partnera francuskiego, czyli europejskiego. Jest takie zagrożenie czy to życzeniowe myślenie polityka opozycji, który chciałby znaleźć kolejne pole do poróżnienia nas z Europą?

Za dużo jest w takich wypowiedziach emocji. Akurat w tej kwestii zalecałbym więcej ostrożności i zachowanie spokoju. Powiem tylko tyle, że rozmowy, prowadzone w przeszłości także przeze mnie, jeszcze trwają.

À propos emocji, które w polityce rosną niebezpiecznie – skąd pana zdaniem biorą się takie zajścia jak próba wtargnięcia agresywnego człowieka w biały dzień do siedziby PiS w Warszawie czy dewastacja biur posłów Zjednoczonej Prawicy w innych miastach?

Rzeczywiście, takie rzeczy się dzieją. Ludzie bardziej emocjonalni tak reagują, bo dają się sprowokować. Ktoś do tego nawołuje, ktoś podjudza. To się dzieje ciągle. Komuś zależy na tym, by ten konflikt był coraz większy, żeby rosła agresja.

Donald Tusk mówił już o konieczności zorganizowania się na ulicy, usunięciu siłą rzekomo nielegalnego prezesa NBP. Tomasz Siemoniak, jego partyjny zastępca, dodał, że przyjdą silni ludzie i go wyprowadzą...

Silni ludzie już przychodzili... To było za czasów Donalda Tuska. Przypomnijmy, że gdy był premierem, to Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wchodziła do redakcji „Wprost", by siłą wydrzeć dziennikarzom nośniki danych z rozmowami nagranymi w restauracjach, kompromitującymi polityków Platformy. Wtedy Bruksela udawała, że nie widzi tego gwałtu, jaki był zadawany wolnym mediom. To był szok. Wyobrażacie sobie panowie, co by było, gdyby teraz coś takiego się zdarzyło? Jaki byłby wrzask? Zapewne największy ze strony tych, którzy wówczas udawali, że tego nie widzą. I Donald Tusk by zapewne nie milczał, pewnie nawoływałby Brukselę do natychmiastowej reakcji. To pokazuje, z kim mamy do czynienia, jaki to jest niewyobrażalny poziom hipokryzji.

Donald Tusk twierdzi, że robi to w poczuciu odpowiedzialności za Polskę, którą trzeba wyrwać ze szponów PiS.

To jest człowiek, który był premierem wtedy, gdy zginął prezydent Rzeczypospolitej lecący rządowym samolotem. Kto za to poniósł odpowiedzialność? On teraz mówi o odpowiedzialności? Proszę mnie nie rozśmieszać.

Znaczenie pojęcia totalnej opozycji poznaliśmy na dobre w zasadzie dopiero wtedy, gdy Donald Tusk wrócił do polskiej polityki. Od ponad roku konsekwentnie atakuje każdą, dosłownie każdą sferę działalności państwa polskiego. Dlaczego to robi?

Trudno jest mi odpowiedzieć na to pytanie. Może w ten sposób dokonuje mobilizacji swojego obozu politycznego.

Ale to musi mieć jakieś granice. Wydaje się, że te działania bardzo niszczą wspólnotę Polaków. Dochodzi wręcz do fizycznych ataków np. na osoby, które idą na spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. O co należałoby w tym miejscu zaapelować, byśmy nie obudzili się kiedyś w kraju, w którym będziemy musieli bać się o własne życie?

Ja przede wszystkim apeluję o spokój, o zachowanie zdrowego rozsądku i o to, by starać się patrzeć szerzej na to, w jakiej ogólnej sytuacji dziś jesteśmy – wyjątkowo trudnej. I nie możemy sobie pozwolić na to, by rozrywały nas jakieś niepokoje. Być może jest tak, że ten, kto nam najbardziej zagraża, chce, byśmy byli wewnętrznie osłabieni. Żeby w razie czego trudniej nam było zewrzeć szyki. Temu należy się oprzeć i spokojnie kontynuować politykę wzmacniania państwa. Zarówno realizując strategiczne inwestycje, jak i wzmacniając armię oraz służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne. Myślę tu o umacnianiu polskich granic, a także sojuszy, w których jesteśmy.

Nawet wokół budowy zapory na granicy z Białorusią mieliśmy zgiełk, że to inwestycja zbędna.

My służymy ludziom, a ludzie chcą być bezpieczni. To, co działo się na granicy w związku z hybrydowym atakiem ze strony białoruskiej, bez wątpienia było w porozumieniu z Kremlem. To była próba stworzenia niebezpiecznej sytuacji w Polsce i ludzie to czuli. Dlatego każde wzmacnianie tej granicy podnosi bezpieczeństwo. W mojej ocenie dokładnie tego oczekują obywatele.

I decyzja o stawianiu zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim jest słuszna?

Prawda jest taka, że dzisiaj obwód kaliningradzki jest dla nas potencjalnym zagrożeniem. Jak więc można mieć wątpliwości, czy trzeba umacniać tę granicę?

Gdy rozmawialiśmy ostatnio, cały świat był pod wrażeniem polskiej pomocy Ukraińcom uciekającym przed wojną. Mówiło się wręcz o pewnej polsko-ukraińskiej wspólnocie. W jakim momencie tych relacji jesteśmy dziś? Czy wojna nam nie spowszedniała, a serca się nie znudziły? Czy nasza pomoc Ukraińcom powinna mieć jakieś granice?

Myślę, że Polacy są mądrzy. I oceniają innych tak jak siebie. Patrzą, czy ludzie chcą pracować, czy są w stanie coś od siebie dać, czy tylko wyciągają rękę

eprasa.pl d585177f9f

po zapomogę. Myślę, że bardzo wielu naszych gości z Ukrainy doceniamy za to, że nie oczekują tylko pomocy, ale wielu z nich to ludzie ciężkiej pracy. Widzimy tutaj matki troszczące się o swoje dzieci, to dla Polaków ważne. Są pewnie przypadki, gdy dochodzi do zgrzytów, i znajdą się tacy, którzy nigdy nie będą zadowoleni, bo ludzie są tylko ludźmi. Ale zasadniczo żadnych wielkich konfliktów nie ma, co przy tak ogromnej liczbie osób, które do Polski przyjechały, też coś powinno nam powiedzieć. Polacy przybyszów traktują tak, jak traktowaliby siebie, jak swoich. Miłuj bliźniego jak siebie samego.

Jest pan w stałym kontakcie z prezydentem Zełenskim, kilka razy odwiedził go pan mimo wojny toczącej się na Ukrainie. Czy on się zmienił od 24 lutego?

Myślę, że Wołodymyr jest już bardzo, bardzo zahartowanym politykiem. Nie zajmował się wcześniej polityką, nie miał doświadczenia, a przecież zaczynał sprawowanie urzędu w bardzo trudnym czasie, gdy część jego kraju już była okupowana przez Rosję. Podjął się więc karkołomnego zadania, ale jak do tej pory wywiązuje się z niego w sposób niesamowity. Wielu mówiło, że się po nim tego wręcz nie spodziewało. Namawiano go, by uciekał z Ukrainy, a on odmówił. Powiedział, że zostaje, że będzie do końca na posterunku i na nim trwa. To pokazuje, jakim jest człowiekiem.

A jak jest ważny dla Ukraińców, którzy już wiedzą, że poza dobrym uzbrojeniem trzeba im wyjątkowego hartu ducha w starciu z rosyjskim barbarzyństwem?

Jest liderem nie tylko państwa, ale i narodu ukraińskiego. Odgrywa absolutnie fundamentalną rolę. Na jego barkach w znacznym stopniu spoczywa odpowiedzialność za obronę Ukrainy, na pewno jeśli chodzi o utrzymanie wysokiego morale obywateli. Spotykam często ludzi z Ukrainy, zazwyczaj na moje ręce składają podziękowania dla nas, Polaków, za pomoc, ale czasem jest okazja dłużej porozmawiać i nikt z nich nie mówi źle o swoim prezydencie, choć spór polityczny bywa tam również zażarty. Czyli uważają, że się sprawdził, że okazał się właściwym prezydentem na te trudne czasy.

Mówił pan o sojuszach, które dla Polski są niezwykle ważne. Jak wyglądają nasze dzisiejsze relacje z Litwą, której prezydent Gitanas Nausėda przyjedzie do Warszawy 11 listopada na obchody naszego Święta Niepodległości?

Bardzo dojrzale. Od kiedy pan prezydent Nausėda sprawuje urząd, widzę u niego naprawdę szerokie, horyzontalne spojrzenie na nasze wspólne sprawy. Jest w tym profesjonalizm, a także duża mądrość, wynikająca z naszej historii. Tutaj mamy sporo punktów stycznych. Dlatego śmiało mogę powiedzieć, że się przyjaźnimy. Stąd to zaproszenie na 11 listopada, które pan prezydent przyjął, co jest dla mnie bardzo ważne i wzruszające. Ja także niebawem na jego zaproszenie pojadę do Kowna. To są rzeczy symboliczne, ale mają wymiar o wiele szerszy.

> Prawda jest taka, że dzisiaj obwód kaliningradzki jest dla nas potencjalnym zagrożeniem. Jak więc można mieć wątpliwości, czy trzeba umacniać tę granicę?

W obecnej sytuacji blisko wojny, to my bardziej potrzebujemy Litwy czy Litwa nas?

Obaj czujemy, że potrzeba nam jedności, zacieśniania relacji między państwami i budowania jak najbardziej spójnego sojuszu. Choć przecież każdy z nas jest prezydentem suwerennego państwa. To jest oczywiście odwołanie do unii polsko-litewskiej. Dopóki narody naszej części Europy, od dzisiejszej Ukrainy do Estonii, stały razem, to dawaliśmy odpór wszelkim zakusom Rosji. Tkwiła w nas ogromna siła. Gdy udało się nas podzielić, Rosja konsekwentnie zagarniała kolejne obszary.

Pewnym symbolem była ustawa o polskiej pisowni nazwisk przegłosowana w litewskim sejmie, co panu prezydentowi Nausėdzie nie przysporzyło zwolenników. A jednak się na to zdecydował, co wydaje się gestem wykraczającym ponad zwyczajowe relacje między państwami. Co na tym zyskał?

On na pewno zmienił politykę, która była poprzednio realizowana wobec Polski. Rzeczywiście uważam, że to był z jego strony bardzo ważny gest. Odważny, ale zarazem mądry. Gitanas Nausėda jest doświadczonym politykiem i wie, że tak się buduje sojusze. Że gdyby coś się stało, to ja pierwszy powiem głośno, że Litwie trzeba pomóc. Złożoność tych relacji polega na poważnym podejściu nie tylko do gestów, ale też do zobowiązań, które wobec siebie mamy. Pan prezydent zdaje sobie sprawę, że zabiegając o obecność tutaj wojsk amerykańskich, nie działaliśmy tylko w swoim wąskim interesie. To prawda, to my mówiliśmy, że szpica NATO ma być nie wokół Warszawy, co pewnie byłoby dla nas cenniejsze, tylko na wschodniej flance przy przesmyku suwalskim. Czyli jak najbliżej Litwy, z możliwością pomocy naszemu sojusznikowi. Wszystkie państwa bałtyckie są jednakowo ważne, my to pokazaliśmy i stąd jest to zrozumienie, ta sfera wzajemnych gestów i życzliwości. To jest bardzo skuteczna polityka, bo ona umacnia nasze wspólne bezpieczeństwo.

Politykiem, który głośno i odważnie mówił o zagrożeniu ze strony Rosji dla krajów naszego regionu, był prezydent Lech Kaczyński. Jak pan uważa, czy byłby zadowolony z kierunku, w którym teraz zmierza Polska?

On miał cel nadrzędny – umacnianie państwa. Na każdym polu: gospodarczo, infrastrukturalnie, walutowo, także militarnie i jeśli chodzi o bezpieczeństwo granic. Mam więc nadzieję, że z aprobatą odniósłby się do tych wszystkich działań, które podejmujemy w ostatnich latach.

eprasa.pl d585177f9f

Zatroskani o niepodległość

eprasa.pl d585177f9f

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Nie jest ani lekka, ani kolorowa, ani łatwa do zdobycia, odzyskania czy utrzymania na dłużej w kraju nad Wisłą, Niemnem czy Dnieprem. Jej bohaterowie dobrze wychodzili na zdjęciach czy uroczystościach, ale za zamkniętymi drzwiami byli przytłoczeni zagrożeniami wiszącymi nad jej głową. Niepodległość to sprawa bardziej ulotna, niż nam się wydaje

Maj 2022 r., miasto Słowiańsk w Donbasie. Codziennie pod sklep spożywczy, w którym z racji braku dostaw zostały już tylko papierosy, napoje energetyczne i ciastka, zajeżdża ciężarówka wypchana młodymi wojskowymi. Szczerze mówiąc, gdyby nie mundury, to wyglądaliby jak wycieczka szkolna ze swoimi wybuchami śmiechu, przepychankami, ze złośliwym kierowcą, który tak szarpnął autem, że ci z brzegu w aurze rozbawienia wypadli z pojazdu. Chłopcy o niezarośniętych buziach kupują głównie papierosy i napoje energetyczne, potem wskakują na ciężarówkę i odjeżdżają do bazy wojskowej – tam, gdzie wybuchy są głośniejsze i ostrzejsze niż w samym miasteczku. Któregoś poranka zabieram kamerę i czekam pod sklepem, bo ten obrazek tryskającej młodości broniącej kraju to idealny kadr dla naszej telewizji wPolsce.pl.

Tym razem jednak samochód zajeżdża inaczej, ciszej, wolniej, staje bez szmeru przy krawężniku. Z prawie pustej ciężarówki wysiada chłopiec o twarzy zmienionej, jakby minęły lata wojen. Jest sam, do dolnej wargi przykleił mu się zgasły papieros, ruchy ma powolne, patrzy beznamiętnie przed siebie. Nie trzeba pytać, co się stało i gdzie są jego koledzy, gdzie ta niby szkolna wycieczka roześmianej młodzieży i co się dzieje w głowie ocalałego. Nie trzeba i nie wolno – obrona niepodległości to rzecz delikatna i kosztowna, nie do wyciskania z człowieka w przejściu do byle jakiego sklepu. Wolna i suwerenna Ukraina płaci tysiącami takich historii za obronę przed złowieszczym imperium.

Co my możemy o tym wiedzieć? Od ponad trzech dekad suwerenna, od 80 lat, nie zaznawszy wojen, istnieje sobie Polska i buduje się po wsiach i miastach. Wedle oficjalnej legendy III RP wolność kosztowała nas kilka skrzynek wódki przy okrągłym stole i w Magdalence, więc jakże tu taką niepodległość cenić i nadstawiać dla niej karku? Po „wywalczeniu" wolności Wałęsa czy Kiszczak nie mieli bladej skóry i smutnych oczu, a co najwyżej kaca i przepocone koszule pod marynarkami. Jakże inaczej od prawdziwych twórców niepodległości.

CIĄGŁE ZMARTWIENIE I TROSKA

Z uładzonych opowieści o polskich zwycięstwach wyobrażamy sobie ocalenie niepodległości jako głęboką radość. Świadkowie przełomowych zdarzeń wspominają jednak zmęczenie i nieustającą troskę.

Maj 1919 r., Paryż, sala Ludwika XIV w pałacu wersalskim. Adam Grzymała-Siedlecki jest na uroczystości podpisania traktatu, który m.in. daje niepodległość Polsce. Widzi jednego z twórców dokumentu – Romana Dmowskiego – i nie może się nadziwić. „Czyżby to ten sam Dmowski? [...] Zmieniony. Nie do poznania zmieniony. Nie w rysach twarzy, bo cztery lata postarzeć nie mogą przecie tak silnego człowieka" – relacjonował po latach. Pisarz scharakteryzował przywódcę endeków jako posmutniałego. I to w takim dniu! Grzymała-Siedlecki obrazowo wspomina tamtą wiekopomną scenę: „Przedstawiciele naszego nie tylko już narodu, ale i państwowości naszej, kładli – równi z równymi – na tym akcie podpis obok podpisów Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Japonii. W alfabetycznym porządku nazw wzywano delegatów do księgi traktowej. Dość długo trzeba było czekać na literę »P«, aż z fotelu prezydialnego zadźwięczał nam głos Clemenceau'a: »La Pologne!«. Podnieśli się ze swoich miejsc: Paderewski, Dmowski. Pół długości długiej sali musieli przejść do pulpitu z rozłożonymi kartami traktatu. [...] Jak dwa światła, odmienne w sobie, a w tej chwili złączone w jakąś konieczną całość, niosły się te dwie głowy przez salę zwierciadlaną Wersalu, by Polskę po raz pierwszy od niepamiętnych czasów podpisać w historii politycznej świata".

Skąd więc smutek założyciela Narodowej Demokracji? Jego przyjaciele obserwowali go przez następne dwie dekady – jak zapadł na zdrowiu, jak często musiał leczyć się za granicą, jak popadał w melancholię i ciągle się martwił. Stefan Sacha wspomina, jak latem 1925 r. Dmowski po raz pierwszy w życiu zobaczył polskie morze. To samo, o dostęp do którego walczył przez dekady. Stał na plaży oparty o kuter rybacki i długo nad czymś się zastanawiał, jakieś myśli się w nim biły, aż wreszcie powiedział: „Było o co walczyć". Nawet zwyczajna plaża i chłodne fale nie były taką oczywistą zdobyczą polskiej niepodległości. Jak łatwo i bezrefleksyjnie patrzy się na to dzisiaj? Tamtego dnia nad morzem Dmowski miał jeszcze wypowiedzieć życzenie, by kiedyś i Gdańsk należał z powrotem do Rzeczypospolitej. Udało się kilka lat po jego śmierci, ale czy na stałe?

STRASZNA MAPA

Piłsudski postarzał się także w nieoczywistym momencie. Nie w więzieniach, nie na Syberii, nie we frontowych ziemiankach, ale u szczytu swojej chwały, po majowym zamachu, jako niekwestionowany przywódca II Rzeczypospolitej. Po przejęciu władzy – jak opisuje Wacław Zbyszewski – dopadli marszałka korespondenci zagraniczni z całego świata, spodziewali się nawet, że obwoła się on królem. Na lawinę pytań Piłsudski, mający za sobą wywalczenie niepodległości, pobicie bolszewików i właśnie przejęcie władzy, odpowiedział niedbale: „Co ja mam im powiedzieć? Nic nie mam im do powiedzenia. Ja zmęczony, ja zmęczony".

Fot. NAC

eprasa.pl d585177f9f

Te ostatnie słowa miał powtórzyć jeszcze kilka razy. Mieczysław Maliński, urzędnik polskiej ambasady w Kairze, wielokrotnie widział marszałka, który zamiast wypoczywać, jak mu rodzina i przyjaciele przykazali, siedział „schylony nad mapą Europy, z martwym okiem utkwionym nie wiadomo gdzie. [...] Było widać, że był głęboko niespokojny, głęboko pesymistyczny, że widział przyszłość w czarnych barwach. I było z tych półsłówek jasne, że zawsze upatrywał niebezpieczeństwo tylko w Rosji". Marszałek miał nawet powiedzieć o Egipcie, że „i tutaj Moskale dojdą, gdy tylko im dać okazję".

Marszałek, generalny inspektor Sił Zbrojnych, dyktator, komendant, potężny wódz Rzeczypospolitej od zmysłów odchodził przez lata z tą tylko refleksją, że niepodległość Polski jest i ciągle będzie zagrożona.

CHOĆBY POMNIK

Ignacy Paderewski miał w życiu wiele dostojnych chwil, wiele momentów politycznej i artystycznej chwały, ale trzy z nich były dla niego szczególnie wzruszające. W 1910 r. w centrum Krakowa odsłonięto monumentalny pomnik Grunwaldzki, ufundowany przez kompozytora. Na terenie zaboru austriackiego upamiętniać wielkie, polskie zwycięstwo nad Germanami było rzeczą odważną, głośną i spektakularną. Jeden z krakowskich dziennikarzy zapytał go wówczas, kiedy w nim powstała myśl ofiarowania Polsce tego milionowego daru. „Ile ma pan lat? – Paderewski odpowiedział pytaniem na pytanie. – 34. – No więc nie było pana jeszcze na świecie, kiedy już o tym zamarzyłem" – odrzekł muzyk. Publicysta szybko policzył, że pianista musiał taką ideę wymyśleć jeszcze w latach szkolnych. Uroczystość zgromadziła w historycznej stolicy Polski dziesiątki tysięcy ludzi, ale okazało się, że łatwiej jest postawić pomnik, niż odzyskać niepodległość, a później tę niepodległość utrzymać.

Gdy niecałą dekadę później Paderewski – wcześniej urobiwszy dla polskiej sprawy amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona – podpisywał traktat wersalski, niebo się nagle rozpogodziło, odbyły się salwy armatnie, a samoloty francuskie wzbiły się w niebo dla lotniczego widowiska. „To dobry omen dla Polski" – powiedział wówczas francuski Tygrys, premier Georges Clemenceau. Ale już wkrótce Paderewski, wciągnięty w krajową politykę, upadł pod intrygami i społeczną niewdzięcznością. Kamienny Jagiełło na pl. Matejki w Krakowie był jednak wdzięczniejszym obiektem trosk niż polski naród.

Ale najgorzej było mu dożyć 1939 r., gdy w pełni sił umysłowych, ale zupełnie opadły z energii fizycznej musiał czytać wiadomości o pochodzie Niemców i Rosjan przez tak niedawno ocaloną ojczyznę. W styczniu 1940 r. na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Narodowej RP w Paryżu głos mu się załamał ze wzruszenia podczas transmitowanego przez radio przemówienia: „Poprzez linie okopów, poprzez kraj naszych wrogów, podąża mój głos, przynosząc wam wiarę w nasze siły, wiarę w niewzruszalność naszych świętych praw do naszej ziemi, wiarę w ostateczne zwycięstwo. Nie zginie Polska, nie zginie, lecz żyć będzie po wieki wieków w potędze i chwale dla was, dla nas i dla całej ludzkości".

Kompozytor zmarł półtora roku później w Nowym Jorku, nie doczekawszy nawet cienia zapowiadanego zwycięstwa, znów z mapą świata, na której nie było Polski.

> Z uładzonych opowieści o polskich zwycięstwach wyobrażamy sobie ocalenie niepodległości jako głęboką radość. Świadkowie przełomowych zdarzeń wspominają jednak zmęczenie i nieustającą troskę

ROZMOWA Z KAGIEBISTĄ NA KONIEC

Trzykrotny premier, legendarny chłopski przywódca, nawet w testamencie domagający się zwykłego pochówku na wiejskim cmentarzu, jako jedyny z ojców niepodległości dożył II wojny światowej i jej końca oraz zaprowadzania nad Wisłą sowieckiego, komunistycznego porządku. Człowiek, który pół wieku wcześniej religijnymi pielgrzymkami, tysiącami spotkań i pracą organizacyjną obudził miliony chłopów do polskości, później mobilizujący wieś do walki z bolszewikami w 1920 r., zamiast spędzić ostatnie lata w błogim odpoczynku, był przerzucany z miejsca na miejsce z nadzieją na ewakuację do Wielkiej Brytanii. Blisko 80-letni Wincenty Witos, schorowany, ale nadal umysłowo przytomny, w końcu zamiast lecieć do Anglii, wrócił do swojej rodzinnej wioski, w ostatnich miesiącach życia przeżywając jeszcze uprowadzenie przez sowieckich żołnierzy i słysząc groźby o wywiezieniu go do Moskwy.

Wówczas, wiosną 1945 r., spotkał się z Witosem gen. Iwan Sierow, ten sam, który współorganizował ludobójstwo Polaków w Katyniu i teraz próbował namówić ludowca do współpracy. Były premier stanowczo odmówił. Stojąc kiedyś na czele rządu niepodległej Polski, musiał pod koniec życia oglądać lufy pistoletów prymitywnych krasnoarmiejców, jechać przez wsie z workiem na głowie, bo tak go eskortowali Sowieci. Zmarł w szpitalu w Krakowie, ze smutkiem odnotowując, że jego brat dał wykorzystać swoje nazwisko do partyjnych porządków nowej władzy. Dziś partia, która nosi nazwę jego politycznego ruchu, niewiele już ma wspólnego z twardymi koncepcjami niepodległościowej ludowości.

Bo tytani naszej niepodległości, sami siebie zresztą nazywając marnym pokoleniem, nabawili się największych trosk na wolności – widzieli czarne chmury nad niepodległością, wreszcie niektórzy widzieli jej ponowną utratę. Po tych wszystkich doświadczeniach tylko skończeni głupcy mogliby dzisiaj stwierdzić, że dla naszej niepodległości nie ma już zagrożeń ze strony sąsiadów.

eprasa.pl d585177f9f

Dziś już wiemy, że nie da się oprzeć okresu przejściowego między węglem a energią odnawialną na gazie. Wojna przekreśliła te plany. Musimy więc dłużej pozostać przy węglu, inwestować w OZE, a przede wszystkim musimy postawić na stabilne, tanie i ekologicznie czyste źródło, którym jest energetyka atomowa

Trzy elektrownie atomowe to wciąż za mało

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d585177f9f

Jacek Karnowski rozmawia z Jackiem Sasinem, wicepremierem, ministrem aktywów państwowych

Rozmawiamy w samolocie wracającym z Korei Południowej, z Seulu, gdzieś nad Chinami i Mongolią. Zakończyły się rozmowy z koreańskim rządem i koreańskim potentatem energetycznym KHNP (Korea Hydro and Nuclear Power) w sprawie budowy elektrowni atomowej w Polsce. Czy można powiedzieć, że polska delegacja wraca z atomem dla Polski?

Jacek Sasin: Myślę, że tak. To oczywiście pierwszy krok. Trzy poważne firmy – państwowa PGE, prywatny ZE PAK oraz koreański gigant KHNP podpisały list intencyjny w sprawie budowy elektrowni atomowej w Polsce. Trzech bardzo poważnych graczy na rynku energii umówiło się na poważnie, że podejmują się tego wyzwania. Szanse na sukces są bardzo duże, ponieważ jest to inwestycja, która jest opłacalna dla wszystkich stron. Mamy więc do czynienia z sytuacją win-win, w której wszystkie strony są wygrane. Myślę, że to gwarancja powodzenia tego projektu.

To są firmy prywatne, ale mają one w tej sprawie pełne wsparcie obu państw?

Potwierdza to drugi dokument, który z polskiej strony podpisałem ja, a z koreańskiej minister handlu, przemysłu i energii Lee Chang-yang, uważany za drugą osobę w państwie, odpowiedzialny za większość gospodarki i 75 proc. PKB Korei. Naszym partnerem są poważni ludzie. To ważne, bo ten projekt potrzebuje pełnego wsparcia ze strony rządów obu państw. Chodzi o zezwolenia, zgody środowiskowe, wszelakie dokumenty. Jeśli nie będzie blokad na tym poziomie, będziemy mogli działać bardzo szybko.

Podczas konferencji prasowej w Seulu tonował pan jednak ministra Lee, który mówił o rozpoczęciu budowy w ciągu dwóch, trzech lat.

Pan mówił raczej o trzech, czterech latach.

Wolę zachować ostrożność w takich zapowiedziach. Ale i tak tempo będzie bardzo szybkie. Sam proces budowy dwóch reaktorów zajmie od pięciu do sześciu lat, w sumie więc będzie to dekada. KHNP udowodniło, że umie dotrzymać terminów zarówno w Korei, jak i w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. To firma, która w Korei ma 24 reaktory i buduje kolejne. Najtrudniejszy będzie okres przygotowawczy.

> Te nasze wybory w sprawie atomu są także wyborem krajów, z którymi zawiązujemy strategiczne partnerstwo, co do których mamy poczucie, że możemy na nie liczyć. I USA, i Korea stają się udziałowcami polskiego bezpieczeństwa

No właśnie, jakie będą kolejne kroki w sprawie tej inwestycji?

Zaangażowane firmy deklarują, że w ciągu dwóch, trzech miesięcy powstanie studium możliwości. Ten dokument, po pierwsze, potwierdzi lokalizację w Pątnowie koło Konina, wykluczy zagrożenie sejsmiczne, potwierdzi dostęp do wody. Po drugie, określi cenę inwestycji oraz zarysuje finansowe zaangażowanie każdego z partnerów. Po trzecie, ustali wstępny harmonogram. Pod koniec roku będziemy więc już wiedzieli, kiedy ta elektrownia może mniej więcej zacząć pracować. W czasie wizyty w elektrowni Shin Kori, położonej na południowym wschodzie Korei, widzieliśmy, że Koreańczycy budują bardzo sprawnie i szybko. Powstają tam dokładnie takie reaktory, jakie będziemy mieć w Polsce.

Plan zakłada budowę czterech reaktorów, ale słychać, że może powstać nawet sześć.

Chcemy zbudować dwa, a później dodać kolejne dwa. Czy ta liczba może wzrosnąć? To zależy od zaangażowanych firm i ich możliwości finansowych. To ogromne koszty, choć na tle konkurencji atrakcyjne. Wiele będzie też zależeć od strategii naszego państwa w sferze energetycznej.

No właśnie, rządowy „Program polskiej energetyki jądrowej" zakłada budowę dwóch elektrowni. Ta koreańska jest elementem „ekstra", dodatkowym. Pojawia się zarzut, że ten projekt wykracza poza przyjętą strategię.

Czy to może być zarzut? Już dziś wiemy, że to, co zapisano, nie wystarcza. Ta strategia wymaga aktualizacji. Dziś już wiemy, że nie da się oprzeć okresu przejściowego między węglem a energią odnawialną na gazie. Wojna przekreśliła te plany, to jest ślepa uliczka. Gaz jest zbyt drogi, a jego dostawy niestabilne. Musimy więc dłużej pozostać przy węglu, inwestować w OZE, które niestety jest kapryśne, a przede wszystkim musimy postawić na stabilne, tanie i ekologicznie czyste źródło, którym jest energetyka atomowa. W środę rząd podjął uchwałę, w której rozstrzyga, że amerykański koncern Westinghouse zbuduje elektrownię jądrową w Choczewie na Pomorzu. W sumie ruszy więc proces budowy dwóch siłowni. Mam na myśli amerykańską i koreańską. Trzeci projekt zostanie rozpoczęty w momencie, gdy zdecydujemy o jego lokalizacji. Z rozmów z minister Anną Moskwą wiem, że nastąpi to w ciągu paru miesięcy. Jednak w mojej ocenie trzy elektrownie to wciąż za mało.

eprasa.pl d585177f9f

Czy tę trzecią lokalizację dostaną Amerykanie, na co wyraźnie liczą, czy może trafić ona do Francuzów? O ile oczywiście zechcą poważnie rozmawiać z Polską, np. rezygnując ze wspierania polityki nękania Polski w instytucjach europejskich.

Amerykanie mają konkret w ręku, Koreańczycy również. Te nasze wybory w sprawie atomu są także wyborem krajów, z którymi zawiązujemy strategiczne, sojusznicze partnerstwo, co do których mamy poczucie, że możemy na nie liczyć. I USA, i Korea stają się udziałowcami polskiego bezpieczeństwa, i tego militarnego, i tego energetycznego. Oba sprzedają nam broń, oba będą budowały atom. Zyskaliśmy dwóch bardzo mocnych partnerów.

Przez atom wiążemy się z oboma państwami na 100 lat: 10 lat budowy, 60 eksploatacji, 30 wygaszania i rozbiórki.

Wiążemy się na cały wiek, i to w wielu aspektach. Co ważne, są to oferty uzupełniające się, ponieważ broń koreańska jest kompatybilna z amerykańską. To nie jest nowy rodzaj uzbrojenia. Np. samolot F-50 powstał na bazie F-16. Co istotne, Koreańczycy idą nam na rękę i realizują zamówienia niemal natychmiast, przekazując sprzęt, który był zamówiony dla ich armii. Rozumieją naszą sytuację.

Sytuację zagrożenia?

Koreańczycy widzą wiele analogii między sytuacją i losem ich kraju. I my, i oni mamy agresywnego sąsiada czy sąsiadów. W ich przypadku jest to państwo Kimów i stojące za nim Chiny, w naszym przypadku są to Białoruś i Rosja. Oba kraje wiedzą też, co znaczy brutalna okupacja. Możemy budować relacje w wielu obszarach. Pan minister Lee zadeklarował, że Koreańczycy są zainteresowani kolejnymi inwestycjami w takich obszarach jak magazyny energii, produkcja baterii, centra szkoleń dla polskiej kadry. To niezwykle istotne.

W czasie panów konferencji prasowej minister Lee powiedział, że jego kraj chce wejść do Europy przez Polskę. A fakt, że w seulskim hotelu Plaza zjawiło się ok. 200 dziennikarzy, a koreańskie media obszernie o niej informowały na pierwszych stronach dzienników, też wiele mówi o wadze tych relacji dla strony koreańskiej. Czy w czasie rozmów miał pan wrażenie, że to jest rzeczywiście mocne zaangażowanie?

Wyczułem ogromną determinację po stronie koreańskiej. Oni naprawdę chcą tę współpracę rozwijać. Polska ma być miejscem, w którym postawią nogę i z którego będą szukali możliwości dalszej ekspansji. Nasz region potrzebuje koreańskiej broni, potrzebuje energii nuklearnej. Jesteśmy najlepszym miejscem do tego, by zacząć. Chcę podkreślić bardzo mocno, że Koreańczycy deklarują zaangażowanie kapitałowe, udziałowe, również w elektrownię atomową. Nie będzie więc tak, że za wszystko płacimy my.

> Inwestycja w Pątnowie będzie łatwiejsza niż budowa w Choczewie, gdzie nie ma infrastruktury sieciowej. Ale ją można budować równolegle z samą elektrownią. Liczę, że obie elektrownie wystartują w tym samym czasie, oby już w 2033 r.

Ale w Pątnowie kapitał koreański będzie mniejszościowy?

Model własnościowy nie jest jeszcze przesądzony, to muszą uzgodnić trzy zaangażowane przedsiębiorstwa. Chciałbym, by polski kapitał miał w tej inwestycji pakiet większościowy. Po stronie koreańskiej będzie finansowanie nie tylko ich części udziałów, lecz też rozmawialiśmy o tym, że koreańskie banki inwestycyjne mogą być dostarczycielem kapitału, również jeśli chodzi o finansowe zaangażowanie polskich firm. To ważne, bo jako kraj frontowy mamy dziś utrudniony dostęp do pieniędzy, do kredytu. Trzeba też zadbać o to, by prąd z Pątnowa był możliwe najtańszy. Zarówno dla gospodarstw domowych, jak i dla całej gospodarki.

Kto właściwie wymyślił koncepcję elektrowni koreańskiej w tym modelu biznesowym? Zygmunt Solorz? I czy to prawda, że Koreańczycy zażądali udziału w tym projekcie państwa polskiego?

ZE PAK nie jest tak dużą firmą, by mógł udźwignąć tak wielką inwestycję w kooperacji z globalnym gigantem KHNP. To byłby układ asymetryczny. Wejście dużej polskiej firmy państwowej, którą jest PGE, było oczywiste. Poza tym Korea jest państwem, które w dużej mierze kontroluje gospodarkę, także prywatną. Jeszcze niedawno opierało swój rozwój na planach pięcioletnich, które nam raczej źle się kojarzą, ale im dały sukces. Dla Seulu udział państwa gwarantuje stabilność. A obszar energetyki atomowej jest wręcz zarezerwowany dla sfery państwowej. Stąd właśnie memorandum międzyrządowe, które daje rządowe wsparcie dla przedsięwzięcia.

Ale Koreańczycy wiedzą też, że za rok są wybory. W Polsce niestety oznacza to często gwałtowne zmiany. Czy to nie jest element, który hamuje ich zaangażowanie?

Głęboko wierzę, że Prawo i Sprawiedliwość będzie rządziło po wyborach. Ktokolwiek by jednak rządził, będzie musiał uznać, że dla Polski nie ma innej drogi niż energetyka jądrowa.

Może potrzebny jest jakiś konsensus w tej sprawie?

Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Pierwsze reakcje

eprasa.pl d585177f9f

polityków i ekspertów związanych z opozycją są optymistyczne. Podkreślam: jest to projekt biznesowy, który jest wspierany przez rząd.

Energetyka jądrowa w Polsce będzie prawdopodobnie blokowana przez Niemców, choćby na poziomie oddolnych protestów pod pretekstami ekologicznymi. Leszek Miller twierdzi, że za program atomowy zaatakuje nas Komisja Europejska. A jak pan wie, komisja jest w stanie przyczepić się do wszystkiego.

Oby pan nie miał racji. To by oznaczało, że Komisja Europejska zacznie dyktować firmom z Unii, z kim mogą współpracować, a z kim nie. A Niemcy popełnili bardzo duży błąd w sferze energetyki, choć nadal w niektórych sprawach idą w głąb ślepej uliczki. Przed wybuchem wojny rozmawiałem w Warszawie z niemieckim wicekanclerzem i ministrem klimatu dr. Robertem Habeckiem z partii Zielonych, który przekonywał mnie, że energia atomowa to błędny wybór. Ja przekonywałem, że jeśli chcemy odchodzić od węgla i chcemy zachować konkurencyjność, to nie mamy innego wyboru. Minister Habeck zaproponował mi zakład w tej sprawie, kto ma rację. Dziś żałuję, że jednak się nie założyłem, bo już widać, że bym wygrał. Nie chodzi o krytykę, ale o pokazanie, że wojna zmieniła wszystko.

W mediach opozycyjnych można wyczytać sugestie, że konflikty w rządzie dotknęły też sfery energetyki, że koreański atom to swego rodzaju karta w jakiejś grze. Jak pan odpowie na takie zarzuty?

Gdy czasem czytam tego typu rewelacje, to często opadają mi ręce. Jest w Polsce pewne lobby, któremu zależy, byśmy nie dobili się do suwerenności energetycznej. Ono sięga po każdy kamień, który może nas powstrzymać. Nie jest tajemnicą, że w Polsce są widoczne wpływy rosyjskie. W wielu środowiskach bywają widoczne niemal gołym okiem. Rosja zrobi wszystko, by Polska nie była krajem silnym, nie możemy więc się dziwić, że uruchamia swoją agenturę w momentach krytycznych. A co do konfliktów to zupełna bzdura. W sprawie atomu od początku współpracuję z premierem Morawieckim, patrzymy na nią dokładnie w taki sam sposób. 10 dni temu, w pełnym porozumieniu z premierem, razem z minister Moskwą byłem w Waszyngtonie, gdzie odbyłem rozmowy z sekretarz energii USA Jennifer Granholm. Chodziło o rozstrzygnięcie ostatnich wątpliwości dotyczących amerykańskiej oferty. Naszym celem było, by obie oferty – amerykańska i koreańska – wybrzmiały w tym samym czasie. Tak by nie było żadnych niedomówień, żadnych dyskusji o tym, który partner ograł drugiego. Nie było łatwo, bo i po stronie amerykańskiej, i koreańskiej było sporo emocji. Opowiadanie w tej sytuacji, że są między nami jakieś animozje czy rywalizacja, jest czystą aberracją lub też dowodem niewiedzy albo złej woli. Proszę wybrać, co panu odpowiada.

> Musimy odwlec proces zamykania kopalń. Do czasu uruchomienia pierwszych bloków jądrowych żadna kopalnia nie może zostać zamknięta

Ponoć tych emocji było naprawdę dużo. Amerykanie z Westinghouse twierdzą, że Koreańczycy nie mogą sprzedawać swojej technologii pochodzenia amerykańskiego dalej za granicę i grożą sądem. To może mieć poważne konsekwencje.

Pewne zaniepokojenie strony amerykańskiej wynikało z tego, że nie do końca jasny był dla nich nasz plan. Nie rozumieli, że to dwa równoległe procesy, które wzajemnie się nie znoszą, lecz uzupełniają, że tu każdy wygrywa. A co do wątpliwości prawnych to nie jest nasza sprawa. My powiedzieliśmy Koreańczykom jasno, że oczekujemy wyjaśnienia tej sprawy. Pamiętajmy, że obie firmy są ściśle powiązane, blisko kooperują, potrzebują siebie. To jest zewnętrzny element tej nerwowości, o której mówiłem. Obie strony zapewniły mnie, że za chwilę nie będzie po tym śladu.

Patrząc na doskonałą organizację i sprawność Koreańczyków, na ich determinację, a także na gotową, wpiętą w system energetyczny lokalizację, można sądzić, że to Pątnów pierwszy zacznie działać.

Rzeczywiście, Koreańczycy słyną z terminowości. Inwestycja w Pątnowie będzie łatwiejsza niż budowa w Choczewie, gdzie nie ma infrastruktury sieciowej. Ale ją można budować równolegle z samą elektrownią. Liczę, że oba zakłady wystartują w tym samym czasie, oby już w 2033 r.

Do tego czasu trzeba jednak bronić węgla w większej skali, niż to planowano przed wojną. Czy będą zmiany w tej dziedzinie?

Będziemy bronili, nie mamy wyjścia, jesteśmy pod ścianą. Nie jesteśmy ideologami, jesteśmy pragmatykami. Przed nami bardzo poważna decyzja w sprawie tego, na jaką skalę inwestować w górnictwo. Jeśli chcemy mieć węgiel, musimy inwestować. Zakładaliśmy, że wygaszanie górnictwa potrwa do 2049 r., zbudowaliśmy harmonogram zamykania kopalń, zapewniliśmy spokój społeczny temu procesowi, co uważam za jeden z moich największych sukcesów w polityce. Dziś musimy ten harmonogram zrewidować.

W jaki sposób?

Nie może być tak, że będziemy pogłębiali proces uzależnienia od importowanego węgla, dużo droższego niż nasz. Dlatego musimy odwlec proces

Fot. Gabriel Piętka

eprasa.pl d585177f9f

zamykania kopalń. Nie wycofujemy się z daty końcowej, z 2049 r., ale ta krzywa, która miała charakter stale spadający, będzie spłaszczona. Do czasu uruchomienia pierwszych bloków jądrowych żadna kopalnia nie może zostać zamknięta.

A jakaś może zostać otwarta?

To jest zasadnicze pytanie. Inwestycje w górnictwie trwają lata i kosztują miliardy. Trzeba więc działać rozważnie. Podjęliśmy konkretne decyzje w sprawie eksploatacji nowych ścian. Być może będziemy drążyli nowe szyby, ale raczej nie na Śląsku, gdzie złoża są wyeksploatowane, gdzie jest dużo metanu i są kosztowne szkody górnicze. Mamy zinwentaryzowane złoża na Lubelszczyźnie. Tam działa kopalnia Bogdanka, która uruchomi kolejny szyb wydobywczy – dziś służący jako wentylacyjny – w ciągu trzech, czterech lat. Wkrótce Bogdanka stanie się własnością skarbu państwa i być może zacznie drążyć kolejne szyby. Ma płytkie pokłady bez metanu. Szykujemy też proces zmian strukturalnych.

Chodzi o NABE?

Tak. Spółki energetyczne – PGE, Enea i Tauron – przekażą swoje części węglowe, skupią się na inwestycjach w energię nieemisyjną. Z części węglowych powstanie Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego. Nastąpi to w ciągu kilkunastu tygodni.

Może warto przez najbliższe lata i dekady na wszelki wypadek wydobywać, ile się da, i gromadzić na hałdach? Kiedyś może się przydać.

Niestety, to niemożliwe. Węgiel, który leży zbyt długo, traci swoje właściwości, utlenia się. Grozi mu samozapłon. Nawet na hałdzie musi być rotacja.

Czy pana zdaniem możemy wyjść z europejskiego systemu handlu emisjami, czyli ETS? To mogłoby dać Polsce bardzo tanią energię.

Obawiam się, że to jest niemożliwe. To hasło brzmi atrakcyjnie, bo opłaty emisyjne są dziś kulą u nogi naszej gospodarki. Nasze firmy funkcjonują jednak w ramach prawa europejskiego. Nie wiadomo też, jak to zrobić. Czy skoro wprowadziliśmy ten system ustawą, to można z niego wyjść tą samą drogą? Nie ma

eprasa.pl d585177f9f

pewności, czy zostałoby to uznane. Zarzucono by nam, że łamiemy prawo europejskie, co miałoby konsekwencje nie tylko dla państwa, ale i dla firm energetycznych, które objęto by karami. To jednak mało realny scenariusz.

Co więc można zrobić?

Premier Morawiecki wiele razy apelował, żeby zablokować możliwość spekulacji uprawnieniami przez instytucje finansowe, bo to nie są papiery wartościowe. Trzeba też zwiększyć wolumen bezpłatnych uprawnień. Dziś nasze firmy muszą kupować uprawnienia na rynku, co powoduje wypływ kilkunastu miliardów rocznie z naszego kraju i drenaż spółek, które przecież muszą mieć pieniądze, jeśli mają inwestować w energię odnawialną. Dziś te postulaty są przyjmowane chłodno, ale trzeba naciskać, bo czasy są takie, że niemożliwe stało się możliwe. Ogólnie uważam jednak, że jesteśmy na ten system skazani.

Czy „bitwa o węgiel", o której rozmawialiśmy z panem na łamach „Sieci" w sierpniu, została wygrana? Opozycja postawiła dużo na tę kartę, strasząc Polaków chłodem i głodem, i chyba przegrzała?

Tak, drenujemy do granic możliwości zarówno nasz potencjał kopalniany, jak i importowy. Nasze wydobycie będzie nieco wyższe niż w latach poprzednich, a pamiętajmy, że zakładano – zgodnie z planem – spory spadek. Z kolei import jest maksymalny, więcej nie przejdzie przez nasze porty. Wszystko jednak wskazuje, że węgla dla elektrowni będzie więcej, niż potrzeba, bo importowany węgiel musimy przesiewać i zostaje z niego tzw. miał. Węgla energetycznego, z którego korzystają zwykli Polacy, będzie z kolei w sam raz. Wolałbym, by było za dużo, niż by zabrakło. Robimy wszystko, co tylko możliwe, by w tej ekstremalnie trudnej sytuacji wywołanej przez Rosję nikomu nie zabrakło paliwa i wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że to się uda.

Czy nie za szybko zatrzymaliśmy import z Rosji?

Gdybyśmy trochę poczekali, na pewno rządowi byłoby łatwiej. Inne państwa UE nie spieszyły się tak bardzo, czekały na zakaz na poziomie unijnym, który wszedł dopiero w lipcu. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia. Nie chcieliśmy finansować rosyjskiej agresji. Do tego opozycja rozpętała histerię w tej sprawie, a Donald Tusk robił konferencję na tle wagonów. A przecież żaden państwowy podmiot tego węgla nie kupował, zakazałem tego na samym początku swojego urzędowania. To opozycja parła do tego embarga, a nawet chciała je rozszerzać. Dużym wysiłkiem zdołałem zablokować zakaz importu gazu LPG, którego nie można kupić od innego producenta. Przypłaciłem to ogromnym atakiem. A chodziło o rzecz ważną: o paliwo do samochodów na gaz i gaz do butli, na którym wielu Polaków gotuje posiłki.

> Myślę, że cięcie wydatków państwowych będzie konieczne. Chcemy jednak uniknąć ograniczenia naszej polityki społecznej. Drugą sferą, której trzeba bronić przed cięciami, jest program zbrojeniowy

W normalnym systemie medialnym Donald Tusk nie mógłby najpierw naganiać w sprawie zaostrzenia sankcji, a później cynicznie żerować na skutkach tych decyzji. To jednak by nie przeszło, a u nas przechodzi.

Tusk stosuje tę metodę w wielu sprawach. Bez żenady zmienia zdanie z dnia na dzień, udaje kogoś, kim nie był, czasem – jak w sprawie podejścia do Rosji – wręcz swoje przeciwieństwo.

Co zdecyduje o wyniku przyszłorocznych wyborów?

Zdecyduje odpowiedź na pytanie, która opcja polityczna umie najlepiej odpowiedzieć na wyzwania przyszłości. Kto pokaże, że w trudnym czasie umie znaleźć wyjście z kłopotów, ten wygra.

Czy jednak Polacy zrozumieją, że to trudny czas? Opozycja biega po kraju i krzyczy, że to wszystko wina PiS. Wszystko, czyli i inflacja, i drożyzna, i rozchwianie gospodarcze. A przecież te same problemy mają prawie wszystkie kraje w Europie.

Na jednym ze spotkań prezes Kaczyński skomentował to tak: oznacza to, że PiS jest tak potężną partią, że jest w stanie wpływać na gospodarkę globalnie. Ja jednak naprawdę uważam, że Polacy są mądrym narodem i tak łatwo nie dadzą sobie wmówić rzeczy, które już na pierwszy rzut oka rozjeżdżają się z rzeczywistością.

Sondażowe poparcie na poziomie 33–37 proc. daje nadzieję na zwycięstwo?

To jest taki sam poziom, jaki mieliśmy przed wyborami w 2015 r. i podobny do tego z 2019 r. Jak na partię, która rządzi drugą kadencję, na którą spadły pandemia, inwazja imigrantów, wreszcie wojna i jej skutki, to wynik co najmniej dobry. A pamiętajmy, że skok cen energii zaczął się wcześniej za sprawą manipulacji Putina, co było jasnym sygnałem, że Kreml szykuje się do wojny. W sumie mamy największy kryzys energetyczny chyba w całej nowożytnej historii. Przy nim kryzysy naftowe lat 70., które wstrząsnęły światową gospodarką, wyglądają dość zabawnie.

Ale to kryzys, na który bardzo liczy opozycja. Jak na to odpowiedzieć?

Prawo i Sprawiedliwość dokonało rzeczy, która przez dziesięciolecia będzie jej historyczną zasługą: dało

eprasa.pl d585177f9f

Polakom nadzieję na lepsze życie. I to nadzieję, która się spełnia. Polacy zobaczyli, że może być lepiej. Miliony ludzi wydźwignęły się z nędzy. Przestaliśmy być w Europie ubogimi krewnymi, w wielu dziedzinach dobiliśmy do takich krajów jak Hiszpania, Portugalia, Grecja, a i dystans do Niemiec znacznie się zmniejszył. To już nie jest przepaść, nie ma już tych kompleksów. I tego będziemy bronić.

Czy jednak w obliczu drożejących obligacji – nie tylko polskich, ale także węgierskich, rumuńskich i czeskich – będą cięcia wydatków państwowych?

Myślę, że one będą konieczne. Konieczne jest przejrzenie wydatków.

Przed wyborami?

Na pewno nie będziemy oszukiwać Polaków, nie będziemy stosować jakichś sztuczek, szpachlując rzeczywistość. Sytuacja zmieniła się radykalnie. Były czasy prosperity, dziś są czasy kryzysu. Chcemy uniknąć ograniczenia naszej polityki społecznej, która jest naszą dumą i której będziemy bronić do końca. Drugą sferą, której trzeba bronić przed cięciami, jest program zbrojeniowy, kluczowy dla naszego szeroko rozumianego bezpieczeństwa. Cały pozostały obszar będzie musiał zostać przejrzany pod kątem bardzo dobrego gospodarowania pieniędzmi, wydawania tyle, ile jest konieczne. A pewne wydatki być może trzeba będzie zawiesić na określony czas.

Czy pana zdaniem trzeba podjąć jeszcze jedną próbę porozumienia z Komisją Europejską? Czy to w ogóle ma sens?

Uważam, że trzeba poszukiwać kompromisu. Powód jest jeden: gospodarczo cała Europa wkracza w bardzo trudny okres. Pieniądze europejskie byłyby pozytywnym czynnikiem wpływającym na naszą sytuację. To, że nie wpływają, jest działaniem całkowicie pozaprawnym. Trzeba mówić głośno: „Ukradliście nam te pieniądze". My przecież też żyrujemy KPO. Główne fundusze nie są żadną łaską, my też się na nie składamy. W sumie to jest zinstytucjonalizowana kradzież pod wymyślonymi pretekstami. Warunkowość, na którą się zgodziliśmy, miała dotyczyć wyłącznie problemów z korupcją, czyli czegoś, co nas właściwie nie dotyczy. Tak naprawdę chodzi o uderzenie w rząd, który dba o polski interes, broni traktatów europejskich, uśmiercanych przez Brukselę. Ten rząd jest drzazgą w oku Brukseli i ma zostać obalony.

> W normalnych warunkach powinniśmy walnąć pięścią w stół i odpowiedzieć tym samym. Ale my jesteśmy pragmatykami. Dziś dla Polski ważne jest odzyskanie tych funduszy. Chcemy jeszcze raz spróbować się dogadać z Komisją Europejską

Skoro tak jest, to czy jest sens jeszcze rozmawiać?

Tak, w normalnych warunkach powinniśmy walnąć pięścią w stół i odpowiedzieć tym samym. Ale my jesteśmy pragmatykami. Dziś dla Polski ważne jest odzyskanie tych funduszy. Chcemy jeszcze raz spróbować się dogadać. Również po to, by nasi konkurenci polityczni nie zarzucali nam, że nie próbowaliśmy.

Czy to właśnie miał na myśli Jarosław Kaczyński, gdy mówił o trudnych decyzjach, które są przed nami? Bierze pan udział w posiedzeniach ścisłych władz PiS, musi pan wiedzieć, o co chodzi.

Dyskusja, którą odbyliśmy, nie skończyła się jednoznacznym werdyktem. Jej przebieg wskazywał, że wszyscy rozumiemy, że jest to kwestia dla Polski bardzo ważna i że taka próba powinna być jeszcze raz podjęta, nawet jeśli sądzimy, że nic to nie da. Że nawet gdybyśmy tak jak Jurand ze Spychowa założyli włosienicę i poszli do Krzyżaków, żeby się ukorzyć, to i tak na próżno. Bo chodzi nie o jakieś warunki, ale o obalenie tego rządu. O przekonanie Polaków, że gdy rządzi PiS, to pieniędzy nie ma, a jak przyjdzie Tusk, to one będą. I bardzo wiele zależy od tego, czy Polacy dadzą się temu omamić, czy też nie. My mówimy jedno: nie można sprzedać suwerenności za pieniądze. Nie można się zgodzić na linię, którą próbuje wszystkim wmówić opozycja, że gdy wygrają wybory, to będą i pieniądze, i suwerenność. Prawda jest taka, że jeśli oni dojdą do władzy suwerenności na pewno nie będzie.

Są głosy, że trzeba się zgodzić nawet na prawo kwestionowania sędziów przez sędziów, a ewentualnie później uszczelniać system, gdyby doszło np. do wypuszczania bandytów na tej podstawie.

To jest za daleko. To jest czerwona linia. To doprowadzi do anarchii i całkowitego rozkładu Polski jako państwa prawa. Trzeba szukać innych rozwiązań, choć szczególnej wiary w skuteczność tych zabiegów we mnie nie ma. Najłatwiej zdobyć te pieniądze, dając trzecią kadencję PiS. Jeśli Komisja Europejska zobaczy, że Polaków nie da się tak łatwo zastraszyć, że ten szantaż nie działa, to przyjdzie refleksja, że to nie ma sensu, bo to rozsadza całą Unię. My w każdym razie z Unii nie zamierzamy wychodzić, to raczej nas chcą z Unii wypchnąć. Ale my się nie damy, nie pójdziemy drogą Wielkiej Brytanii, nie trzaśniemy drzwiami. W każdym razie nie damy się sprowadzić do roli landu, bo nie wchodziliśmy do jakiejś nowej Rzeszy, ale do wspólnoty równych narodów.

eprasa.pl d585177f9f

Nie wpuszczą lisa do kurnika

Publiczna polemika między Szymonem Hołownią i Grzegorzem Schetyną otworzyła doniosłą polityczną kwestię: czy w ogóle byłoby możliwe i czy partiom opozycyjnym opłacałoby się przejęcie władzy jeszcze przed terminem przyszłorocznych wyborów

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

Dwie ostro rywalizujące z sobą partie – Platforma Obywatelska i Polska 2050 – prezentują w tej materii dwa radykalnie odmienne podejścia.

JAN ROKITA

POMYSŁ HOŁOWNI

Hołownia zdaje się martwić brakiem politycznego aktywizmu opozycji, która co prawda prowadzi każdego dnia zaciekłą wojnę propagandową z PiS, ale nie wykazuje się ostatnimi czasy żadną czynną akcją, która otwierałaby perspektywę rychłej zmiany władzy. Wyglądać to może na swoisty polityczny paradoks. Kiedy władza PiS była silna i dysponowała wielkim kredytem społecznego zaufania, to centrolewicowa opozycja potrafiła organizować polityczną akcję bezpośrednią, roztaczając wizję ostatecznego starcia, mającego doprowadzić do zmiany władzy. Wielkie manifestacje uliczne, pararewolucyjne komitety, zamieszki w Sejmie czy próby blokowania procedur parlamentarnych – bez wątpienia dawały wrogom PiS taką nadzieję, nawet jeśli z czasem okazywała się ona iluzoryczna.

Ale teraz, gdy dla każdego jest jasne, że władza PiS jest słabsza niż kiedykolwiek wcześniej w ciągu dwóch ostatnich kadencji, a na dodatek działa coraz bardziej chaotycznie – to poza codzienną porcją czarnej propagandy wszelkie „bogate" formy walki z władzą się wyczerpały. I nie wygląda na razie na to, by do czasu przyszłorocznych wyborów była poważna szansa na ich rewitalizację.

To z tego zaniepokojenia bierze się idea odwołania się do sejmowego wotum nieufności wobec gabinetu Morawieckiego. Hołownia, który w październiku wystąpił z taką inicjatywą, argumentuje, że gdyby parlament i opinia publiczna dostrzegły w partiach opozycyjnych prawdziwą wolę walki o natychmiastowe odsunięcie PiS od władzy, byłoby tylko kwestią czasu pozyskanie tych kilku, niemal zawsze dających się kupić głosów poselskich, pozwalających na wygranie takiego głosowania. Lider Polski 2050 uważa, że warto prężyć muskuły i pokazywać determinację, nawet jeśli głosowanie nad usunięciem rządu miałoby się za pierwszym razem nie powieść. Mówi: „Jak się uda, to super, a jak się nie uda, bo też tak może być – co my na tym tracimy?". I proponuje, by kolejne wnioski o wotum nieufności przedkładać „na każdym następnym posiedzeniu Sejmu i robić to tak długo, aż osiągniemy skutek". Dysponując podpisami 115 posłów, można próbować podjąć taką grę. Co prawda nieustające odwoływanie rządu pozostawałoby w jawnej sprzeczności z konstytucyjną ideą konstruktywnego wotum i byłoby niszczące dla całego parlamentaryzmu. Ale żyjemy w czasach, w których nikt już nie zwykł sobie zawracać głowy takimi państwowymi skrupułami. Więc koncept Hołowni mógłby być niezłą sztuczką na długotrwałe paraliżowanie parlamentu i narzucenie żądania natychmiastowego oddania władzy przez PiS jako centralnej kwestii krajowej polityki.

CZAS NA ZMIANĘ

Poza tym jest kilka niebłahych powodów, dla których przejęcie władzy jeszcze przed wyborami mogłoby się opłacić partiom centrolewu, gdyby tylko miało okazać się możliwe. Najprawdopodobniej to właśnie w ciągu kilku najbliższych miesięcy okoliczności i klimat – zarówno krajowy, jak i zagraniczny – mogłyby najbardziej sprzyjać zmianie władzy w Polsce, co wcale nie jest już takie pewne, gdy idzie o perspektywę wyborów w jesieni 2023 r. Budząca powoli strach zwykłych ludzi inflacja, wedle zgodnych prognoz rządowych, antyrządowych i zagranicznych analityków finansowych będzie najwyższa właśnie w ciągu najbliższych kilku miesięcy, a wiosną i latem pewnie złagodnieje. Więc każdy, kto będzie rządzić Polską, mniej więcej za pół roku będzie mógł się pochwalić swoim sukcesem i „zasługą", niezależnie od tego, na ile byłyby one prawdziwe.

Zima, nawet jeśli złagodzi ją błogosławione tym razem (nie tylko dla Polski, ale i dla zachodniej Europy) ocieplenie klimatu, i tak zapewne zostanie zdominowana przez wieści o niedoborach i wysokich cenach energii, więc komuś gdzieś zabraknie węgla na opał, a kogoś innego nie będzie stać na zapłacenie rachunków. W każdym razie okazji do wzniecenia antyrządowych nastrojów zapewne nie zabraknie. A od nowego roku z powodu kiepsko bilansujących się finansów publicznych do historii mają przejść sławetne osłonowe tarcze, więc ceny ruszą z kopyta, a niezadowolenia

Autopromocja

eprasa.pl d585177f9f

społecznego będzie z tego tyle, że ho, ho! W przyszłorocznym budżecie państwa zapadła już taka decyzja.

Co więcej, na szybkie przejęcie władzy przez centrolew wydają się grać także instytucje unijne, w tym przede wszystkim Komisja Europejska pod wodzą von der Leyen. Ostatnio wymyślony w Brukseli nowy fortel przeciwko Polsce ma polegać na nagłym odkryciu horyzontalnego kryterium, zawartego w unijnej dyrektywie budżetowej, które (niczym sławny paragraf 22 ze świetnej powieści Josepha Hellera) pozwalałoby nakładać wszechstronne i nieograniczone sankcje finansowe na kraj członkowski Unii bez żadnych traktatowych procedur czy nakazów luksemburskiego sądu.

Absurd tego pomysłu jest dwojaki. Po pierwsze, rodzi on natychmiast pytanie: to do czego w ogóle są potrzebne owe restrykcyjne postanowienia traktatów na temat sankcji, ze sławetnym art. 7 na czele, no i na co komu jakieś wyroki unijnych trybunałów, skoro pani von der Leyen może zrobić to samo, a nawet więcej, jednym pociągnięciem długopisu bez uzasadnienia? Po drugie, pretekstem miałoby być naruszanie przez Polskę unijnej Karty praw podstawowych, do której – jak wiadomo – swego czasu premier Tusk zgłosił formalne polskie zastrzeżenie. Zgodnie z nim owa karta może obowiązywać Polskę tylko o tyle, o ile przewidują tak polskie ustawy. Żeby się o tym przekonać, wystarczy wziąć do ręki dowolną publikację z tekstem traktatu lizbońskiego i odszukać w nim protokół nr 30.

A to znaczy, że obecny fortel komisji, który miałby pomóc w zmianie władzy w Polsce, jest tak groteskowo absurdalny, że nie wiadomo, czy nawet przy najsilniejszej woli politycznej wszystkich unijnych wrogów PiS będzie możliwy do utrzymania przez niemal rok, aż do jesiennych wyborów. Być może Bruksela w akcie rozpaczy będzie musiała do tego czasu wypłacić rządowi polskiemu jakąś transzę należnych pieniędzy.

Tym bardziej że jak słychać w Warszawie, idąc za przykładem Budapesztu, kombinują już, na których spośród licznych polsko-brukselskich frontów trzeba by w miarę prędko wywiesić białą flagę, by zmusić komisję do jakichś wstępnych wypłat. Gdyby tak się zaś stało, wiosną czy latem przyszłego roku to najmocniejsze, najbardziej przekonujące dla opinii publicznej uzasadnienie konieczności rychłej zmiany władzy prysłoby jak bańka mydlana. Dziś Hołownia może bez problemu mówić, że „pijany kierowca wiezie nas na ścianę, więc trzeba natychmiast zabrać mu kluczyki". Gdyby jednak za parę miesięcy miało się okazać, że kierowca nie tylko był trzeźwy, lecz także sprawę pieniędzy potrafił rozegrać całkiem przytomnie, to cała rzecz miałaby się już zupełnie inaczej.

ODPOWIEDŹ SCHETYNY

Na takie dictum Hołowni odpowiada Schetyna w imieniu Platformy: „Na dziś pomysł jest trudny do zrealizowania, tak naprawdę jest niemożliwy". Schetyna ma o tyle rację, że odkąd w konstytucji kwietniowej zostało ustalone, iż Sejm może obalić rząd wyłącznie na drodze konstruktywnego wotum nieufności, ani razu taka procedura nie została z sukcesem zastosowana. Owszem, zmieniano rządy przed upływem sejmowej kadencji, ale zawsze następowało to przez wymuszenie na niechcianym premierze „dobrowolnej" dymisji, a nie przez skuteczne głosowanie sejmowe. W ten sposób Kwaśniewski wymusił niegdyś dymisję na Millerze, a Kaczyński na Marcinkiewiczu i pani Szydło. Sławna próba obalenia Tuska w trybie wotum nieufności, podjęta w 2013 r., skończyła się klapą, której na dodatek towarzyszył klimat śmieszności, kiedy szef PiS na trybunie sejmowej puszczał z tabletu exposé premiera in spe Piotra Glińskiego.

> Na propozycję Hołowni Schetyna odpowiada: jeśli wotum nieufności, to oczywiście z Tuskiem jako premierem. Reakcja Hołowni jest znamienna: „W życiu!"

Powody trudności tej procedury są dwa. Raz, że taki proceduralny atak na obóz rządowy zazwyczaj go raczej konsoliduje niż rozkłada, więc zmiana sejmowej większości, tak ot, bez stosownego politycznego przygotowania i pohandlowania stanowiskami z jakimiś posłami, jest niemożliwa. A dwa – że trzeba ustalić alternatywnego kandydata na premiera.

I tu właśnie Schetyna zgłasza trudność zasadniczą. Jeśli wotum nieufności, to oczywiście z Tuskiem jako premierem. Reakcja Hołowni (w rozmowie z Radiem Zet) jest znamienna: „W życiu!". A rzecz jest prosta.

Widać jak na dłoni, że w miarę jak powolutku rosną notowania Platformy, Tusk doszedł do wniosku, że po raz drugi, tak samo jak w 2007 r., tylko on sam jest w stanie wyzwolić Polskę spod pisowskiej okupacji. Nikt go w tym dziele nie wyręczy ani nikt go nie jest w stanie zastąpić. Jest w tym zapewne sporo charakterystycznej dla Tuska megalomanii, ale trzeba też przyznać, że lider Platformy nie jest całkiem bez szans na taki scenariusz, ale tylko (i tu jest pies pogrzebany), o ile udałoby mu się wygrać następne wybory. Dziś nikt z jego politycznych partnerów na centrolewie nie pozwoli na to, by wpuścić bez wyborów lisa do kurnika, przesądzając tym samym, że lis już stamtąd tak łatwo nie da się wygonić. Tusk nie ma wielkich szans na ponowne zdobycie premierostwa po wyborach, ale w trybie wotum nieufności nie ma na to szans żadnych. I świadom tego zablokuje zapewne każdą próbę wcześniejszego odebrania PiS władzy, nawet gdyby było wiadomo, że opozycji udało się kupić wystarczającą liczbę posłów.

No i w ten sposób całe kółko z wotum nieufności wydaje się zamykać. A lider Polski 2050 nadal pozostaje mistrzem w zgłaszaniu politycznych projektów, o których z góry wiadomo, że muszą ponieść fiasko.

eprasa.pl d585177f9f

Najemnik Miller

Kim właściwie jest jeden z największych przeciwników Polski rządzonej przez Zjednoczoną Prawicę?

STANISŁAW JANECKI

„Rząd zapomniał, że [...] jest w UE, a prawo unijne wskazuje, że przy budowie tego rodzaju inwestycji [elektrowni jądrowych] i przy wyborze tego rodzaju inwestorów należy zorganizować tzw. postępowanie konkurencyjne. [...] Jeżeli jest jeden amerykański inwestor, to KE musiałaby wyłączyć taką inwestycję z organizacji przetargów, a to może nastąpić, gdy państwo posiada ważny powód. [...] Polska mogłaby osłabić nieco wymowę tego, o czym mówiłem, gdyby ogłosiła, że projekt umowy z Amerykanami jest jednym projektem. A następne będą dotyczyły producentów np. z Francji. [...] Jeżeli nic się nie zmieni, to nasz kraj będzie miał bardzo poważne problemy prowadzące w takim bardzo skrajnym wymiarze, do blokady tej inwestycji przez KE" – to słowa eurodeputowanego Leszka Millera. Człowieka wiedzącego, kogo słuchać, z czyim zdaniem się liczyć i jakie ograniczenia samemu sobie nałożyć. Człowieka doskonale funkcjonującego zarówno w czasach komuny, jak i w okresie tzw. transformacji ustrojowej, a także w wolnej ponoć od komunizmu III RP. Człowieka bez trudu ustawiającego się pod aktualnego hegemona, czy to był Związek Sowiecki, Układ

Fot. Didier Bauwerarts/European Union

eprasa.pl d585177f9f

Warszawski, Stany Zjednoczone, NATO, Unia Europejska, czy Niemcy. To polityczny wańka-wstańka. A po wyborach europejskich w 2019 r. stał się jednym z najgłośniejszych polityków działających przeciwko Polsce rządzonej przez Zjednoczoną Prawicę.

Przed 2019 r. był przez kilka lat zahibernowany, ale jeszcze wcześniej (w latach 2001–2004) sprawował nawet funkcję premiera RP. Skrajny jak komuniści, z którymi związał się jako 23-latek i dzięki którym ze zwykłego robociarza z Żyrardowa stał się wykształconym w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR funkcjonariuszem partyjnego aparatu. Tam doceniono jego ambicje i parcie do przodu niczym zwodowany w 1957 r. i napędzany energią jądrową lodołamacz Lenin. W aparacie PZPR krążyły o Leninie legendy, bo potrafił się przebijać nawet przez lody Arktyki. Podobnie było z Millerem. Pewnie dlatego po 70 jest jedynym w Parlamencie Europejskim byłym członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC partii komunistycznej spośród wszystkich państw członkowskich, w tym byłych państw komunistycznych.

DEMOKRATA Z POLITBIURA

W rozmowie z „Gazetą Wyborczą" (4 września 2021 r.) Miller stwierdził: „W PiS są znacznie większe profity niż wtedy [za komuny], dlatego że w tamtym ustroju, przynajmniej jak ja już byłem na najwyższych stanowiskach, przeważała tendencja, żeby nie epatować bogactwem. I aż takiej skali nepotyzmu, handlu stanowiskami nie było. Więc można powiedzieć, że dzisiejsza polityka PiS jest daleko za normami Polski Ludowej". Miller skromnie pomija to, że za komuny towarzysze dostawali astronomiczne w porównaniu ze średnią krajową pieniądze, przywileje, towary i usługi za nic. A stanowiska dostawali na zasadzie sowieckiego „trofiejnego". Miller współczesny „nie traktuje PiS jak normalnej partii, która zdobywa demokratycznie władzę i potem demokratycznie ją oddaje, trzymając się rozwiązań konstytucyjnych". Problemem jest to, że PiS nigdy nie zdobył władzy niedemokratycznie i nie sprawował jej ponad i poza przyznanym mandatem, a komuniści innej niż niedemokratyczna formy władzy nie znali.

Były aparatczyk PZPR mówi o PiS jako partii ustrojowego przewrotu, która sprawi, że „potem przyjdzie czas na dyktaturę". Zapewne wie o tym dzięki znajomości PZPR (i jej poprzedniczki PPR), która obalała wszystko, co demokratyczne, przez ponad cztery dekady (żyrując także liczne ubeckie zbrodnie). Oraz z praktyki Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który pomógł obalić pierwszy demokratyczny rząd III RP, czyli gabinet Jana Olszewskiego. Powiada Miller, że „trzeba z nimi [PiS] walczyć" i chciałby „doczekać, kiedy PiS pożegna się z władzą i przynajmniej czołowi działacze poniosą konsekwencje za to, co zrobili". Mordercy spod znaku PPR i PZPR oraz ich ubecy mogą być bezkarni, a politycy demokratycznie wybrani i niemający na koncie żadnych przestępstw powinni ponieść konsekwencje. Dla Millera „Kaczyński to człowiek bardzo niebezpieczny". Zapewne dlatego, że od lat 80. XX w. obecny prezes PiS starał się odsuwać od władzy komunę i postkomunę. I to mu się udawało.

Miller uważa, że PiS chce budować oligarchię, czego podobno „u nas po 1989 r. nie było". Tyle że to postkomuniści i ich prezydent Aleksander Kwaśniewski tworzyli krajowych oligarchów, a nawet w ich imieniu chcieli się dogadywać z rosyjskimi oligarchami. A komunistom zapewnili miękkie lądowanie w III RP. Nic dziwnego, że obecnie Miller stał się ideowym bratem Donalda Tuska. Także w kwestii zwalczania strasznej „rusofobii". Dlatego „razi [go] nachalna rusofobia, która jest podwaliną polskiej polityki zagranicznej". On w 2017 r. w tubie propagandowej Kremla, czyli „Sputniku", sprzeciwiał się sankcjom nakładanym na Rosję po aneksji Krymu.

MOSKIEWSKA POŻYCZKA, PUCZYŚCI I CIA

Leszek Miller musiał być zaufanym człowiekiem Moskwy w PZPR w jej ostatnim dziesięcioleciu, skoro to on był obecny podczas przyjmowania tzw. moskiewskiej pożyczki oraz miał oddawać jej część. 25 lipca 1992 r. w Sejmie wystąpił zastępca prokuratora generalnego Stanisław Iwanicki. Stwierdził on: „12 stycznia 1990 r. w Warszawie przedstawiciele KPZR przekazali Mieczysławowi Rakowskiemu kwotę 1 232 000 dol. amerykańskich i 500 mln zł w gotówce. Operacji tej towarzyszyło podpisanie dokumentu sporządzonego w języku rosyjskim, w którym jako kredytodawca figuruje Władimir Wierszynin, a jako kredytobiorca – Mieczysław Rakowski". Moskiewska pożyczka była przestępstwem, gdyż na pożyczenie takiej kwoty za granicą była potrzebna zgoda prezesa NBP, a o nią nawet nie wystąpiono.

Przekazanie pieniędzy nastąpiło 12 stycznia 1990 r. Funkcjonariusze KPZR Witalij Swietłow i Władimir Szewczenko przywieźli do Polski gotówkę. Szewczenko zeznał potem, że „przy przekazaniu pieniędzy obecny byłem ja i oficerowie łączności, a ze strony polskiej oprócz Rakowskiego jego zastępca Miller i jeszcze dwóch mężczyzn". W październiku 1990 r. po zwrot części pożyczki przyjechali Swietłow i Władimir Wierszynin. Wierszynin naprawdę nazywał się Władimir Silwestrow i pracował w wywiadzie KGB. Swietłow zeznał: „Ja i Wierszynin przyjechaliśmy do mieszkania w rejonie Wilanowa. Po nas do mieszkania przyszli Miller Leszek z żoną. Miller i Wierszynin na kilka minut wyszli do drugiego pokoju. Ze słów Wierszynina dowiedziałem się, że w tamtym pokoju Miller przekazał Wierszyninowi egzemplarz umowy kredytowej z podpisem Rakowskiego o zwrocie 600 tys. dol. USA". W notatce Leonida Szebarszyna z KGB dla Walentina Falina, kierownika wydziału międzynarodowego (z 29 listopada 1990 r.), odnotowano: „Zgodnie z waszą prośbą (nr 06/2-171 z 29 X 1990) przesyłamy otrzymaną przez tow. tow. Swietłowa W.A. i Wierszynina W.G. od L. Millera 2 listopada w Warszawie wartościową przesyłkę, która została dostarczona z Polski kanałami KGB ZSRR". Miller uznał te dokumenty za nieprawdziwe. Prokuratura zarzuciła mu, że pośredniczył w zwrocie 600 tys. dol. bez wymaganego zezwolenia dewizowego. W 1993 r. prokuratura uznała, że brakuje dowodów winy w odniesieniu do Leszka Millera. W 1994 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie orzekł, że umorzenie postępowania było zgodne z prawem. Ówczesny minister sprawiedliwości Jerzy Jaskiernia (SdRP)

eprasa.pl d585177f9f

nie wniósł odwołania i postanowienie stało się prawomocne.

W listopadzie 1989 r., w maju i wrześniu 1990 r. oraz w maju 1991 r. Miller przebywał w Moskwie, by uzgodnić koordynację działań gospodarczych KPZR i PZPR (a potem Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej). W lipcu 1991 r. Miller został przyjęty w Moskwie przez wiceprezydenta Giennadija Janajewa. Sprzeciwiał się wtedy wizycie prezydenta Lecha Wałęsy w Moskwie. Twierdził, że zostanie ona wykorzystana do umocnienia jego pozycji w kraju i za granicą. W sierpniu 1991 r., w czasie tzw. puczu Janajewa, Miller przebywał na Krymie. Ówczesny poseł OKP Mieczysław Gil zarzucił potem jemu i innym działaczom SdRP kontakty z puczystami i spisek. Wynikało to z faktu, że do 18 sierpnia w tym samym ośrodku był Borys Pugo, szef MSW, jeden z puczystów. A poseł Edward Krasowski wystąpił do UOP o wszczęcie postępowania wyjaśniającego sprawę kontaktów szefów SdRP z organizatorami puczu.

O Millerze stało się znowu głośno w związku z tzw. aferą Olina. Gdy 31 października 2008 r. Paweł Reszka i Michał Majewski rozmawiali (dla „Dziennika") z gen. Marianem Zacharskim, ważną postacią w sprawie Olina, zapytali, czy to prawda, że „Rosjanie mieli na szczytach władzy jeszcze jednego agenta – Minima". I że „w latach 90. spekulowano, że taki był pseudonim Leszka Millera". Na co Zacharski odpowiedział: „Wiem, jakie nazwiska ukryte pod tymi kryptonimami wymieniało moje rosyjskie źródło. [...] Minim – według oświadczenia mojego i innych źródeł – przestał spełniać swoje funkcje po zmianach ustrojowych".

Miller jako minister pracy i polityki socjalnej, a szczególnie po tym, jak w styczniu 1997 r. został szefem MSW, miał intensywnie szukać kontaktów z drugą stroną, czyli Amerykanami. W wywiadzie dla Onetu (z 3 września 2019 r.) stwierdził: „W 1996 r. byłem w centrali CIA w Langley. Przyjmował mnie ówczesny szef tej organizacji John Deutch". Gdy 19 października 2001 r. został premierem, zgodził się, by CIA prowadziła specjalne operacje na terenie Polski, m.in. tajne więzienie w Starych Kiejkutach. Pytany (w tym samym wywiadzie dla Onetu) o więzienie CIA Miller stwierdził: „Byłem jako premier w Kiejkutach na promocji oficerskiej, ale nie byłem w żadnym ośrodku CIA". Po ujawnieniu sprawy Olina (pod koniec grudnia 2005 r.) polskie służby miały sprawdzać, czy Miller mógł wprowadzać w błąd Amerykanów, m.in. CIA, co do swojej roli w kontaktach z Rosjanami.

> Przeciwnicy Millera jako premiera – 2 maja 2004 r. został zmuszony do odejścia – sugerowali, że Schröder miał się odwdzięczyć za rezygnację z Baltic Pipe, przekazując „siatki z pieniędzmi", a przez to pomagając wrócić do wielkiej polityki

PRZYJACIEL SCHRÖDERA

W 2001 r., na krótko przed tym, zanim został premierem, Leszek Miller sprzeciwiał się staraniom premiera Jerzego Buzka o budowę gazociągu z Norwegii przez Danię do Polski. Gdy już był szefem rządu zrezygnował z gazociągu, tłumacząc, że gazu byłoby dla Polski za dużo, a dodatkowych odbiorców nie znaleziono. Było to działanie wyjątkowo korzystne dla Rosjan. 9 lipca 2004 r. dziennik „Życie" napisał, że według ustaleń Najwyższej Izby Kontroli to premier Leszek Miller i minister Marek Pol uzależnili Polskę od Rosji pod względem dostaw gazu.

Miller był wylewnym przyjacielem Gerharda Schrödera, kanclerza Niemiec, który później został szefem rady nadzorczej konsorcjum Nord Stream. W rozmowie z Deutsche Welle (1 maja 2013 r.) Miller mówił: „Spotykałem się ze Schröderem dosyć często przez trzy, cztery lata po odejściu z funkcji szefa rządu. [...] On był gościem w moim domu, ja byłem u niego". Tłumaczył też, że „będąc na Kremlu, usłyszał od Putina, że Rosjanie myślą o połączeniu najkrótszą drogą złóż gazu z Niemcami. A to dlatego, że wcześniejsza propozycja trasy rurociągu – przez Polskę, ale z pominięciem Ukrainy – została odrzucona przez władze polskie. W geście solidarności z Ukrainą rząd AWS nie przyjął takiego projektu. Wtedy narodziła się myśl o gazociągu bałtyckim [Nord Stream]. [...] Skończyło się dla nas fatalnie. Rurociąg został zbudowany, a my nie jesteśmy do niego podłączeni. Nie rozumiem tej tragedii". Przeciwnicy Millera jako premiera (2 maja 2004 r. został zmuszony do odejścia) sugerowali, że Schröder miał się odwdzięczyć za rezygnację z Baltic Pipe, przekazując „siatki z pieniędzmi", a przez to pomagając wrócić do wielkiej polityki. I pytali, skąd pochodziły te pieniądze.

Jesienią 2007 r. Miller został wypchnięty z SLD i nie znalazł się na liście do Sejmu ugrupowania Lewica i Demokraci. Plotkowano, że m.in. z tego powodu, że miał podtrzymywać „dziwne" kontakty zarówno z Rosjanami, jak i Amerykanami. W tamtym czasie związał się z Samoobroną, która miała związki z Rosją. Aż do 2010 r. Miller był na politycznej kwarantannie, po czym znowu przyjęto go do SLD, w 2011 r. został przewodniczącym klubu parlamentarnego, a w 2012 r. szefem partii. I znowu przeciwnicy pytali, kto mu w tym pomógł. W 2015 r. Miller i SLD przegrali wybory parlamentarne (wynik poniżej progu), za co karą było zmuszenie go, by nie kandydował na szefa partii (wygrał Włodzimierz Czarzasty). Znowu pojawiły się plotki o dziwnych relacjach z Rosjanami, szczególnie w kontekście agresji Rosji na Ukrainę.

W latach 2016–2018 Miller był na politycznym marginesie, a w 2019 r. pomocną dłoń wyciągnął do niego Grzegorz Schetyna, wpisując na listę Koalicji Europejskiej, dzięki czemu został eurodeputowanym. I od 2019 r. zaczęła się ostra jazda Millera na Polskę rządzoną przez PiS. I po raz kolejny pojawiły się pytania, czy ktoś mu wciąż pomaga i czyja może być ta „niewidzialna ręka".

eprasa.pl d585177f9f

Wojna z patologią, nie z rodzicami

Nowelizacja ustawy Prawo oświatowe, która po wecie prezydenta wróciła do Sejmu jako projekt poselski (przez opozycję zwana Lex Czarnek 2.0), wywołała emocje zarówno po prawej, jak i lewej stronie publicznego dyskursu. Środowiska konserwatywne wzburzyły szczególnie przepisy, które zdaniem rodziców mogły doprowadzić do likwidacji edukacji domowej. Minister Przemysław Czarnek tłumaczy, że chodzi wyłącznie o ograniczenie patologii i dobro dzieci

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Rząd próbuje zniszczyć domową edukację" – takie oskarżenia wytoczyli przedstawiciele środowiska rodziców zaangażowanych w tę formę kształcenia. „Jako przedstawiciele rodzin edukacji domowej oświadczamy, iż zaproponowane w projekcie ustawy zmiany dotyczące edukacji domowej są niemożliwe do zaakceptowania. Mają one charakter dyskryminacyjny, a przyjęcie ich w proponowanym kształcie doprowadzi do ograniczenia wolności obywatelskiej oraz ograniczenia gwarantowanego Konstytucją RP prawa rodziców do decydowania o kształcie edukacji własnych dzieci. Proponowane rozwiązania doprowadzą do zniszczenia budowanej od 1991 r. społeczności rodzin edukacji domowej" – czytamy w oświadczeniu Stowarzyszenia Edukacji w Rodzinie, które pojawiło się zaraz po tym, gdy posłowie podjęli procedowanie nad nowelą ustawy Prawo oświatowe.

KONTROWERSYJNE PRZEPISY

Większość z kontrowersyjnych zapisów, które wywołały burzę o domową edukację, już zniknęła z projektu nowelizacji ustawy. Zostały wykreślone w drodze autopoprawki. O jakie przepisy chodziło? Przeanalizujmy je po kolei.

Pierwszy z nich miał dotyczyć ograniczenia terminu zmiany formy edukacji lub szkoły i brzmiał: „1a. Wniosek, o którym mowa w ust. 1, składa się w terminie od dnia 1 września do dnia 21 września roku szkolnego, w którym dziecko ma rozpocząć spełnianie obowiązku, o którym mowa w art. 31 ust. 4, obowiązku szkolnego albo obowiązku – 4 – nauki odpowiednio poza przedszkolem, oddziałem przedszkolnym w szkole podstawowej, inną formą wychowania przedszkolnego lub szkołą". W drodze autopoprawki termin zmieniono na: od 1 lipca do 21 września. Kolejny przepis dotyczył powrotu do rejonizacji wojewódzkiej i brzmiał: „1b. przedszkole, inna forma wychowania przedszkolnego lub szkoła, do której dziecko zostało przyjęte, znajduje się na terenie województwa, w którym zamieszkuje dziecko". Według rodziców propozycja ta uznana niemal jednogłośnie za wadliwą, przez Sejm w 2021 r. została ponownie zaproponowana, mimo iż jej wadliwość nie ustała. Ten zapis jest w ocenie środowiska zajmującego się domową edukacją ograniczeniem konstytucyjnego prawa decydowania rodziców o kształcie edukacji dziecka. Ponadto utrudniałoby to funkcjonowanie szkół katolickich, których obszar działania jest związany z granicami diecezji, które nie pokrywają się z podziałem administracyjnym państwa. W obecnym projekcie nowelizacji województwo rozszerzono na „województwo zamieszkania plus sąsiadujące województwa".

eprasa.pl d585177f9f

Fot. Shutterstock

Kolejną kością niezgody był zapis dotyczący ograniczenia liczby dzieci edukacji domowej w danej placówce, tak by nie przekraczała ona 50 proc. wszystkich uczniów danej placówki. Tu m.in. przedstawiciele Stowarzyszenia Edukacji w Rodzinie argumentowali, że szkoły mające doświadczenie we wsparciu dzieci w edukacji domowej najczęściej nie posiadają uczniów stacjonarnych lub mają ich bardzo mało ze względu na rejon ich położenia. Ostatecznie ten zapis zniknął z noweli ustawy. Podobnie jak zapis dotyczący warunków lokalowych, z którego wynikało, że szkoła musi zapewnić miejsce do nauki stacjonarnej wszystkim uczniom, którzy korzystają z edukacji domowej, na wypadek gdyby z takiego trybu nauki zrezygnowali. Przyjęcie takiego rozwiązania zdaniem środowisk zajmujących się edukacją domową skutkowałoby finansowaniem pustych ławek, a to byłaby niegospodarność i trwonienie publicznych pieniędzy. W noweli pozostały jednak zapisy dotyczące egzaminów, które muszą odbywać się w szkole, a nie zdalnie.

> Nowelizacja ogranicza się ostatecznie do trzech zmian. Ustaliliśmy rejonizację do dwóch województw, egzaminy odbywające się w trybie stacjonarnym oraz termin zapisywania dzieci na edukację domową od 1 lipca do 21 września – mówi szef MEiN

WALKA Z PATOLOGIĄ

Zapytany przeze mnie o powód wprowadzenia kontrowersyjnych przepisów i szybkie porozumienie ze środowiskami domowych edukatorów minister Przemysław Czarnek tłumaczy: – Ostateczny kształt nowelizacji został ustalony z posłami, którzy zajmują się edukacją domową, oraz ze środowiskami rodziców. Nowelizacja ogranicza się ostatecznie do trzech zmian i jest ona jest zasadna. Ustaliliśmy rejonizację do dwóch województw, egzaminy odbywające się w trybie stacjonarnym oraz termin zapisywania dzieci na edukację domową od 1 lipca do 21 września. Istotą proponowanych w ustawie zmian i tego, co po zmianach pozostało,

eprasa.pl d585177f9f

jest to, by nie czynić z edukacji domowej permanentnej nauki zdalnej. Czym innym jest edukacja domowa prowadzona w sposób odpowiedzialny przez rodziców, a czym innym wykorzystywanie przepisów o edukacji domowej do tworzenia potężnych, kilkunastotysięcznych szkół, w których egzaminy są fikcją, bo mają być organizowane zdalnie lub na jakimś stadionie, a wszystko polega na nauce zdalnej non stop przez kilka godzin dziennie. Edukacja domowa to nie jest edukacja zdalna. I tylko o to nam chodzi. O uporządkowanie spraw. Edukatorzy domowi są przez nas doceniani, także jeśli chodzi o poziom finansowania, który wprowadziliśmy półtora roku temu.

Sprawdźmy więc, o co chodzi z permanentną edukacją zdalną, o której mówi minister Czarnek. W ostatnim czasie media poświęciły sporo uwagi przedsięwzięciu biznesowo-edukacyjnemu, którym jest Szkoła w Chmurze. „To pewnie największa szkoła w Polsce. Ma 32-metrową salę lekcyjną i 10 tys. uczniów. Są z kilkuset gmin, uczą się w swoich domach. A Warszawa płaci miliony i pyta, czy tak powinna wyglądać edukacja domowa. To Szkoła w Chmurze założona przez współtwórcę słynnego serwisu chomikuj.pl" – czytamy na portalu wyborcza.pl. Szkoła nęci tym, że nie ma w niej ocen i sprawdzianów, dzwonków, przerw i nawet lekcji. A nawet szkoły jako budynku, klas i codziennych spotkań z kolegami i nauczycielami. „Możesz dołączyć do nas niezależnie od tego, w którym miejscu Polski mieszkasz. Za darmo" – kusi Szkoła w Chmurze. Jedyne, co trzeba, to zdać egzaminy z przedmiotów objętych podstawą programową na koniec każdego roku edukacji: po pierwszej, piątej czy siódmej klasie. I obowiązek szkolny jest zrealizowany. – Doszło do tego, że dzięki tego typu szkołom jak Szkoła w Chmurze głównie licealiści unikają obowiązku szkolnego, licząc na to, że egzaminy będą zdalne, czyli łatwe do zdania, i jakoś uda się prześlizgnąć – tłumaczy mi konieczność uregulowania tej sytuacji minister Czarnek.

A okazało się, że na Szkołę w Chmurze jest spory popyt. „Uczniowie mają do dyspozycji platformę z interaktywnymi ćwiczeniami, mogą też liczyć na konsultacje nauczycieli i warsztaty. Egzaminy zdają zdalnie. We wrześniu 2021 r. szkoła miała nieco ponad 900 uczniów. W czerwcu 2022 r. było ich ponad 2,5 tys. Rekrutacja trwa cały rok. Teraz uczniów jest ponad 10 razy więcej niż rok temu. Liczba z października odnotowana w urzędzie miasta to ponad 9,2 tys., sama szkoła rzuca liczbę 10 tys. uczniów. W tym ponad 500 dzieci z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego" – informuje wyborcza.pl.

GDY NIE WIADOMO, O CO CHODZI…

Problemem okazuje się nie tylko wątpliwej jakości edukacja, ale też pieniądze. Stołeczny ratusz oraz Ministerstwo Nauki i Edukacji diagnozują ten sam problem: samorządy tracą finansowo na nadużyciach w tym obszarze. Tak wygląda szczegółowe wyliczenie, które minister Czarnek przeprowadził na łamach „Dziennika Gazety Prawnej": „Na podstawie danych o liczbie uczniów według stanu na koniec 30 września ub.r. wprowadzonych do Systemu Informacji Oświatowej przez Szkoły w Chmurze (podstawową i liceum) naliczono m.st. Warszawie subwencję oświatową w wysokości 5,8 mln zł. Szacuje się natomiast, że w całym 2022 r., przy tak szybkim przyroście uczniów, jaki jednostka notuje, miasto wyda na dotację dla tego podmiotu prawie 44 mln zł. Czyli, prosto licząc, o 38,2 mln zł więcej. Poza tym, uczniowie wykazywani do dotacji przez te szkoły mieszkają w całym kraju, przez Sejny po Rabkę-Zdrój. Tylko z Wrocławia jest tam ok. 60 dzieci, ze Szczecina – 30. W podstawówce w chmurze uczniowie pochodzą z ponad 500 gmin. Na tym przykładzie widać, że naliczenie subwencji oświatowej na podstawie liczby uczniów w roku poprzednim nie gwarantuje samorządom środków na finansowanie przekazanych zadań i skutkuje potężnym deficytem. Proszę też zwrócić uwagę, że samorządy płacą tu głównie za »nieswoje« dzieci. To też niesprawiedliwe" – wyliczał szef resortu. W rozmowie ze mną Przemysław Czarnek dodaje: – Koszty funkcjonowania takiej szkoły to 10–12 mln zł, a środki przekazywane z subwencji to ok. 40 mln zł. Widać więc, że to jest świetny biznes, tylko nie ma nic wspólnego z edukacją na odpowiednim poziomie. Przepisy, które wprowadzamy, zmierzają do ograniczenia patologii, a nie do zlikwidowania edukacji domowej, jak pierwotnie sugerowano.

> Czym innym jest edukacja domowa prowadzona w sposób odpowiedzialny przez rodziców, a czym innym wykorzystywanie przepisów o edukacji domowej do tworzenia potężnych, kilkunastotysięcznych szkół, w których egzaminy są fikcją – tłumaczy minister Czarnek

I pewnie gdyby nie wykreślono z nowelizacji ustawy Prawo oświatowe przepisu ograniczającego liczbę dzieci w edukacji domowej do 50 proc. liczby uczniów danej placówki, tę patologię dałoby się szybciej ograniczyć. Tu jednak środowiska zajmujące się edukacją domową okazały się nieprzejednane.

O zaletach tej formy edukacji jest przekonany Mariusz Dzieciątko, prezes Stowarzyszenia Edukacji Domowej: – Rodzina i relacje w takiej rodzinie – między rodzicami i dziećmi – zupełnie inaczej funkcjonują. To jest chyba najważniejsze z mojej perspektywy. Edukacja domowa to tak naprawdę styl życia. I nie ma nic wspólnego z siedzeniem cały dzień przed komputerem. Nie jest prawdą też funkcjonujący mit o niskiej socjalizacji dzieci, bo te dzieci znacznie łatwiej wchodzą w interakcje z innymi osobami, bo są ciekawe, często odważniejsze w nawiązywaniu relacji. Wyniki edukacyjne takich dzieci też są znacznie lepsze.

Na szczęście przynajmniej w tym aspekcie nowelizacji ustawy Prawo oświatowe udało się osiągnąć kompromis, który względnie satysfakcjonuje zainteresowane strony, a edukacji domowej nic nie zagraża. Zagrożeni powinni zaś czuć się ci, którzy korzystając z furtki w prawie, postanowili na edukacji zrobić biznes.

eprasa.pl d585177f9f

Powszechna demotoryzacja

Zakaz rejestracji nowych samochodów z silnikiem spalinowym, który ma obowiązywać w Unii Europejskiej od 2035 r., wynika głównie z pobudek ideologicznych. Skutki zakazu dotkną niemal wszystkich mieszkańców Europy i mogą doprowadzić do gwałtownego wzrostu nastrojów antyunijnych

Fot. Shutterstock

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zgodnie z porozumieniem zawartym pod koniec października między Parlamentem Europejskim a Radą UE od 2035 r. na terytorium Unii Europejskiej nie będzie już można zarejestrować nowego auta z silnikiem spalinowym lub z napędem hybrydowym. Pięć lat wcześniej ma z kolei być zrealizowany cel pośredni, polegający na zredukowaniu emisji CO_2 o 55 proc. w przypadku samochodów osobowych i o 50 proc. – w przypadku dostawczych. Czyli, mówiąc w skrócie, już za 7 lat liczba nowych aut spalinowych ma być zmniejszona o połowę, a za 12 – mają one zostać całkowicie wycofane ze sprzedaży.

Zakaz rejestracji dotyczy wyłącznie nowych aut, a zatem będzie możliwe używanie i rejestracja samochodów spalinowych jeszcze po 2035 r., tyle że będą to wyłącznie pojazdy używane. Niewiele to jednak zmienia. Należy bowiem spodziewać się tego, że korzystanie z samochodów spalinowych już wkrótce stanie się bardzo uciążliwe. Wzrośnie bowiem liczba „zielonych stref" w miastach, do których nie będzie można wjeżdżać autami spalinowymi. Szybko zabraknie też części zamiennych, a serwisy – jeśli w ogóle podejmą się naprawy wysłużonych pojazdów spalinowych – będą sobie kazały słono płacić za usługi. Co więcej, właściciele takich samochodów mogą być obciążeni specjalnymi opłatami za emisję CO_2.

Samochody spalinowe zaczną więc stopniowo znikać z ulic, tak jak to się dzieje dzisiaj z każdym starym modelem auta. Ich miejsce zajmą pojazdy bezemisyjne, tyle że będzie ich zbyt mało, by zastąpiły próżnię po autach spalinowych. Przyczyna tkwi w wysokiej cenie samochodów elektrycznych oraz kosztownej i kłopotliwej eksploatacji, przynajmniej na obecnym poziomie technologicznym. Oznacza to, że miliony dotychczasowych właścicieli aut będą prawdopodobnie musiały zrezygnować z samochodów i całkowicie zmienić swoje przyzwyczajenia oraz styl życia.

eprasa.pl d585177f9f

LUKSUS NIE DLA KAŻDEGO

Po dekadach motoryzacji, gdy wyznacznikiem postępu i dobrobytu było posiadanie własnego auta, czeka nas najwyraźniej epoka masowej demotoryzacji wraz ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy, przede wszystkim ze zmniejszoną mobilnością ludzi oraz wyższymi cenami wszelkich usług uzależnionych od transportu. Trudno się spodziewać, by w powszechnym odczuciu mogło być to odebrane inaczej niż jako regres cywilizacyjny.

Można oczywiście mieć nadzieję, że z czasem – w miarę postępu technicznego – ceny aut bezemisyjnych spadną, a ich użyteczność wzrośnie. Są jednak spore wątpliwości co do tego, czy uda się to osiągnąć właśnie za 12 lat, zwłaszcza że 2035 r., wyznaczony przez Unię jako data graniczna, nie ma żadnego związku z rozwojem technologii, lecz jest arbitralnie wyznaczonym limitem czasowym.

Zastrzeżenia do tego terminu mają także – co skądinąd zrozumiałe – szefowie największych koncernów motoryzacyjnych, według których silniki spalinowe są ciągle najbardziej niezawodnym źródłem napędu i nic nie wskazuje na to, by w perspektywie najbliższych 15 lat miało się to zmienić. Bo choć koncerny mocno inwestują dziś w rozwój napędu bezemisyjnego, to jednocześnie zdają sobie sprawę z jego wysokich kosztów. W rezultacie po 2035 r. może nastąpić załamanie sprzedaży samochodów, czego koncerny chciałyby za wszelką cenę uniknąć.

Zdaniem prezesa BMW Olivera Zipsego zbyt pochopne przejście na elektromobilność sprawi, że samochody staną się dobrem luksusowym, bo z oferty koncernów znikną auta przystępne cenowo. Zipse przestrzegł też przed społecznymi konsekwencjami unijnego zakazu, podkreślając, że rodzaj auta powinien być kwestią wyboru, a nie urzędowego przymusu. „Na miejscu polityków byłbym bardzo ostrożny, odbierając ludziom samochody na mocy przepisów" – powiedział Zipse.

Prezesowi BMW wtórował Carlos Tavares, szef korporacji Stellantis, będącej właścicielem takich marek, jak m.in. Fiat, Peugeot, Citroën, Opel czy Chrysler. Tavares wezwał do renegocjacji porozumienia w sprawie zakazu rejestracji nowych aut spalinowych, ostrzegając, że jego wprowadzenie może wywołać falę sprzeciwu. „Jeśli odmówisz klasie średniej możliwości swobodnego przemieszczania się, to będziesz miał poważne problemy społeczne" – stwierdził.

USZCZĘŚLIWIANIE NA SIŁĘ

Szefowie koncernów motoryzacyjnych kierują się oczywiście własnym egoistycznym interesem, jednak ich przestrogi są całkowicie uzasadnione. Problem nie tkwi bowiem w samym pomyśle elektromobilności, lecz w ideologicznym dogmatyzmie dzisiejszej Unii, która coraz częściej odbiera społeczeństwu prawa dokonywania wolnego wyboru.

> Polacy kojarzą Unię z dostatkiem i swobodą podróżowania. Jeżeli jednak nagle, wskutek decyzji unijnych oligarchów, zniknie jedno i drugie, to wraz z nimi wyparuje również euroentuzjazm

Zakaz rejestracji aut spalinowych nie jest decyzją mającą uzasadnienie społeczne czy gospodarcze. Jest wręcz przeciwnie, to decyzja polityczna, za którą kryje się inżynieria zmierzająca do przebudowy społeczeństw. Kryzys klimatyczny jest tu wygodną zasłoną dymną – wygodną o tyle, że teza o jego antropogenicznym charakterze jest traktowana jako niepodważalny dogmat, rodzaj wyznania wiary, od której odstępstwo jest karane dozgonną infamią. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji sprzeciw wobec aut elektrycznych uchodzi za groźną herezję. Na razie więc nikt się nie wychyla ani nie buntuje, licząc, że może zrobią to inni albo że do 2035 r. wiele się jeszcze może zmienić.

Jeśli jednak nic się nie zmieni, to w dalszej perspektywie demotoryzacja może wywołać masowy opór, zwłaszcza że w odróżnieniu od większości wcześniejszych eksperymentów społecznych unijnych oligarchów dotknie ona w bardzo krótkim czasie dosłownie wszystkich mieszkańców Europy. Ryzyko byłoby zapewne mniejsze, gdyby wszystko odbywało się ewolucyjnie, tzn. gdyby najpierw rozwinięto efektywną, wydajną i konkurencyjną cenowo technologię, a dopiero potem przystąpiono do jej promowania i wdrażania.

O tym, że unijny zakaz jest arbitralną decyzją polityczną, która nie ma nic wspólnego z rozwojem technologii, może również świadczyć fakt, że obejmuje on wyłącznie auta osobowe i dostawcze. Co w takim razie z milionami ciężarówek? Tiry można zastąpić transportem kolejowym – i byłoby to bardzo wskazane z powodu bezpieczeństwa na drogach – ale po pierwsze, sieć kolejową pocięto i ograniczono jej przepustowość, a po drugie – towar dowieziony koleją, trzeba jeszcze jakoś porozwozić. A jakoś nie słychać na razie o elektrycznym transporcie drogowym. Być może dlatego, że przy dzisiejszej technologii samochód ciężarowy dźwigający dużą i ciężką baterię zabrałby niewiele ładunku. Alternatywne projekty rozwieszania nad autostradami elektrycznej sieci zasilającej tiry nie wydają się zaś – eufemistycznie rzecz ujmując – zbyt perspektywiczne.

Trudno też wyobrazić sobie sprawną armię złożoną z elektrycznych ciężarówek (choć takie próby są w Unii podejmowane). Nie wspominając już o czołgach i innych pojazdach bojowych. Wszystko to dowodzi jedynie tego, że elektromobilność to na razie raczkująca technologia i jej przymusowe wprowadzanie jest na obecnym etapie i przy dzisiejszym stanie infrastruktury uszczęśliwianiem ludzi na siłę.

Z pewnością nikt nie żałowałby auta spalinowego, gdyby mógł za podobną lub niższą cenę przesiąść się do samochodu elektrycznego zdolnego do pokonywania dużych dystansów po jednym i krótkim ładowaniu baterii. Bo przecież nie o napęd tu chodzi, tylko o cenę i użyteczność. A w tej chwili te parametry aut bezemisyjnych są dla wielu Europejczyków nie do przyjęcia.

PRÓBA SAMOBÓJSTWA

Głównym składnikiem wysokiej ceny samochodu elektrycznego jest zasilająca auto bateria. Jej sprawność jest szaco-

eprasa.pl d585177f9f

wana przez producentów na osiem lat lub 150 tys. km, co mocno ogranicza atrakcyjność zakupu samochodu elektrycznego na rynku wtórnym. Jasne jest przecież, że pojemność baterii będzie spadać z każdym ładowaniem. Można wprawdzie zużytą baterię wymienić, tyle że koszt wymiany jest według dzisiejszych cen kosmicznie wysoki i w większości przypadków przekracza 100 tys. zł. Serwis takich aut nawet bez wymiany baterii także jest bardzo kosztowny. I raczej trudno będzie go przeprowadzić poza autoryzowanymi stacjami obsługi. Mechanicy samochodowi będą więc zmuszeni do zamknięcia swoich warsztatów i szukania nowego zajęcia.

Wszystko to oznacza, że w gruncie rzeczy auta elektryczne są na razie jednorazową zabawką dla bogatych, choć żeby mogli oni w pełni korzystać z walorów takiego samochodu, konieczna jest jeszcze pilna budowa w całym kraju infrastruktury do ładowania, ale to chyba najmniejsze dziś zmartwienie. Pozostaje jeszcze pytanie, czy sieci energetyczne uciągną zwiększony pobór mocy. I czy mamy jej wystarczająco dużo? Bo gdyby zastąpić auta spalinowe pojazdami elektrycznymi, to na ich zasilanie trzeba byłoby przeznaczyć w Unii równowartość mocy z kilku reaktorów jądrowych. Na razie takich dodatkowych źródeł mocy jeszcze nie ma, a czasu pozostało niewiele.

Mniej zamożni Europejczycy będą więc musieli ograniczyć mobilność. Część spróbuje zapewne przeprosić się z transportem publicznym, o ile uda się go poza miastami odbudować (w Polsce może być z tym poważny problem). Jednak większość zostanie na lodzie lub będzie musiała skorzystać z propozycji firm oferujących długoterminowy wynajem aut elektrycznych. Oczywiście ci, którzy będą mogli, wliczą sobie wyższe koszty w cenę wykonywanych usług, pozostałych czeka spadek dochodów i dotychczasowego standardu życia. Widać więc wyraźnie, że na wymianie samochodów spalinowych na elektryczne najwięcej stracą średniozamożni i biedniejsi. W takim kraju jak Polska oznacza to poważny problem społeczny.

Unijna oligarchia udowodniła jednak, że nie myśli o dobrostanie własnych społeczeństw. Interesuje ją bowiem zupełnie nowe rozdanie, w którym spauperyzowane i zarazem ubezwłasnowolnione masy poddaństwa będą pracować na dostatnie życie bogatej elity. A kto będzie się przejmował potrzebami poddanych? Regres cywilizacyjny idzie w parze z regresem społecznym.

Właśnie ten rodzaj arogancji elit może wywołać opór, który doprowadzi do erozji Unii w jej obecnym kształcie. Można być całkowicie pewnym, że – jeżeli nic się nie zmieni – to w takim kraju jak Polska w ciągu najbliższych lat dojdzie do odwrócenia obecnych nastrojów. W tej chwili Polacy ciągle kojarzą Unię z dostatkiem i swobodą podróżowania. Jeżeli jednak nagle, wskutek decyzji unijnych oligarchów, zniknie jedno i drugie, to wraz z nimi wyparuje również euroentuzjazm.

> Po dekadach motoryzacji, gdy wyznacznikiem postępu i dobrobytu było posiadanie własnego auta, czeka nas epoka demotoryzacji. Będzie to powszechnie odebrane jako regres cywilizacyjny

Najbardziej więc z obecnej polityki Unii powinni cieszyć się wszelkiej maści eurosceptycy. Bo Unia zachowuje się dziś tak, jakby wkrótce próbowała dokonać na naszych oczach spektakularnego samobójstwa.

Z DESZCZU POD RYNNĘ

Elektromobilność sama w sobie nie jest złą ideą. Wyobraźmy sobie, że dzięki niej uda się nam wreszcie uwolnić od posępnych dyktatorów szantażujących cywilizowany świat zamknięciem kurka z gazem czy ropą naftową. Że złoża paliw kopalnych przestaną przynosić im pieniądze i dawać siłę do wszczynania wojen.

Gdyby tak było, to na wszystkie niedogodności związane z przymusem elektromobilności można byłoby zapewne przymknąć oko. Niestety, tak nie jest. Bo technologia bezemisyjna nie wymaga wprawdzie ropy naftowej, węgla i gazu, ale wymaga litu, kobaltu, palladu i innych metali potrzebnych do budowy baterii. Możemy czerpać czystą energię z wiatru i słońca, ale trzeba ją gdzieś zmagazynować, bo wiatr nie wieje codziennie, a i słońca w naszym klimacie nie mamy zbyt wiele.

Bez szlachetnych lub rzadkich metali nie da się przeprowadzić obecnej rewolucji technologicznej. Są one niezbędne przy produkcji baterii, bez których nie ma w ogóle mowy o tzw. zielonej transformacji. Różne dziwne pierwiastki z tablicy Mendelejewa stały się w ostatnich latach najdroższym poszukiwanym towarem, a ten, kto przejmie kontrolę nad ich pozyskiwaniem i wydobyciem, zyska też ogromną władzę.

Bardzo szybko zrozumiały to Chiny, które zdaniem analityków z brytyjskiej firmy Roskill kontrolują już 55 proc. światowej produkcji i 85 proc. rafinacji metali rzadkich. Co więcej, bez skrupułów korzystają ze swojej dominacji, ograniczając – głównie na fali napięć politycznych ze Stanami Zjednoczonymi – eksport różnych strategicznych substancji i metali, wywołując ich deficyt oraz światowy wzrost cen. Dwa lata temu zapotrzebowanie na takie metale wynosiło ok. 8 gigaton rocznie, tymczasem za 40 lat ma wzrosnąć aż do 19 gigaton, przy czym w tych prognozach nie uwzględniono ostatnich planów transformacji ogłoszonych przez Unię. W tej chwili trudno więc sobie wyobrazić zaspokojenie tego popytu bez udziału Chin.

Być może tym właśnie należy tłumaczyć ostatnie zaloty kanclerza Niemiec Olafa Scholza do Chińczyków. Tyle że w ten sposób Unia Europejska, odcinając się od rosyjskich paliw i uzależniając w zamian od chińskich metali, wpada z deszczu pod rynnę. To kolejny dowód na to, że obecna transformacja energetyczna jest oparta na złych założeniach.

Zamiast klimatycznej histerii jest nam potrzebna odpowiedź na pytanie, jak osiągnąć niezależność energetyczną. I poszukiwać wydajnych technologii, które pozwolą osiągnąć lub przynajmniej przybliżyć ten cel. W przeciwnym razie wszystko, co dziś Unia robi wokół zielonej transformacji, może skończyć się spektakularną katastrofą. Ratowanie klimatu także.

eprasa.pl d585177f9f

Michał Karnowski rozmawia z dr. inż. Alvinen Gajadhurem, głównym inspektorem transportu drogowego

Kierowcy zwolnili

Dwie dekady temu mieliśmy 5–6 tys. ofiar śmiertelnych rocznie, w ub.r. 2245. Mniej, ale cel jest daleko bardziej ambitny

Jako niezawodowi kierowcy mijamy często mniejsze lub większe pojazdy Inspekcji Transportu Drogowego. To bardzo aktywna i widoczna służba. Co powinniśmy o niej wiedzieć?

Alvin Gajadhur: Specjalizujemy się w kontrolach transportu ciężkiego, ale oprócz ciężarówek i autokarów możemy też w określonych sytuacjach zatrzymywać do kontroli pojazdy osobowe. Nasze zielono-białe furgony kierowcy mogą spotkać na drogach w całym kraju. Dziś w ITD pracuje ok. 800 inspektorów w wojewódzkich inspektoratach oraz w głównym inspektoracie. Niemal 70 kolejnych właśnie się szkoli.

Co interesuje inspektorów? Co sprawdzają?

Kontrola jest bardzo szczegółowa i wieloaspektowa. Począwszy od stanu technicznego pojazdów po uprawnienia przewoźnika i kierowcy, stan psychofizyczny kierującego – trzeźwość, ewentualne używki, a także poziom zmęczenia, który jest często bagatelizowany, mimo że przemęczony kierowca jest na drodze równie niebezpieczny jak pijany.

Sprawdzacie też to, co dany pojazd przewozi?

Oczywiście. Towary niebezpieczne, artykuły spożywcze, zwierzęta, odpady – wszystkie przewozy muszą spełniać wymagania polskiego i europejskiego prawa. I tutaj nie ma znaczenia, czy jest to polski, czy zagraniczny przewoźnik. Kiedy w 2016 r. zacząłem kierować ITD, położyłem większy nacisk na kontrolę przewoźników zagranicznych. Wcześniej tacy przewoźnicy stanowili ok. 30 proc. wszystkich skontrolowanych, dziś to ok. 50 proc.

Dlaczego jest to tak ważne?

Wyniki wcześniejszych kontroli wskazywały, że zagraniczni przewoźnicy, głównie ze Wschodu oraz jadący tranzytem przez Polskę, muszą otrzymać mocny sygnał, że przepisy obowiązują wszystkich. Polscy przewoźnicy słusznie podnosili, że są mocno kontrolowani, a ich konkurenci mniej. I chodziło nie tylko o ważny aspekt bezpieczeństwa w ruchu drogowym, ale także o przestrzeganie zasad uczciwej konkurencji. Zdarzało się, że zezwolenia międzynarodowe, którymi państwa się wymieniają, były używane kilkukrotnie, co jest niezgodne z prawem. Część kierowców próbowało przejechać przez Polskę tranzytem jak najszybciej, będąc pod wpływem alkoholu czy będąc przemęczonymi. To stwarzało ogromne ryzyko dla innych użytkowników pol-

eprasa.pl d585177f9f

Fot. Andrzej Skwarczyński

skich dróg. Sprawdzamy też, czy przewoźnicy płacą za przejazd płatnymi odcinkami dróg, dziś to się odbywa za pomocą systemów elektronicznych.

Jak rozwiązana jest dzisiaj sprawa ściągalności mandatów czy kar nałożonych na zagranicznych kierowców i przewoźników w trakcie kontroli drogowych?

Mówiąc w skrócie, pojazd przewoźnika zagranicznego nie odjedzie z punktu kontrolnego do czasu opłacenia mandatu przez kierowcę i wniesienia kaucji przez przewoźnika na poczet przyszłej kary administracyjnej. Mamy w pojazdach terminale płatnicze, można też zapłacić przelewem. Jeżeli to nie następuje, pojazd kierujemy na parking strzeżony.

ITD nadzoruje też – potocznie mówiąc – system fotoradarowy. Jak on dziś wygląda, jak działa?

Oficjalna nazwa to Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym, tzw. CANARD. Od 2011 r. odpowiadamy za całą tę sieć, obecnie to 470 fotoradarów, 34 odcinkowe pomiary prędkości, 20 rejestratorów przejazdu na czerwonym świetle, 29 nieoznakowanych samochodów wyposażonych w rejestratory. System jest rozbudowywany, co miesiąc te liczby się zwiększają. Wkrótce będą też rejestratory na przejazdach kolejowo-drogowych.

> Jedna ze znanych firm świadczących usługi pośrednictwa w przewozie osób za pomocą aplikacji może stracić uprawnienia. Okazało się, że zlecała usługi przedsiębiorcom nieposiadającym odpowiedniej licencji na przewóz osób

Kto decyduje, gdzie takie urządzenia nadzoru automatycznego powinny stanąć?

Taką decyzję zawsze poprzedza precyzyjna analiza. Urządzenia stawiamy w miejscach, w których zdarzyły się wypadki śmiertelne i gdzie często lokalna społeczność odczuwa potrzebę zwiększenia bezpieczeństwa. Nie są to pułapki na kierowców, ale narzędzia ochrony uczestników ruchu drogowego. Dlatego nikt nie ukrywa, że w danym miejscu stoi fotoradar – przeciwnie, zawsze jest on wyraźnie oznaczony. Chodzi o to, by kierowca zwolnił i nie stwarzał zagrożenia.

Bywało jednak, że były to złośliwe pułapki.

Kiedyś faktycznie fotoradary kojarzyły się z pułapkami stawianymi w krzakach czy za śmietnikami. To jednak zbyt ogólna opinia, która brała się z postępowania niektórych samorządów, kiedy jeszcze mogły stawiać takie urządzenia. Odkąd tylko ITD zarządza systemem, takie praktyki się skończyły. W pełni współpracujemy z lokalnymi społecznościami. Wpłynęło do nas ponad 3 tys. wniosków o postawienie takich urządzeń – od szkół, gmin, stowarzyszeń, sołectw, zarządców dróg i policji. Ludzie wiedzą, że fotoradar jest ich sprzymierzeńcem, zwiększa bezpieczeństwo.

Na drodze nie spotkamy innego fotoradaru niż ITD?

Nie spotkamy. Mamy tu monopol, realizując to zadanie profesjonalnie. I będziemy to robić dalej, bo gdy porównamy nasycenie takimi urządzeniami z państwami zachodnimi, wciąż znacznie odstajemy: u nas są ich setki, tam tysiące. Np. we Włoszech – ok. 7 tys. Dla kierowców jadących setki kilometrów mijane miejscowości to punkciki na mapie, dla ludzi tam żyjących to ich świat, w którym martwią się o bliskich. Każdy ma prawo do bezpieczeństwa.

System drogowy w ostatnich kilku latach przeszedł niesamowitą przemianę. Autostrady, drogi szybkiego ruchu, obwodnice – jeździmy coraz bardziej europejsko. To wymusza zapewne zmiany w pracy ITD?

To prawda. Sam jeżdżę dużo po Polsce, nigdy nie korzystam z usług kierowcy

eprasa.pl d585177f9f

i widzę te zmiany na plus. Patrząc z perspektywy Warszawy, miasta takie jak Wrocław, Kraków, Gdańsk i wiele innych bardzo się przybliżyły. Ale nowe, dobre drogi niosą też oczywiście wyzwania. Kiedyś dróg ekspresowych i autostrad nie obejmowaliśmy np. systemami automatycznego nadzoru. Teraz dochodzimy do wniosku, że również tam powinny pracować urządzenia.

Po francuskiej autostradzie ludzie jeżdżą spokojnie. U nas bywa, że to Dziki Zachód. Brutalne spychanie, dojeżdżanie nagłe i miganie światłami, zupełny brak rozsądku i jazda po 200 km na godzinę.

Mamy przepisy pozwalające jeździć po autostradach szybko, do 140 km na godzinę, a po drogach ekspresowych do 120 km. Kierowcy powinni pamiętać, że policja coraz dynamiczniej kontroluje te trasy, my też dołożymy nasze urządzenia. Systemem automatycznego nadzoru jest objęty np. tunel pod Ursynowem w Warszawie, trasa S8 w okolicy Warszawy, a będzie też kontrolowany tunel na zakopiance. Mówimy tu o tzw. odcinkowych pomiarach prędkości. Premier Mateusz Morawiecki zapowiedział w exposé, że nie będzie przyzwolenia dla piratów drogowych, i to jest konsekwentnie wdrażane. Zmieniły się przepisy dotyczące pieszych, w razie wypadku kierowcy mają obowiązek utworzyć korytarz życia dla pojazdów ratowniczych. Łatwiej stracić prawo jazdy za drastyczne naruszenie przepisów, w życie wszedł nowy taryfikator mandatów.

Drakoński.

Warto pamiętać, że wysokość mandatów nie zmieniała się od ponad 20 lat. Te kary przestały być dolegliwe, nie spełniały swojej funkcji odstraszającej i prewencyjnej. I nie dziwi mnie, że te zmiany poparły niemal wszystkie siły polityczne w parlamencie. Już przynoszą one dobre skutki, o blisko 35 proc. spadła liczba przekroczeń prędkości rejestrowanych przez nasze urządzenia, a o ponad 60 proc. – przekroczeń powyżej 30 km na godzinę. Kierowcy zwolnili. I o to chodzi. Co cieszy najbardziej, jest mniej wypadków, zmniejsza się liczba ofiar śmiertelnych. Choć porównanie z innymi krajami UE wskazuje, że wciąż jest jeszcze dużo do zrobienia. Dwie dekady temu mieliśmy 5–6 tys. ofiar śmiertelnych rocznie, w ub.r. 2245. Mniej, ale cel jest daleko bardziej ambitny.

Kiedy w 2016 r. zacząłem kierować ITD, położyłem większy nacisk na kontrolę przewoźników zagranicznych. Wcześniej tacy przewoźnicy stanowili ok. 30 proc. wszystkich skontrolowanych, dziś to ok. 50 proc.

Statystyka nie oddaje cierpień i kosztów rehabilitacji, konsekwencji rodzinnych ponoszonych przez rannych. A to bywają całe lata wyjęte z życia.

Pełna zgoda. Eksperci wyliczają społeczne koszty wszystkich zdarzeń drogowych w Polsce na niemal 40 mld zł rocznie. To pokazuje, jak ogromne, wielowymiarowe są skutki głupoty, brawury, pośpiechu, złego stanu pojazdów czy ludzkich błędów.

Niektórzy celebryci nadal dają koszmarny przykład, a niektóre media ich bronią. Jak pan to ocenia?

Mogę tylko apelować o opamiętanie. Za pozycją publiczną powinna iść szczególna odpowiedzialność za to, co czyni się także na drodze. Na szczęście w społeczeństwie przyzwolenie dla piratów drogowych zdecydowanie maleje, ocena brawury jest coraz ostrzejsza. Świadczy o tym m.in. duża liczba filmów z kamer zamontowanych w samochodach, które otrzymuje policja. Ludzie wiedzą, że piraci drogowi to potencjalni sprawcy tragedii.

Z policją współpracujecie?

Oczywiście. Podobnie jak z Krajową Administracją Skarbową, Strażą Graniczną, nawet Żandarmerią Wojskową. To, co dzieje się na drogach, jest ściśle związane z innymi wymiarami bezpieczeństwa, ochrony obywateli i państwa. Liczba przepisów, które musi znać inspektor ITD, jest ogromna – to setki, jeśli nie tysiące stron. Jest oczywiste, że kontrolując pojazdy, zwracamy uwagę także na ewentualnych nielegalnych migrantów, przemyt substancji niedozwolonych, zasady sanitarne, kwestie podatkowe, nie mówiąc o legalności pojazdu. Ostatnio trafiliśmy na kilka kradzionych, były przewożone wewnątrz dużej ciężarówki. Niektórzy kierowcy jeżdżący w ramach zarządzanych przez aplikacje przewozów osobowych też przebywali w Polsce nielegalnie.

To także temat rzeka. Narasta społeczna świadomość, że na tym rynku też musi obowiązywać prawo, musi być zapewnione bezpieczeństwo pasażera, uczciwa konkurencja. Coś robicie w tym obszarze?

Wdrożone ostatnio zmiany już przyniosły pewne efekty. Ale nie jest tak, że wcześniej nie reagowaliśmy. Jeżeli był prowadzony przewóz osób bez odpowiedniej licencji, była pobierana opłata, gdy pasażer z nami współpracował, to nakładano wysokie kary. Kierowca musi mieć odpowiednie uprawnienia, badania, a jego pojazd musi spełniać wymogi związane z przewozem osób. Te zasady obowiązują wszystkich. A jeśli są nieprawidłowości, to są konsekwencje, i to bardzo poważne. Jedna ze znanych firm świadczących usługi pośrednictwa w przewozie osób za pomocą aplikacji może stracić uprawnienia. Okazało się, że zlecała usługi przedsiębiorcom nieposiadającym odpowiedniej licencji na przewóz osób.

Macie odpowiedni sprzęt?

20 lat temu, kiedy powstała Inspekcja Transportu Drogowego, zaczynaliśmy od 16 używanych busów otrzymanych od niemieckiej inspekcji. Miałem zaszczyt brać udział w pierwszej edycji kursu dla kandydatów na inspektorów

eprasa.pl d585177f9f

i widziałem z bliska, jak nasza służba rozwijała się, budowała zdolność wypełniania zadań nałożonych na nią przez państwo polskie. Dziś dysponujemy najnowocześniejszym sprzętem kontrolnym. Każdy nasz furgon to przenośne, skomputeryzowane biuro. Wzmacniamy flotę o 16 mobilnych stacji diagnostycznych. Wystarczy ok. 10 minut na jej rozłożenie na parkingu i możemy szczegółowo sprawdzić stan techniczny pojazdu. Mamy też przenośne wagi i dziesiątki wyznaczonych punktów, w których ważymy pojazdy. Pamiętajmy, że przeładowane ciężarówki to nie tylko zagrożenie w ruchu drogowym, ale też dewastacja dróg, które takim wysiłkiem zbudowaliśmy.

Jak z pana perspektywy zmienił się przez te 20 lat polski sektor transportowy?

Odniósł ogromny sukces w Europie, stale podnosi jakość sprzętu, obserwujemy dużą dynamikę rozwoju. Problemem jest brak zawodowych kierowców. W obrocie prawnym ważnych jest ok. 167 tys. świadectw kierowcy, stąd rosnąca liczba zatrudnianych osób z krajów trzecich, głównie ze Wschodu. Wojna na Ukrainie pogłębiła ten proces, część pracowników wróciła bronić swojej ojczyzny. Trzeba uczciwie powiedzieć, że niektóre państwa zachodnie robiły wszystko, by osłabić polskich przewoźników. Zdarzały się uporczywe, złośliwe kontrole, przeforsowano wprowadzenie niekorzystnych przepisów tzw. pakietu mobilności. Wierzę jednak, że polscy przewoźnicy wygrają z zachodnią konkurencją wysoką jakością świadczonych usług.

Wiem, że w rządzie trwają prace nad pewną zmianą konstrukcji organizacyjnej, w ramach której działa ITD. Chodzi o pełne podporządkowanie nie tylko merytoryczne, ale i organizacyjne Wojewódzkich Inspektoratów Transportu Drogowego, centrali w Warszawie. Jak pan do tego podchodzi?

Na taką konieczność wskazują doświadczenia ostatnich lat. Dziś to wojewoda finansuje wojewódzkie inspektoraty i to on sprawuje nad nimi bieżący nadzór. Różnie to wygląda w poszczególnych województwach, a nam zależy na ujednoliceniu i podwyższeniu standardów. Najważniejszym problemem jest dziś ograniczenie możliwości pracy inspektora wyłącznie do terenu województwa, w którym jest zatrudniony. Tylko tam może on prowadzić kontrole, wystawić mandat. Nie możemy więc przenosić inspektorów, gdy pojawia się jakiś kryzys.

Jak choćby atak na granicę polską ze strony białoruskiej i konieczność wzmożonych kontroli na tym obszarze?

To dobry przykład. Ale takich nagłych potrzeb jest więcej. Swego czasu okazało się, że przewoźnicy białoruscy i rosyjscy masowo przejeżdżali przez Litwę i dalej przez dawne przejście graniczne w Budzisku na granicy polsko-litewskiej. Chcieli w ten sposób uniknąć kontroli zezwoleń międzynarodowych. Musieliśmy zareagować wzmożonymi działaniami na tamtym obszarze, a mogliśmy to zrobić tylko siłami inspekcji podlaskiej. Po ewentualnej zmianie organizacyjnej zyskamy możliwość większej elastyczności, skupienia się na pilnym zadaniu z pomocą inspektorów i sprzętu z całej Polski.

> Za pozycją publiczną powinna iść szczególna odpowiedzialność za to, co czyni się także na drodze. Na szczęście w społeczeństwie przyzwolenie dla piratów drogowych zdecydowanie maleje, ocena brawury jest coraz ostrzejsza

Obecnie także kontrole w przedsiębiorstwach mogą przeprowadzać inspektorzy z danego województwa?

Tak i to też nie zawsze jest dobre. Wiadomo, ludzie się znają, żyją w tamtych środowiskach. Przy najlepszych chęciach i zachowaniu profesjonalizmu przez inspektorów czasami rodzą się konflikty. W wyjątkowych sytuacjach czasem byłoby lepiej, gdyby kontrolę w firmie na Podlasiu prowadził np. inspektor z Olsztyna, a w firmie wielkopolskiej inspektor z Bydgoszczy.

Czy praca w ITD wciąż jest atrakcyjna? Nie ma problemu z naborem?

Rośnie liczba nakładanych na nas obowiązków, jest naturalna rotacja wśród inspektorów. Dwie dekady temu na jedno miejsce było kilkudziesięciu chętnych. Dziś oczywiście mamy inny rynek pracy, stąd cieszę się, że dzięki staraniom Ministerstwa Infrastruktury udało się wygospodarować środki na konieczne podwyżki. Jesteśmy też pionierami w wychodzeniu poza Warszawę, głównie w kierunku tzw. ściany wschodniej. Ostatnio otworzyliśmy oddział w Nisku, a wcześniej, już w 2017 r., w Białej Podlaskiej, co udało się z dużym wsparciem ówczesnego prezydenta miasta, a obecnego posła Dariusza Stefaniuka, i senatora Grzegorza Biereckiego. Przenosimy tam część administracji i to świetnie działa. Będziemy ten kierunek kontynuować.

Prowadzicie działania edukacyjne?

Tak i sądzę, że z ogromnym sukcesem. Przed pandemią były to wizyty bezpośrednie w przedszkolach i szkołach, obecnie stawiamy głównie na wirtualne lekcje. Każda placówka edukacyjna może nas zaprosić – łączymy się z naszej specjalnej sali edukacyjnej w siedzibie GITD, przeprowadzamy zdalnie lekcję, to naprawdę świetnie działa. Ale nadal jesteśmy też obecni fizycznie w szkołach. Wspierali nas w tej kwestii m.in.: pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda, marszałek Senatu poprzedniej kadencji Stanisław Karczewski, premier Mateusz Morawiecki, minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, a także gwiazdy sportu, jak Adam Małysz czy Urszula Radwańska. Mamy wiele projektów, które kierujemy do różnych grup użytkowników dróg.

eprasa.pl d585177f9f

Strach, gaz i egoizm

Niemcy trudno zaliczyć do liderów zdecydowanej reakcji na rosyjską agresję. Wynika to nie tyle z pacyfizmu, ile z obaw o kondycję gospodarki

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Tego lata, gdy bomby niczym deszcz spadały na ukraińskie miasta, wielu lokalnych niemieckich polityków z zapałem pisało listy. Do kanclerza Olafa Scholza i ministra gospodarki Roberta Habecka. Jedni żądali powołania sztabu kryzysowego w sprawie cen energii, jak burmistrz strukturalnie słabego Saarbrücken w kraju Saary Uwe Conradt, inni apelowali o zawieszenie transformacji energetycznej i powrót do atomu, znów inni domagali się podjęcia gospodarczych negocjacji z Rosją oraz natychmiastowego uruchomienia (zawieszonego) gazociągu Nord Stream 2. „Grozi nam recesja, bankructwa firm. Sankcje szkodzą nam, Niemcom, i chcemy, by rząd o tym wiedział" – głosił list wysłany przez burmistrza miasta Reichenbach w Saksonii, Raphaela Kürzingera, do ministra gospodarki. Niemiecki model oparty na imporcie tanich surowców energetycznych z Rosji, gospodarczej zależności od Chin i bezpieczeństwie w ramach NATO (bez znaczącego własnego wkładu) runął w obliczu wojny na Ukrainie niczym domek z kart. Niemcy zareagowali na ten fakt przerażeniem.

Niemiecki dobrobyt ma być zagrożony. Ten dobrobyt, który Niemcom w latach 50. XX w., w toku powojennej odbudowy, obiecał późniejszy kanclerz Ludwig Erhard. „Dobrobyt dla wszystkich" (Wohlstand für Alle) – brzmiał tytuł książki, którą Erhard napisał w 1957 r. na temat nowej, bogacącej się Bundesrepubliki. „Teraz inflacja i wysokie ceny energii – jak czytamy na łamach magazynu »Der Spiegel« – mogą to wszystko zniweczyć". Zagrożona ma być nie tylko klasa średnia, ale też państwo jako takie. „Grozi nam upadek" – grzmi dziennik „Die Welt". Według gazety nie da się zachować pokoju społecznego przy tak drastycznym pogorszeniu się poziomu życia. „Ciężko na ten dobrobyt pracowaliśmy. A teraz możemy go stracić"

eprasa.pl d585177f9f

– ostrzegali także rzemieślnicy z Saksonii w liście do kanclerza.

Ten na żaden z listów nie odpowiedział. To se ne vrátí – jak mawiają Czesi – do tego, co było, nie ma już powrotu, choć są w Niemczech środowiska, z częścią partii Scholza – SPD – włącznie, które nie straciły nadziei na odbudowę relacji z Rosją po wojnie. Nie jest to obecnie jednak opcją realną.

JAK NIE MARZNĄĆ NA ZIMĘ

Całkiem realne są za to lęki obywateli. Jeśli wierzyć mediom za Odrą. Pod koniec sierpnia cena energii elektrycznej po raz pierwszy w historii przekroczyła 1 tys. euro za 1 MWh. Niemcy gromadzą drewno opałowe, chrust i węgiel na zimę. „Czy ogrzewanie u was już działa?" – w Niemczech to teraz jedno z najczęstszych pytań wśród przyjaciół i kolegów z pracy, jak donosi portal Deutsche Welle. Rząd tymczasem udziela obywatelom dobrych rad, m.in. by nie ogrzewać pomieszczeń mieszkalnych do temperatury wyższej niż 19 st. C. Sprzedaż bielizny termicznej wzrosła o 558 proc. w porównaniu do tego samego okresu w ub.r. Stare, dobre termofory z gorącą wodą sprzedają się o 165 proc. lepiej, a koce elektryczne o 220 proc. Duży popyt jest również na urządzenia do wytwarzania energii elektrycznej i cieplnej, takie jak generatory, kolektory słoneczne, fotowoltaika, a nawet miniturbiny wiatrowe do ogrodu lub na dach domu. Hashtag #zachowajciepło należy do jednego z najpopularniejszych na Twitterze i Instagramie.

Zaniepokojone są także firmy i samozatrudnieni. Według Instytutu Badań nad Gospodarką (IFO) jedna czwarta średnich i małych firm planuje zmniejszenie zatrudnienia, a 57 proc. chce przesunąć planowane inwestycje. Część przenosi produkcję tam, gdzie koszty energii są niższe. W badaniu branżowym 90 proc. firm stwierdziło, że wzrost cen energii i surowców stanowi dla nich egzystencjalne lub co najmniej poważne zagrożenie. Ekonomiści, jak Stefan Kooths z Institute for the World Economy w Kilonii, prognozują spowolnienie gospodarcze. „Gaz popłynie do tego, kto najwięcej za niego zapłaci" – przekonywał ekonomista w rozmowie z Deutschlandfunk Kultur. „Taka jest prawda i nie ma tu miejsca na europejską solidarność" – dodał. Niemcy już wypełniły zbiorniki na gaz (w 90 proc.) oraz zaczęły szukać innych źródeł dostaw, kupują m.in. gaz skroplony w Katarze, a u niemieckiego wybrzeża, m.in. w Brunsbüttel i Wilhelmshaven, ruszyła budowa prowizorycznych terminali LNG. Dwie ostatnie elektrownie atomowe mają pozostać w sieci do wiosny 2023 r., zwiększono też produkcję energii w elektrowniach węglowych. Jeszcze w ub.r. 55 proc. gazu u naszych sąsiadów pochodziło z Rosji. Ten gaz trzeba teraz czymś zastąpić. Hasło przewodnie brzmi więc: kupować, gdzie się tylko da, bez względu na cenę. 37 proc. gazu w Niemczech zużywa w końcu przemysł. Najwięcej branże chemiczna i żywnościowa. Brak surowców w połączeniu z brakiem rąk do pracy oraz kryzysem energetycznym może zagrozić – jak twierdzi Kooths – potędze przemysłowej Niemiec i społecznemu pokojowi.

NIESOLIDARNI

Skrajna lewica i prawica od tygodni protestuje przeciwko rosnącym cenom gazu, prądu i żywności. Alternatywa dla Niemiec (AfD) i Die Linke otwarcie grożą rządzącym „gorącą jesienią". Notowania AfD w sondażach wyraźnie wzrosły – z 11 do 15 proc., podczas gdy poparcie dla rządzących, SPD wraz z FDP i Zielonymi, spada – obecnie chadecja wyprzedza ich o 8 pp. (28 do 20 proc.). W niektórych wschodnich landach, jak Brandenburgia, AfD wyprzedziła SPD i jest główną siłą polityczną (25 proc. poparcia). W Meklemburgii-Pomorzu Przednim uplasowała się na drugim miejscu (24 proc.). Poniedziałkowe demonstracje odbywają się głównie we wschodnich landach, tradycyjnie bardziej prorosyjskich i strukturalnie słabszych. Tysiące osób wychodzi co tydzień na ulice domagać się „pokoju, wolności i dobrobytu" oraz zniesienia sankcji na Rosję. „Uruchomcie natychmiast Nord Stream 2!" i „Nie będziemy marznąć dla waszej wojny!" – głosiły hasła na transparentach podczas ostatnich marszów. W Dzień Jedności Niemiec – niemieckiego święta państwowego obchodzonego 3 października – udało się zgromadzić nawet 100 tys. demonstrantów.

Histeria nakręca się coraz bardziej, im bliżej jest zimy. Katastrofa gospodarcza, masowa emigracja, dezindustrializacja – oto pojęcia, którymi media straszą obywateli. Yasmin Fahimi, szefowa niemieckiej federacji związków zawodowych, przekonywała, że jeśli rząd nie podejmie szybko środków zaradczych, Niemcom grozi prawdziwa katastrofa. Fakt, że gigant na rynku papieru toaletowego Hakle zaprzestał produkcji, zostało odebrane jako dowód na słuszność tej tezy. Nie da się ukryć, że Niemcom – według ekspertów – grozi recesja i rekordowa inflacja (ponad 10 proc.). Nie oznacza to jednak, że dojdzie do katastrofy zapowiedzianej przez Fahimi. Niemiecki rząd do września wprowadził trzy pakiety ulg dla obywateli o łącznej wartości 95 mld euro,

Fot. EPA/Hannibal Hanschke/PAP, Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

w tym ostatni, największy – o wartości ok. 65 mld – we wrześniu. Obejmują one m.in. dopłaty bezpośrednie dla gorzej sytuowanych, obniżenie części podatków i cen paliw. Rząd w Berlinie chce przeznaczyć także 200 mld euro na walkę z cenami energii, co ma uchronić przedsiębiorstwa przed skutkami kryzysu. Na takie wsparcie rodzimej gospodarki nie stać żadne z pozostałych państw UE. Berlin najwyraźniej wziął sobie do serca rady ekonomisty Koothsa i dał sobie spokój z europejską solidarnością.

DYLEMAT SCHOLZA

Jeśli pakiet zostanie zaaprobowany przez Komisję Europejską, niemieckie firmy zdobędą opłacaną przez państwo przewagę nad rywalami z innych krajów. Niesprawiedliwe? Zapewne, ale w dobie kryzysu Berlin przestał już nawet udawać, że to, co jest dobre dla Europy, jest dobre dla Niemiec. Teraz jest wprost odwrotnie, króluje polityka „Germany first", jak pisał niedawno portal Politico. Przypomnijmy: 27 lutego kanclerz Olaf Scholz określił inwazję Rosji na Ukrainę mianem „Zeitenwende" – zwrotnego momentu dla Europy, a przede wszystkim dla Niemiec. Miała nastąpić epokowa zmiana w niemieckiej polityce zagranicznej, ale ta zmiana do dziś się nie zmaterializowała. Jej najbardziej namacalnym elementem jest pozabudżetowy fundusz wzmocniający zdolności obronne i sojusznicze Bundeswehry w wysokości 100 mld euro. Wciąż jednak nie wiadomo, na co pieniądze zostaną wydane ani czy pozwoli to spełnić kryteria NATO dotyczące przeznaczania 2 proc. PKB na wojsko. Jest to mało, za mało jak na kraj z takim potencjałem. Tym bardziej że gdy tylko skończy się wojna na Ukrainie, zapewne pojawią się za Odrą związane z tym kontrowersje: czy naprawdę trzeba tyle wydać? Czy nie ma ważniejszych spraw niż wojsko?

Kolejną słabością rzekomego punktu zwrotnego w niemieckiej polityce zagranicznej jest to, że dotychczas opierała się ona przede wszystkim na wystąpieniach w Bundestagu i apelach w wieczornych talk-show, ale jeszcze nie na kompleksowej strategii. Taka strategia ma powstać na początku 2023 r. Nie rozwiąże to jednak podstawowego dylematu niemieckiej polityki: merkantylizmu, czyli opierania polityki zagranicznej na interesie wąskiej grupy koncernów. Przed wojną na Ukrainie Niemcy nie zaprzątały sobie głowy kwestiami bezpieczeństwa: kupowały tanie surowce w Rosji, a następnie przerabiały je na produkty sprzedawane w Chinach. W końcu zabezpieczał ich parasol NATO. Siła polityczna Niemiec, piątej co do wielkości gospodarki świata, wynikała z eksportu. Dlatego kondycja niemieckiego przemysłu była sprawą nadrzędną. W przypadku Rosji Niemcy były zmuszone porzucić dotychczasową politykę i powrotu do niej (a tym samym tanich surowców) długo nie będzie. Nie są jednak najwyraźniej w stanie pożegnać się z całym modelem, o czym świadczy sprzedaż udziałów w terminale kontenerowym w Hamburgu chińskiej spółce COSCO, forsowanej osobiście przez Olafa Scholza, oraz starania o pogłębienie relacji z Pekinem. W 2021 r. wymiana handlowa z tym państwem osiągnęła wartość 245,4 mld euro – największą spośród wszystkich partnerów gospodarczych Berlina – a inwestycje bezpośrednie opiewały na kwotę 90 mld euro. W przypadku niektórych niemieckich koncernów, zwłaszcza z branży samochodowej, udział chińskiego rynku w całkowitych obrotach przekroczył jedną trzecią. Berlin zdaje się nie rozumieć, że współpraca z Pekinem nie dlatego jest problematyczna, bo Chiny są autokracją, czyli z powodów moralnych, tylko dlatego, że stanowią one zagrożenia dla porządku światowego, a zależność Niemiec od Chin jest o wiele większa, niż była ich zależność od Rosji.

> Tysiące Niemców wychodzi co tydzień na ulice domagać się „pokoju, wolności i dobrobytu" oraz zniesienia sankcji na Rosję. „Uruchomcie natychmiast Nord Stream 2!" i „Nie będziemy marznąć dla waszej wojny!" – głosiły hasła na transparentach podczas ostatnich marszów

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Smuci, że Niemcy nie wyciągnęły wniosków z błędnej polityki wobec Kremla – skoro tam zasada „zmiana przez handel" nie dała rezultatów, to tym bardziej ich nie da w przypadku Chin, tylko otworzy Niemcy na groźne wpływy, tym razem chińskie. Utrudni im to także powrót do „przywództwa w partnerstwie" (partnership in leadership) z USA, do bycia depozytariuszem Zachodu w Europie, do czego najwyraźniej dążą, sądząc po propozycjach Scholza europejskiej tarczy antyrakietowej wyposażonej w amerykańską i izraelską technologię oraz stałego miejsca dla Niemiec w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Niemcy mocno ucierpiały wizerunkowo, ich zaangażowanie w odbudowę Ukrainy ma zatrzeć złe wrażenie państwa zblatowanego z Putinem i ociągającego się z dostawami broni. Nie oznacza to jednak, że wyleczyły się z marzeń o europejskiej autonomii i roli „uczciwego maklera", pośredniczącego między mocarstwami. Kurczowo trzymają się czegoś, co nazywają naturalnym przywództwem, nie bacząc na to, czy partnerzy chcą ich w tej roli widzieć. Doprowadziło to już do poważnych napięć z Francją, sojusznikiem, wraz z którym miały realizować dalszą federalizację Unii Europejskiej.

Tak więc Niemcy znalazły się między młotem a kowadłem: czy powinny dalej stawiać na interes przemysłu, co może okazać się kosztowne politycznie, czy zmienić podejście, ryzykując utratę części swojej gospodarczej siły? Koniec końców, towarzyszom z SPD jest zwyczajnie trudno pożegnać się ze światopoglądem, który pozwalał im zarazem „czynić dobro" (przekształcać życie obywateli za kurtyną autorytaryzmu na lepsze, co najmniej w teorii), jak i „dobrze zarabiać" (Niemcy stały się największym eksporterem na świecie).

eprasa.pl d585177f9f

Budowa tymczasowej zapory na granicy polsko-rosyjskiej

Co szykuje gubernator Alichanow?

Wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia ze szczegółowym rosyjskim planem, którego istotą jest wywołanie nowej fali migracyjnej z Ukrainy z jednoczesną presją nowych fal migrantów z innych kierunków, w tym białoruskiego i z obwodu kaliningradzkiego

MAREK BUDZISZ

Mer Odessy Giennadij Truchanow powiedział mediom, że władze miasta przygotowują specjalne punkty, gdzie każdy z mieszkańców będzie miał szansę się ogrzać, ale niestety będzie musiał gotować na ogniu. W tym celu miasto gromadzi zapasy drewna i wzywa wszystkich, by postępowali w ten sam sposób. W ostatnich dniach, po zmasowanych atakach Rosjan na ukraiński system energetyczny i zaopatrzenia w wodę, o podobnych przygotowaniach poinformowały również władze Charkowa, Kijowa i obwodu kijowskiego.

BEZ PRĄDU I OGRZEWANIA

Premier Denys Szmyhal zaapelował do obywateli Ukrainy, by ci w ramach przygotowań do zimy zaczęli gromadzić ciepłą odzież i paliwo. Z tego powodu, że przerw w dostawach prądu będzie coraz więcej. Jest to związane z rosyjską strategią uderzania w obiekty infrastruktury krytycznej na Ukrainie. Przede wszystkim celem ataków są energetyczne systemy przesyłowe i stacje transformatorowe, bo one są słabiej chronione niż elektrownie, zbudowane jeszcze za czasów komunizmu. Liczy się też skala uderzeń. Ukraińska Prokuratura Generalna policzyła, że tylko w ciągu pierwszych dwóch tygodni rosyjskich ataków przy użyciu irańskich dronów kamikadze zniszczono

Fot. Tomasz Waszczuk / PAP

eprasa.pl d585177f9f

85 obiektów energetycznych, które coraz trudniej naprawiać, bo zaczyna brakować części i podzespołów. Władze Ukrainy przygotowują się na trudną zimę, o czym świadczy też niedawny apel Iryny Wereszczuk, odpowiadającej w rządzie za reintegrację terenów okupowanych. Powiedziała ona, że ukraińscy uchodźcy nie powinni wracać na zimę do kraju, bo sytuacja jest trudna, prawdopodobieństwo jej pogorszenia duże, zwłaszcza w sytuacji kiedy Rosjanie atakują system energetyczny, który może nie wytrzymać.

Wiele wskazuje na to, że Rosjanie celowo dążą do utrudnienia dostaw pomocy wojskowej dla Ukrainy, której rytmiczność zależy od tego, jak sprawnie funkcjonuje system kolejowy, a to z kolei zależy od dostaw prądu, a także do zmiany nastawienia ludności cywilnej wobec perspektywy kontynuowania wojny. O takim scenariuszu mówią też ukraińscy eksperci poproszeni przez portal NV o prognozę, w którym kierunku może rozwijać się sytuacja. Najbardziej pesymistyczny scenariusz, który na razie nie jest uznawany przez nich za bardzo prawdopodobny, przewiduje, iż atakowany ukraiński system energetyczny nie wytrzyma. W efekcie – jak dowodzą – jednolity system energetyczny stanie się systemem wyspowym – ulegną zniszczeniu węzły transportu energii z elektrowni do odbiorców. Kraj zostanie podzielony na 3–4 dość duże regiony, które nie będą połączone z sobą jedną siecią. Będą one do siebie podobne pod tym względem, że w każdym z nich wystąpią kroczące przerwy w dostawach prądu trwające 6–8 godzin dziennie. W efekcie rosyjskich ataków rakietowych zostaną też sparaliżowane systemy grzewcze w wielu dużych miastach, co może spowodować brak ogrzewania. Rury zamarzną, a to dodatkowo zwiększy jeszcze liczbę awarii. Bezpośrednim rezultatem będzie wzrost fali uchodźców z Ukrainy, która może być większa od pierwszej i liczyć, jak argumentują eksperci, nawet kilka milionów ludzi.

Taki rozwój wydarzeń z pewnością nie wzmocni woli oporu ukraińskiego społeczeństwa, co w konsekwencji może prowadzić do powstania presji, której będzie podlegać ekipa Zełenskiego, by rozpocząć negocjacje z Rosją i zakończyć wojnę.

KOLEJNA FALA UCHODŹCÓW

Nawet jeśli skala zniszczeń będzie mniejsza, a liczba uchodźców z Ukrainy wyniesie nie kilka milionów, a kilkaset tysięcy, to nowa fala uchodźców jest bardzo prawdopodobna. Tyle że tym razem przybędą oni do Polski i innych ościennych krajów w zupełnie odmiennych niż w pierwszej fazie wojny warunkach. Wszyscy boją się drożyzny, wysokich rachunków za prąd i gaz, a na dodatek prorosyjska propaganda w rodzaju „stop ukrainizacji Polski" i brak jakiejkolwiek pomocy ze strony Unii Europejskiej zrobiły swoje. I na to zdają się liczyć rosyjscy eksperci od wojny asymetrycznej i totalnej presji wywieranej na Kijów. Wiele bowiem wskazuje, że mamy do czynienia ze szczegółowym planem, którego istotą jest wywołanie nowej fali migracyjnej z Ukrainy z jednoczesną i synchroniczną presją nowych fal migrantów z innych kierunków, w tym białoruskiego i z obwodu kaliningradzkiego.

> Ukraińska Prokuratura Generalna policzyła, że tylko w ciągu pierwszych dwóch tygodni rosyjskich ataków przy użyciu irańskich dronów kamikadze zniszczono 85 obiektów energetycznych, które coraz trudniej naprawiać

Zbierzmy rozproszone informacje na ten temat. Otóż na początku września Władimir Putin spotkał się na Kremlu z przedstawicielami rządu i służb specjalnych, w tym FSB. Formalnie przedmiotem narady były plany rozwoju rosyjskiej turystyki, ale uważniejsza lektura „poleceń", które wydał wówczas rosyjski prezydent, może skłaniać do podejrzeń i innych wniosków. Nie tylko dlatego, że rosyjski prezydent już po rozpoczęciu wojny wielokrotnie mówił o tym, iż Europę zaleje nowa, wielokrotnie większa niż w przeszłości fala migrantów. Do stawiania pytań skłania i to, że na stronie internetowej Kremla opis podjętych decyzji ukazał się dopiero 30 października, mimo że spotkanie miało miejsce osiem tygodni wcześniej.

Putin zalecił wówczas premierowi Miszustinowi, rosyjskiemu MSZ-owi i FSB, które w Rosji odpowiada za ochronę granic, by bez zasady wzajemności wprowadzić bezwizowe regulacje dotyczące wjazdu na teren Federacji Rosyjskiej, którymi mają zostać objęci obywatele państw niewpisanych na oficjalną listę wrogów Moskwy. Oznacza to, że za wyjątkiem mieszkańców Unii Europejskiej i szeroko rozumianego bloku Zachodu po wdrożeniu tych regulacji ci, którzy mieszkają w Afryce, Azji czy na Bliskim Wschodzie, będą mogli swobodnie i bez potrzeby opłacenia wizy wjechać do Rosji.

OTWARTE NIEBO NAD KALININGRADEM

Po tej naradzie Anton Alichanow, gubernator obwodu kaliningradzkiego, wystąpił z oficjalnym wnioskiem skierowanym do Rosawiacji, organu nadzorującego lotnictwo cywilne, o wydanie zgody dla portu lotniczego Kaliningrad Chrabrowo, by ten wdrożył u siebie reżim otwartego nieba. Stosowna decyzja została wydana szybko, bo już 1 października poinformowano, że port lotniczy przez dwa lata ma funkcjonować według nowych reguł. Przewidują one, zgodnie z art. 7 międzynarodowej konwencji o cywilnym ruchu lotniczym, że w Kaliningradzie będą mogły lądować samoloty zagranicznych linii, dla których port ten nie jest macierzystym, nie będą one również zmuszone do międzylądowania w swoich bazach. Innymi słowy,

eprasa.pl d585177f9f

Anton Alichanow, gubernator obwodu kaliningradzkiego

np. przewoźnik ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich w świetle tych zasad będzie mógł legalnie latać np. z Bejrutu bezpośrednio do Kaliningradu. Nie będą go dotyczyły blokady wprowadzone przez Unię Europejską dla przewoźników z Rosji i Białorusi, dlatego ceny biletów, które zaproponuje, będą niższe od obecnych.

Rosyjscy analitycy branżowi są zdania, że z biznesowego punktu widzenia plany lotniska Chrabrowo nie dadzą efektów, jest bowiem wątpliwe, by zagraniczne linie lotnicze zainteresowały się tym kierunkiem. Artur Muradian, dyrektor touroperatora Sky Travel, powiedział dziennikarzom „Moskiewskiego Komsomolca", że jest to decyzja bezużyteczna, bo ekonomiczny efekt będzie najprawdopodobniej niewielki lub zgoła żaden. W jego opinii posunięcie tego rodzaju byłoby dobrym ruchem, ale przed wojną, kiedy nie funkcjonowały sankcje i wówczas niektórzy przewoźnicy ze względu na to, że lotnisko mogłoby zaproponować niższe koszty obsługi, mogliby zdecydować się uczynić je swoim hubem, ale teraz jest to wątpliwe, bo cała branża przeżywa w Rosji dramatyczny kryzys.

Decyzję o uruchomieniu w Kaliningradzie reżimu otwartego nieba trzeba wpisać też w szerszy, biznesowy obraz branży w Rosji. Przez ten port lotniczy w ciągu dziewięciu miesięcy tego roku przewinęło się 2,9 mln pasażerów, a eksperci szacują, że w skali roku będzie ich ok. 3,5 mln. Przy czym intensywność ruchu maleje, bo w analogicznym okresie ub.r. było to o 3,3 proc. więcej. Mamy jednak do czynienia niemal wyłącznie z ruchem do i z Rosji. Jeśli chodzi o loty zagraniczne, to do Mińska udało się w tym roku 15,9 tys. osób, a z czarterowych połączeń do Antalyi skorzystało 31,6 tys. osób. Trudno zatem się spodziewać, że z dnia na dzień Kaliningrad stanie się ulubionym kierunkiem zagranicznych turystów, skoro wszystkie porty lotnicze znacznie atrakcyjniejszej turystycznie Moskwy w br. notują czterokrotny spadek liczby zagranicznych lotów.

Ale gubernator Alichanow nie ustaje w swoich wysiłkach, bo jak powiedział w wywiadzie dla dziennika „Izwiestia", obecnie trwają rozmowy z tureckimi liniami lotniczymi, choć oczywiście trudno jeszcze przesądzać, że jakiekolwiek umowy zostaną zawarte. Pojawiły się też doniesienia o tym, że w grę wchodzą również firmy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Aleksandr Korytnyj, dyrektor generalny lotniska Chrabrowo, ujawnił w rozmowie z dziennikiem ekonomicznym „RBC", iż trwają rozmowy z Turkish Airlines, a także przewoźnikami z Kataru i właśnie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Mamy zatem do czynienia z jasną sekwencją wydarzeń. Na początku września Putin w ramach „promocji rosyjskiej turystyki" nakazuje przedstawicielom rządu i służb specjalnych podjęcie wielu kroków, w tym wprowadzenia ruchu bezwizowego z Federacją Rosyjską. W tym samym niemal czasie aktywizuje się gubernator Kaliningradu, znanego „kurortu turystycznego", który inicjuje działania na rzecz wprowadzenia na lotnisku Chrabrowo reżimu otwartego nieba i dąży do ściągnięcia przewoźników z Turcji i krajów arabskich. Specjaliści z branży są sceptyczni, ale Anton Alichanow jest optymistą.

Fot. ID1974/Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

ALICHANOW – CZŁOWIEK FSB

Musimy w tej sytuacji nieco uwagi poświęcić samemu gubernatorowi obwodu kaliningradzkiego, bo – jak wiadomo – w Rosji we wszystkich dziedzinach życia, polityka nie jest w tym przypadku wyjątkiem, liczą się powiązania, kto z kim współpracował, w ramach czyjej sieci klientystycznej się znajduje.

Anton Alichanow to relatywnie młody rosyjski polityk (ur. 1986 r.), który pochodzi z rodziny mającej korzenie w Abchazji. Z pewnością jego notowania w Moskwie w ostatnim czasie zwyżkują, o czym świadczy to, że miał on swoje wystąpienie na ostatnim, corocznym spotkaniu Klubu Wałdajskiego – forum, na którym co roku przemawia Putin i na które nawet w charakterze widzów nie są zapraszani inni gubernatorzy. W 1992 r. jego rodzina, uciekając przed wojną, przybyła do Moskwy, gdzie jego ojciec Andriej zaczął wspólne biznesy z dwoma znanymi później politykami Igorem Szuwałowem, wicepremierem m.in. w rządzie Miedwiediewa, i z Michaiłem Babiczem. Szuwałow to niewątpliwie człowiek Miedwiediewa, jego rządowa kariera zakończyła się wraz ze zmianą na stanowisku premiera. Ale Babicz to jeszcze ciekawsza postać.

Ten generał FSB, który zaczynał swoją karierę jeszcze w KGB, obecnie pełni funkcję zastępcy dyrektora Federalnej Służby ds. Współpracy Wojskowo-Przemysłowej, która nadzoruje m.in. handel bronią. Babicz dał się szerzej poznać, kiedy sprawował funkcję ambasadora Federacji Rosyjskiej na Białorusi. Notabene zanim rozpoczął swoją misję, spotkał się z Putinem, co nie jest w Rosji normalną praktyką, i fakt ten został wówczas odczytany przez obserwatorów jako potwierdzenie nadzwyczajnego statusu Babicza i tego, że jest człowiekiem do zadań specjalnych. Jego misja zakończyła się w 2019 r., po tym jak Łukaszenka musiał prosić Putina o jego odwołanie. Trzeba też pamiętać, że Babicz miał w 2016 r. zostać rosyjskim ambasadorem na Ukrainie, ale wobec sprzeciwu Kijowa, który uważał, że będzie on „posłem wojny", nie otrzymał zgody na rozpoczęcie misji. Sprawując swoją funkcję na Białorusi, Babicz ściągnął do Mińska ludzi, którzy pracowali w rosyjskiej ambasadzie w Kijowie, przygotowując aneksję Krymu i rewoltę w Donbasie. Te działania, w tym próby budowania przez pracowników rosyjskiej ambasady kontaktów w białoruskich siłach zbrojnych, a także twarda retoryka Babicza, który uzależniał rosyjskie kredyty od pogłębiania integracji Rosji i Białorusi, na tyle zaniepokoiły wówczas spoglądającego na Zachód Łukaszenkę, że ten uznał za celowe interweniować u Putina w sprawie odwołania Babicza.

Warto zatem pamiętać, że obecny gubernator Kaliningradu Alichanow to najprawdopodobniej człowiek Babicza, a szerzej – polityk bezpośrednio powiązany z rosyjskimi służbami specjalnymi, najprawdopodobniej z FSB.

> Gubernator Kaliningradu Anton Alichanow to polityk bezpośrednio powiązany z rosyjskimi służbami specjalnymi, najprawdopodobniej z FSB

Ale to nie koniec ostatnich deklaracji gubernatora Kaliningradu. W jednej z niedawnych wypowiedzi dla lokalnego portalu informacyjnego powiedział on, że w związku z wprowadzonym przez Putina stanem wyższej gotowości w wielu rosyjskich guberniach, lotnisko Chrabrowo zostanie objęte wzmocnioną ochroną wojskową, poinformował także o przygotowaniu 400 miejsc dla uchodźców. Ten ostatni wątek jest szczególnie interesujący, bo Alichanow zadeklarował gotowość przyjęcia tych mieszkańców Chersońszczyzny, którzy zostali ewakuowani przez Rosjan na lewy brzeg Dniepru. Wcześniej rosyjskie media informowały, że w grę może wchodzić nawet kilkadziesiąt tysięcy osób zmuszonych do opuszczenia swoich domów.

ZAPORA NA GRANICY

Czy na podstawie tych informacji można wyciągnąć wniosek, że Kreml z pewnością wywoła kolejną, po zeszłorocznej z Białorusi, sztuczną falę migrantów na polskiej granicy? Na razie nie ma takich przesłanek, ale niewątpliwie podjęte przez gubernatora Alichanowa działania trzeba uznać za niepokojące i mające na celu przygotowanie instrumentarium prawnego i faktycznego, także na poziomie narracji publicznej, do uruchomienia – jeśli zapadnie decyzja – kolejnej fali migrantów. Rosjanie nie są też wiarygodnym, działającym w dobrej wierze partnerem, co powoduje, iż wszystkie podejmowane przez nich kroki muszą skłaniać do większej czujności. Tym bardziej jeśli, a tak jest obecnie, wpisują się one w ich nową strategię wojny na Ukrainie.

Wyobraźmy sobie bowiem sytuację, kiedy na naszej wschodniej granicy będziemy mieć do czynienia z trzema strumieniami uchodźców – z Ukrainy kobiety z dziećmi będą uciekać przed wojną i zimą, a równocześnie z Białorusi będziemy mieć do czynienia ze szturmem innych grup migrantów. Jeśli do tego dołączą się uchodźcy z Kaliningradu, mieszane grupy, w których będą zarówno przybysze np. z Syrii, Libanu czy Kurdystanu oraz uchodźcy z Chersońszczyzny, to w jakiej sytuacji znajdzie się państwo polskie? Czy starczy nam determinacji i wytrwałości, by wspierać rzeczywistych uchodźców, jak ich odróżnić, na podstawie jakich kryteriów dokonywać selekcji? Poważne państwa muszą być przygotowane na ryzyko tego rodzaju, tym bardziej jeśli za miedzą spadają rosyjskie rakiety, a gubernator Alichanow deklamuje publicznie wiersz Lermontowa, w którym ten rosyjski poeta wzywał do rozesłania narodowego wici na chwałę dumnej Rosji. Brak czujności w takich realiach byłby czymś więcej niż lekkomyślnością. I właśnie zwiększoną czujnością należy tłumaczyć budowę przez Polskę zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim.

Reklama | 64/1022/F

eprasa.pl d585177f9f

ORLEN

11.11.22

12:00

Niech wszędzie będzie słychać głos wolnej Polski

Zaśpiewajmy razem hymn w **104. rocznicę** odzyskania niepodległości

#niepodlegladohymnu

niepodległa

eprasa.pl d585177f9f

Bitwa o granice

11 listopada 1918 r. Polska odzyskała niepodległość. Nie bardzo było jednak wiadomo, co to konkretnie oznacza. Nie była jeszcze ustalona żadna granica odrodzonego państwa. Trzeba było czekać niemal pięć lat, by II Rzeczpospolita zyskała swój kształt

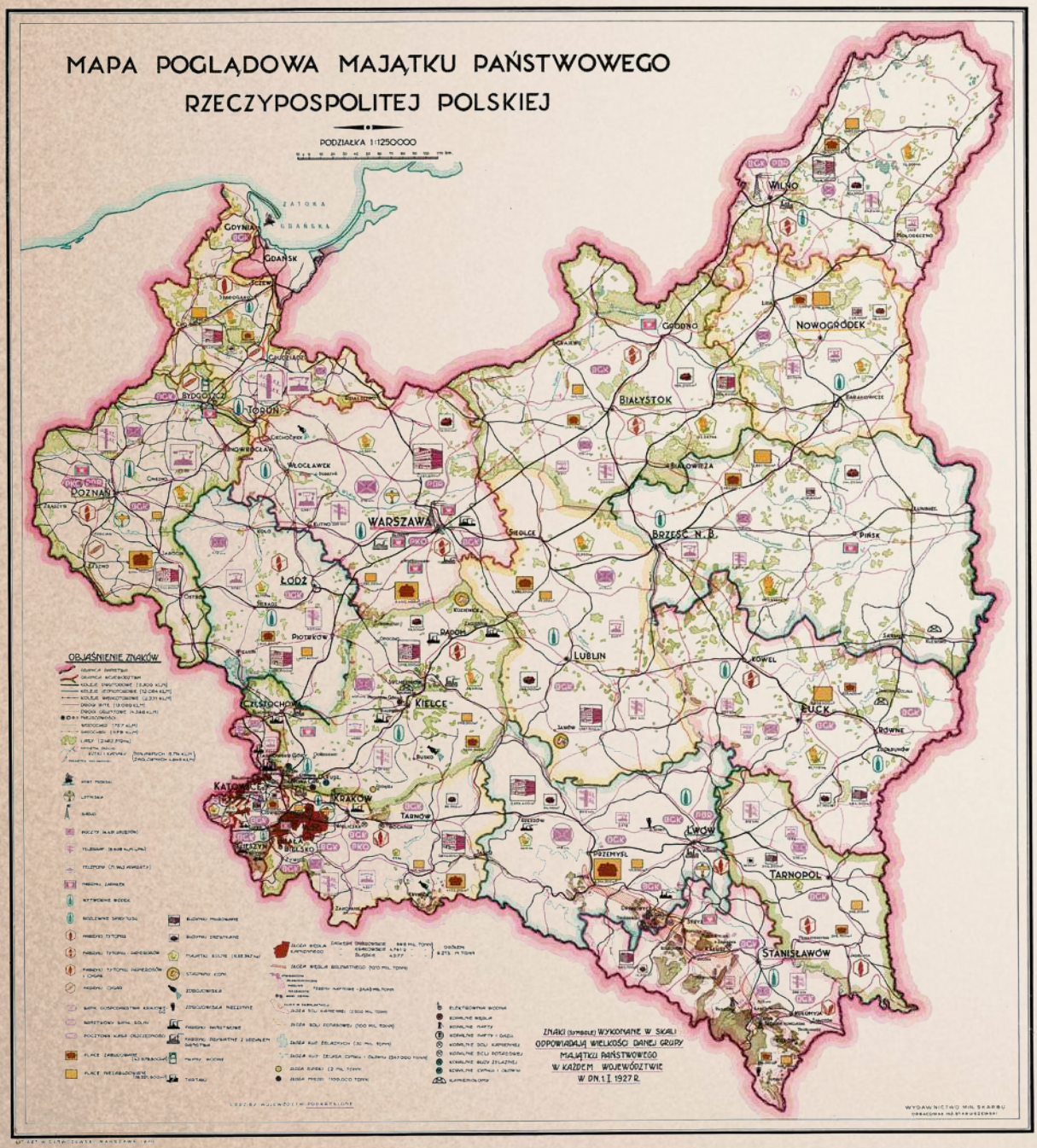

eprasa.pl d585177f9f

Warszawa zawsze potrafiła się śmiać. Każdą niemal traumę mieszkańcy komentowali ulicznymi kawałami czy kabaretowym skeczem, a im była silniejsza – tym dowcip bardziej cięty. Pod koniec 1918 r. udowodnili jednak, że wcale nie gorszym pretekstem do robienia sobie żartów mogą być wydarzenia nie tylko zupełnie nietraumatyczne, ale po prostu radosne. Takie jak choćby odzyskanie przez Polskę niepodległości. W centrum miasta wiwatowały tłumy, panie płakały z radości na balkonach, politycy prześcigali się w niepodległościowym patosie, a co bardziej krzepcy obywatele rozbrajali zdezorientowanych niemieckich żołnierzy. Czasem też wdawali się z nimi w strzelaniny – wbrew obiegowej opinii 11 listopada nie obeszło się bowiem bez sporych nawet potyczek.

WOJCIECH LADA

Jednocześnie jednak, gdzieś po robotniczych dzielnicach, choćby koło wolskiego Kercelaka, w głowach któregoś z miejscowych cwaniaków, już rodziła się nowa zgrywa. „Które państwo jest największe na świecie?" – rzucił jeden do drugiego. „Nie wiem. Ameryka?" – odparł ten drugi. „Polska! Przecież jest jedynym na świecie państwem bez granic" – skomentował pierwszy, zapewne skręcając się ze śmiechu. Kawał szybko poszedł w miasto i zrobił sporą karierę. Głównie dlatego, że był trafiony w dziesiątkę. Choć 11 listopada 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, to była jeszcze wtedy dość bezgraniczną ideą.

> „Które państwo jest największe na świecie?" – zapytał wolski cwaniaczek kolegę. „Nie wiem. Ameryka?" – odparł ten drugi. „Polska! Przecież jest jedynym na świecie państwem bez granic" – skomentował pierwszy. Taki kawał opowiadano sobie w Warszawie wkrótce po 11 listopada 1918 r.

DO KOGO NALEŻY LWÓW?

Na ulicach Warszawy można się było z tego wszystkiego śmiać, bo mieszkańcy tego akurat miasta mogli mieć całkowitą pewność, że niezależnie od dalszego przebiegu wydarzeń oni akurat na pewno znajdą się w granicach Rzeczypospolitej. Ale poznaniacy, wrocławianie, mieszkańcy Katowic czy Przemyśla mogli mieć co do tego bardzo poważne wątpliwości. Nie wspominając o Polakach mieszkających dalej na wschodzie, choćby we Lwowie – tutaj problem był naprawdę poważny.

Kiedy w Warszawie otwierano butelki szampana i tańczono na ulicach, Lwów od blisko dwóch tygodni było w sytuacji tragicznej. Gdzieś w trakcie XIX w. również Ukraińcy nabrali świadomości narodowej i koniec I wojny światowej uznali za doskonały moment, by uzyskać wreszcie własną państwowość. Jesienią 1918 r. mieli zresztą wszelkie podstawy sądzić, że odbędzie się to bez poważniejszych problemów. Austriacy, wciąż licząc na powstanie młodej Ukrainy w jakiejś formie federacji z Wiedniem, podsycali tamtejsze ruchy niepodległościowe. „Dlatego też w ostatnich tygodniach austriacka Komenda Naczelna zaczęła wycofywać z Małopolski Wschodniej oddziały złożone z żołnierzy Polaków, zatrzymywać zaś i dosyłać z frontu włoskiego pułki całkowicie ruskie lub z wyraźną przewagą Rusinów w szeregach, przekazując im też magazyny wojskowe oraz składy broni i amunicji" – pisał Władysław Pobóg-Malinowski.

Mając takie zaplecze, już w połowie października Ukraińska Rada Narodowa proklamowała powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej i w nocy z 31 października na 1 listopada opanowali bez większych przeszkód całą Małopolskę Wschodnią z Przemyślem włącznie. Początkowo wszystko wskazywało na to, że również Lwów został przez nich opanowany. Gdy jednak mieszkańcy obudzili się rano i stwierdzili, że znajdują się pod okupacją, rozpoczęły się spontaniczne walki uliczne. Początkowo bardzo chaotyczne i z wyraźną przewagą ukraińską, wkrótce jednak siły jako tako się wyrównały, bo z jednej strony wielu ukraińskich żołnierzy wcale już nie chciało walczyć i wraz z wieloma austriackimi kolegami wsiedli całkiem dosłownie w ostatni pociąg do domu, z drugiej zaś, siły polskie natychmiast wzmocniła ludność cywilna. 11 listopada starcia w mieście przyjęły już formę walki pozycyjnej, w której obie strony oczekiwały na wsparcie z zewnątrz. I istotnie tydzień później polska ofensywa ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego odbiła miasto, choć bynajmniej nie był to koniec wojny. Południowo-wschodnia granica Polski jeszcze przez wiele miesięcy będzie się znajdować tam, gdzie w danym momencie przebiegała linia frontu. A była ona bardzo niestabilna.

NA ZACHODZIE PRAWIE BEZ ZMIAN

Wiele wskazywało na to, że najmniej problemów będzie stwarzać ustalenie granicy południowo-zachodniej. Dobry tydzień przed 11 listopada bez przeszkód porozumiały się z sobą polska Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego i czechosłowacka Zemský Národní Výbor pro Slezsko. – Zawarte porozumienie było korzystne dla Polski i na ogół zgodne z zasięgiem wpływów narodowościowych – oceniał prof. Czesław Brzoza.

Kłopot w tym, że ustaleń nie zaakceptowały centralne władze Czechosłowacji i po dwóch miesiącach dyplomatycznych nacisków na Warszawę i tutaj rozgorzała wojna. Czesi przełamali polską obronę bez większych problemów choćby dlatego, że jej główne siły były skoncentrowane wówczas na Ukrainie. Ofensywa została powstrzymana dopiero na początku lutego 1919 r. po części dzięki świetnej walce oddziałów płk. Franciszka Latinika pod Skoczowem, bardziej jednak na skutek interwencji mocarstw. Zasadniczo jednak nie chodziło tu o jakiś duży obszar.

eprasa.pl d585177f9f

Stosunkowo najmniej emocji wzbudzała początkowo kwestia granic na północ od konfliktu polsko-czechosłowackiego. Nie dlatego, że Śląsk, Wielkopolska czy Pomorze nie przykuwały uwagi społeczeństwa. W tym jednak przypadku doskonale zdawano sobie sprawę, że Polska jest całkowicie uzależniona od ostatecznych postanowień konferencji pokojowej, zasadniczo panował więc nastrój nerwowego oczekiwania. Oczywiście patrząc z perspektywy Warszawy, bo polscy mieszkańcy tych terenów mieli na ten temat własne zdanie. „Niezależnie od podjętych decyzji organizowano własne oddziały zbrojne, złożone głównie z byłych żołnierzy armii niemieckiej i członków różnorakich organizacji, którzy przeszli elementarne przeszkolenie wojskowe. Znaleźli się oni głównie w czysto polskich oddziałach Straży Ludowej oraz formalnie polsko-niemieckiej Służbie Straży i Bezpieczeństwa, mającej pomagać siłom policyjnym w utrzymywaniu spokoju i porządku" – zauważał prof. Brzoza.

Mimo że – głównie na Śląsku – dochodziło czasem do wzajemnych bijatyk czy starć niewielkich bojówek, miało to raczej rozmiar karczemnych awantur niż poważniejszej walki politycznej. Było dość spokojnie. Niemcy czuli się niepewnie, bo w samym ich kraju wrzały nastroje rewolucyjne i nie wiedzieli, jaki będzie dalszy rozwój wydarzeń. Polacy zaś doskonale zdawali sobie sprawę, że mimo wojennej klęski Niemcy wciąż dysponują siłą militarną wielokrotnie przewyższającą polskie możliwości obronne. Niemieckie oddziały znajdowały się wciąż m.in. na Litwie, Białorusi, w Rumunii czy na Podlasiu i trzeba było się z nimi liczyć. Polacy przekonali się o tym właśnie na Podlasiu, gdzie w okolicach 16 listopada doszło do tzw. Krwawych Dni Międzyrzeca, czyli pogromów polskich cywilów przeprowadzonych przez stacjonujące tam wojska niemieckie. „Wyciągano z domów i mordowano w okrutny sposób nawet bezbronnych ludzi nienależących do żadnej organizacji. Rzucano do mieszkań granaty ręczne, raniąc i zabijając mieszkańców" – wspominał cytowany przez Andrzeja Chwalbę mieszkaniec miasteczka Czesław Górski. Były to wydarzenia o tyle tragiczne, że nie wynikały z jakiegoś zaplanowanego okrucieństwa, lecz paniki. Resztki armii niemieckiej były właśnie spanikowane – nieprzewidywalne i niekarne, a więc bardzo w tym momencie niebezpieczne.

Zasadniczo jednak mieszkańcy dawnego zaboru niemieckiego byli bardziej zdyscyplinowani niż mieszkańcy pozostałych ziem polskich, potrafili też znacznie lepiej dogadywać się ze swoimi niemieckimi sąsiadami. W końcu jednak nawet oni nie wytrzymali napięcia, skoro tylko nieco ponad miesiąc po 11 listopada wybuchło tu powstanie wielkopolskie. Ale nawet ono było wyjątkowe. Był to jedyny taki zryw, w zasadzie wolny od bezsensownej przemocy, zemsty i aktów okrucieństwa. No i w zasadzie jedyny wygrany. Chyba też konieczny, bo wiadomo, że w niemieckim sztabie powstawały plany uderzenia na Wielkopolskę.

NIEROZWIĄZYWALNY PROBLEM

W niemal każdym opracowaniu, a nawet wspomnieniach z epoki problem polskiej granicy wschodniej, w zależności od stanowiska autora jest opisywany jako niemal lub zupełnie nierozwiązywalny. Stulecia współżycia na tych terenach wielu narodowości

Fot. NAC

sprawiły, że w zasadzie zlały się one w zupełnie odrębną społeczność. Ich tożsamość zależała nie od państwowości czy pochodzenia etnicznego, lecz terenów, na których zamieszkiwali. Dla przykładu, w ankiecie wypełnianej w pierwszej połowie lat 30. XX w. ponad 60 proc. mieszkańców białoruskiego dziś Polesia, w rubrykach „narodowość" i „język" wpisywali „tutejsze". Nie istniało dobre rozwiązanie. Każda próba wyznaczenia tu jakiejś granicy przypominałaby kreślenie kolonialnych granic w Afryce – ktoś zawsze musiał być pokrzywdzony.

W polskiej polityce zderzały się w zasadzie dwie koncepcje: federacyjna i inkorporacyjna, przy czym pierwsza choćby w kontekście dzisiejszych wydarzeń na Ukrainie wydaje się znacznie bardziej dalekowzroczna. Reprezentował ją Piłsudski, który wspierając dążenia niepodległościowe młodych państw na wschodzie, widział w nich rodzaj buforu przeciwko sowieckiej Rosji. Minusem tej koncepcji była megalomania – w oczach marszałka wszystkie te państwa miały być jedynie drobnymi satelitami mocarstwowej Polski, nieistotną z politycznego punktu widzenia barykadą na wschodniej granicy polskiego imperium. Ale to i tak skromne plany. Roman Dmowski zamierzał po prostu wchłonąć wszystkie trzy narody, zapewniając im na otarcie łez

eprasa.pl d585177f9f

możliwość swobodnego rozwijania swojej kultury. Inaczej mówiąc, ledwo wyrwawszy się spod zaborów, Polska sama miałaby stać się państwem zaborczym.

O tym, że żadne z tych rozwiązań nie przypadło do gustu młodym narodom, już w tym momencie świadczyła krwawa wojna na południu. Ale i na północy sytuacja granic była daleka od stabilności i zamieszkujący te tereny Polacy nie mieli 11 listopada najmniejszych powodów do świętowania. Mińsk był w tym momencie stolicą Białoruskiej Republiki Ludowej – pierwszego w dziejach embrionu tutejszej państwowości. Wilno zaś stało się początkowo centrum Królestwa Litwy, zaledwie kilkanaście dni przed 11 listopada przemianowanego na Republikę Litewską. Żadne z tych państw – podobnie jak Polska – upojone niepodległością, nie zamierzało tracić jej znowu na korzyść Rzeczypospolitej. Zwłaszcza Litwa, która wykazywała się równie mocarstwowymi oczekiwaniami i domagała się przywrócenia jej wszystkich ziem, należących niegdyś do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie widziano problemu w tym, że tereny te zamieszkiwało w tym momencie niewiele ponad 30 proc. Litwinów, powierzchniowo zaś państwo to byłoby jednym z największych w Europie.

Nawiasem mówiąc i Białoruś, i Litwa znajdowały się 11 listopada w sytuacji tragicznej. W tym momencie oba państwa były stosunkowo bezpieczne, bo na ich terenach wciąż stacjonowały oddziały niemieckie – w tym już jednak momencie będące raczej gwarantem ich istnienia niż okupantem. Dla wszystkich było jasne, że kiedy żołnierze wrócą do domów, powstanie luka, którą wypełnią albo Polacy, albo bolszewicy. I właśnie dopiero starcie z tymi ostatnimi na jakiś czas ustabilizuje wschodnią granicę Polski. Nastąpi to jednak prawie dwa i pół roku później, po krwawej wojnie 1920 r. Na jesieni 1918 r. nikt jeszcze niczego nie mógł być pewien.

PROBLEMY Z DATĄ

Andrzej Chwalba zauważał, że data 11 listopada wcale nie dla wszystkich oznaczała symboliczne odzyskanie niepodległości. Przez dłuższy czas konkurencję dla niej stanowiły: 5 listopada 1916 r. – od dnia deklaracji cesarzy Niemiec i Austro-Węgier, 15 sierpnia 1917 r. – od powstania w Paryżu Komitetu Narodowego Polskiego, i 7 listopada 1918 r. – od powstania w Lublinie Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej. „Po 1918 r. polskie obozy polityczne nie mogły się porozumieć co do pierwszego dnia istnienia odrodzonej Polski. Krył się za tym konkretny interes partyjny. Powód do chwały. Do dobrej pamięci. Do satysfakcji. Uznanie za odnowiciela Polski dawało prawo do decydowania – albo przynajmniej współdecydowania – o losie i polityce kraju przez kolejne lata. Intensywne dyskusje na temat daty odrodzenia Polski toczyły się przez cały okres międzywojenny, a także po wojnie, w PRL" – zwracał uwagę profesor.

Do tej wyliczanki można właściwie dorzucić kolejną datę – 15 marca 1923 r. Tego bowiem dnia Rada Ambasadorów uznała wschodnią granicę Polski z Galicją Wschodnią i Wileńszczyzną, co w zasadzie zamknęło proces ustalania granic II Rzeczypospolitej.

Podczas czterech i pół roku, które dzieliło tę datę od 11 listopada, wiele się wydarzyło. Na Warmii, Mazurach i na Śląsku odbyły się plebiscyty – na tym ostatnim dodatkowo trzy powstania, z których ostatnie uznaje się niekiedy za wojnę polsko-niemiecką. Wybuchła i zakończyła się zwycięstwem wojna polsko-bolszewicka, wybuchła i zakończyła się dość kontrowersyjnym zwycięstwem wojna z Litwą, z której wykrojono tzw. Litwę Środkową, czyli zasadniczo Wileńszczyznę.

I nawet utyskując na straty terytorialne w porównaniu okresem przedrozbiorowym, trudno zaprzeczyć, że pod względem granic te ponad cztery lata były dla Polski dużym sukcesem. Jeśli bowiem 11 listopada 1918 r. powierzchnia odrodzonego kraju wynosiła ok. 180 tys. km² i obejmowała niecałe ziemie Królestwa Polskiego, Galicję Zachodnią i drobny kawałek Wschodniej, a także większość Śląska Cieszyńskiego, to w 1923 r. wzrosła o ponad 200 tys. km², co przy blisko 400 tys. km² stawiało Polskę na szóstym miejscu w Europie – po Rosji, Francji, Hiszpanii, Niemczech i Szwecji.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że te granice nie są stabilne. Ocenia się, że do przyjaznych i bezpiecznych należały tylko te odcinki, które łączyły Polskę z Łotwą, a zwłaszcza z Rumunią. Na niemal całej pozostałej długości przez cały okres 20-lecia dochodziło do mniejszych lub większych incydentów, zdarzały się przypadki działań sabotażowych i terrorystycznych. Z Litwą nie utrzymywaliśmy kontaktów dyplomatycznych i niemal do wybuchu II wojny światowej trwał między oboma państwami stan „zimnej wojny". Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że ustalone w 1923 r. granice przetrwały przy kosmetycznych zaledwie korektach do września 1939 r.

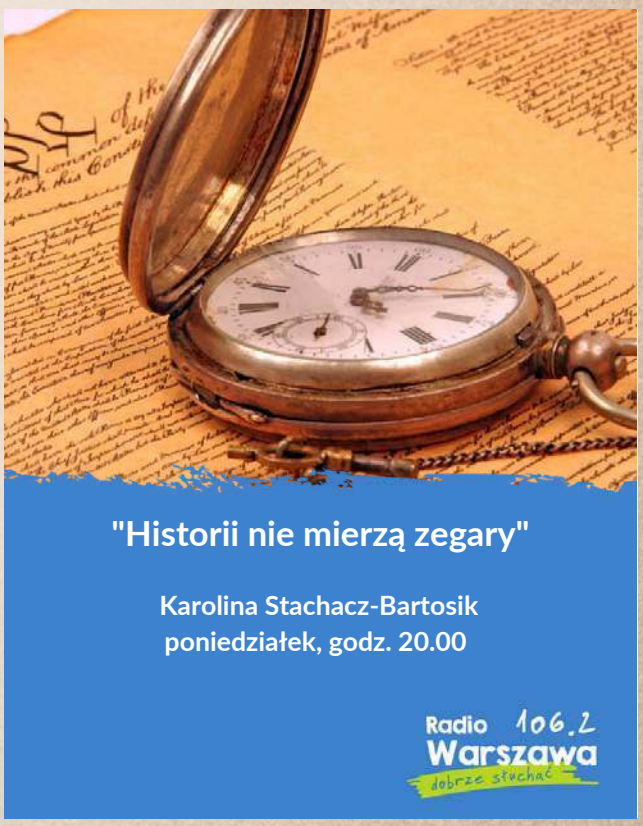

Reklama | 82/10222/1

eprasa.pl d585177f9f

Kraj szczęśliwych syntez

O historii Polski z prof. Grzegorzem Kucharczykiem rozmawia Wojciech Lada

Sporo jest syntetycznych ujęć historii Polski, także całkiem nowych. Dość wspomnieć choćby wciąż powstające monumentalne dzieło prof. Andrzeja Nowaka. Czego im pana zdaniem brakuje, skoro podjął się pan napisania kolejnej?

Grzegorz Kucharczyk: Książka, o której mówimy, jest rozszerzoną wersją mojej „Małej historii wielkiej Polski", która ukazała się kilkanaście lat temu. Każda synteza dziejów Polski jest opracowaniem autorskim. To nie jest kwestia braków w innych tego typu książkach, wśród których są prawdziwe arcydzieła, jak ta autorstwa prof. Andrzeja Nowaka.

Gdyby próbować znaleźć jeden wątek spinający opisane przez pana tysiąclecie, byłby to chyba Kościół. Podkreśla pan jego kluczową rolę od samego początku istnienia państwa ze szczególnym naciskiem na czasy komuny. Czy pana zdaniem katolicyzm jest wpisany w polskość?

Nie było innej Polski w historii jak Polska „narodu ochrzczonego" – jak określił to kard. Stefan Wyszyński. To „skościelanie" narodu, jak nazywał to z kolei Cyprian Kamil Norwid, wyrażało się w trwałych inspiracjach dla polskiej kultury (w tym kultury politycznej), sięgającej do dziedzictwa cywilizacji christianitas, która inkorporowała również dziedzictwo grecko-rzymskie. Mówimy więc o uczestnictwie – właśnie dzięki temu „skościelaniu" – w cywilizacji „szczęśliwych syntez" (Benedykt XVI), która potrafiła łączyć wiarę z rozumem i wolność z prawdą. Z prawdą o Bogu i o nas samych. Dlatego Kościół w okresie komunistycznego zniewolenia był oazą wolności dla milionów Polaków, w tym niewierzących.

Skoro jesteśmy przy Kościele. Czy uważa pan, że odegrał on swoją rolę – duchowego spoiwa narodu – w czasach zaborów? Niejednoznaczny był pod tym względem romantyzm, od schyłku XIX w. rozrastający się socjalizm, a nawet początkowo obojętna religijnie endecja. A to wskazywałoby raczej na osłabienie znaczenia Kościoła w tamtym okresie.

Nic bardziej mylnego jak sytuowanie polskiego romantyzmu w zasadniczej opozycji do katolicyzmu. Nie kto inny jak jeden z wieszczy romantycznych, Zygmunt Krasiński, pisał, że „katolicyzm zosobiszcza narody", i podkreślał, że nie tylko należy go wyznawać, ale „trzeba go umieć". Nawet w socjalizmie niepodległościowym, reprezentowanym przez Polską Partię Socjalistyczną, na partyjnych sztandarach widniał wizerunek Królowej Polski z Jasnej Góry. Endecy, krytykując polityczny lojalizm niektórych duchownych, nigdy nie kwestionowali zasadniczej roli katolicyzmu dla przetrwania polskości. Trzeba podkreślić, że w okresie zaborów katolicyzm nie tylko był duchowym, ale i socjologicznym spoiwem narodu. To w kościele spotykała się polska wieś i dwór, niwecząc w ten sposób strategiczny plan wszystkich zaborców: trwałego rozbicia polskiego narodu na dwa: „naród szlachecki" i „naród włościański". Ten ostatni – w zamyśle wrogów Polski – miał być przede wszystkim lojalny wobec władzy zaborczej.

Podsumowując okres 20-lecia międzywojennego, zwracając uwagę na autorytaryzm sanacyjnej władzy, podkreśla pan, że była to tendencja ogólnoeuropejska. Trudno nie zauważyć podobnego zjawiska również dziś. Dostrzega pan podobieństwa?

Analogia pewna jest, choć raczej ułomna. Z jednej strony rzeczywiście mamy autorytaryzm typu putinowsko-łukaszenkowskiego, z drugiej coraz bardziej zawężający się obszar wolności w UE, która wyruszyła na bezwzględną kampanię o „praworządność" lub wypowiedziała twardą

Fot. PCh24TV/Polonia Christiana/YouTube

eprasa.pl d585177f9f

walkę „mowie nienawiści", łamiąc coraz bardziej podstawowe wolności i prawa obywatelskie, czyli wolność sumienia i wolność słowa.

Sporo pisze pan o Jarosławie Kaczyńskim – patrząc tylko na indeks książki, jest to jedna z najczęściej wspominanych przez pana postaci w całych dziejach. Czy ma w sobie moc Józefa Piłsudskiego?

Nie sądzę, by Jarosław Kaczyński kreował się na następcę Piłsudskiego. Trudno jednak przejść do porządku dziennego nad jego rolą w najnowszej historii Polski. Stąd jego mocno zaznaczona obecność w książce.

Pisze pan wyraźnie, że przy okrągłym stole opozycja nie zdradziła Polski, choć istotnie wkrótce zaczęła się kompromitować ustępstwami na korzyść ludzi pokonanego systemu. Co spowodowało pana zdaniem ciąg późniejszych kompromisów i błędów? Upojenie władzą? Pieniądze?

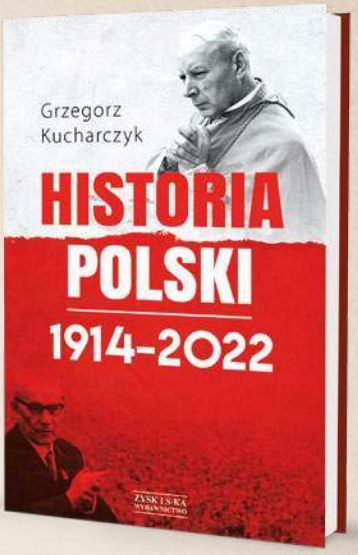

Z pewnością złudne mniemanie, że udział we władzy jest na tyle duży, że można dokonać skutecznej transformacji. Do tego doszło traktowanie okrągłego stołu jako celu samego w sobie, a nie taktycznego manewru, który ma służyć doczekaniu lepszych czasów. Te nastały jesienią 1989 r. Jednak „rycerze Okrągłego Stołu" żadnych wniosków z runięcia komunizmu w Europie Środkowej nie chcieli wyciągnąć.

Opisuje pan całe dzieje Polski, a nawet więcej, bo zaczepia pan także o dawną Słowiańszczyznę. Kiedy pana zdaniem miał miejsce szczyt potęgi Polski?

To czasy jagiellońskie zainaugurowane przez dwóch tytanów – ducha i intelektu („szczęśliwa synteza" wiary i rozumu): świętego króla Polski Jadwigę oraz rektora odnowionego przez nią uniwersytetu krakowskiego Pawła Włodkowica. Początek schyłku to z kolei ćwierćwiecze wojen o przetrwanie Rzeczypospolitej 1648–1673.

Czy pisząc swoją syntezę, myślał pan o niej jak o podręczniku?

Raczej jako o uzupełnieniu, rozszerzeniu wiedzy podawanej w podręcznikach. Mam nadzieję, że książka spełni ten cel.

Reklama | 42/1022/F

eprasa.pl d585177f9f

Jan Paweł II
na ławie oskarżonych

Kadry z filmu Marcina Gutowskiego pt. „Bielmo”

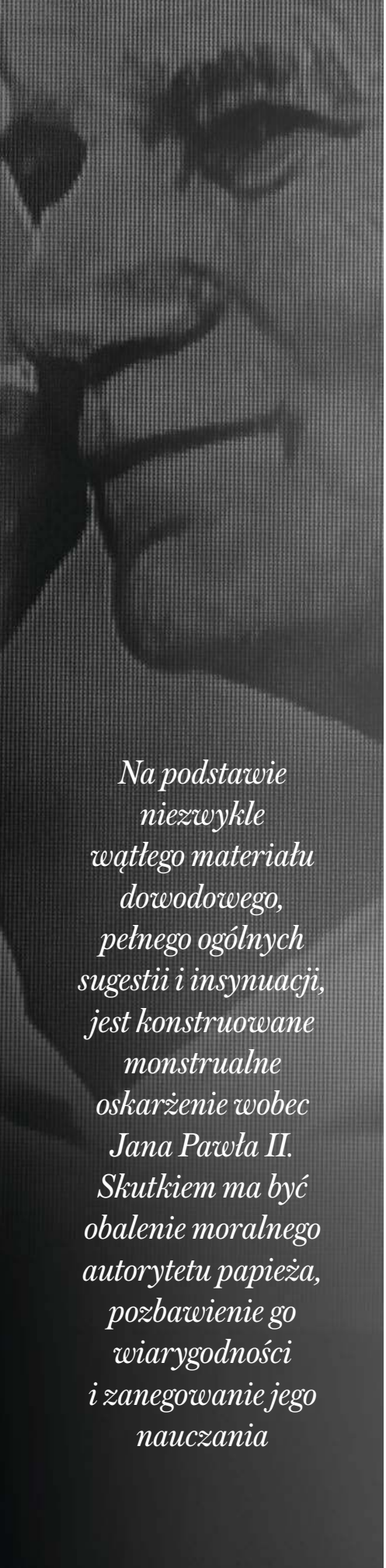

Na podstawie niezwykle wątłego materiału dowodowego, pełnego ogólnych sugestii i insynuacji, jest konstruowane monstrualne oskarżenie wobec Jana Pawła II. Skutkiem ma być obalenie moralnego autorytetu papieża, pozbawienie go wiarygodności i zanegowanie jego nauczania

rep. Andrzej Wiktor

GRZEGORZ GÓRNY

W ostatnich latach postać św. Jana Pawła II coraz częściej jest poddawana krytyce w kontekście skandali obyczajowych wstrząsających Kościołem. Karol Wojtyła staje się obiektem potępienia nie tylko w kręgach lewicowych i liberalnych, lecz również w niektórych środowiskach katolickich, nie wyłączając Polski. Próbuje obciążać się go zwłaszcza odpowiedzialnością za tuszowanie lub tolerowanie przypadków wykorzystywania nieletnich przez duchownych. Doszło wręcz do tego, że wśród osób niechętnych Kościołowi popularny jest skrót „JP2 – GMD" (Jan Paweł II – gwałciciel małych dzieci).

Ostatnią odsłoną tego spektaklu jest seria reportaży telewizyjnych w TVN24 oraz książka autorstwa dziennikarza tej stacji Marcina Gutowskiego pt. „Bielmo". Jan Paweł II został w nich przedstawiony jako władca absolutny, nieczuły i ślepy na krzywdę najsłabszych. Brakuje domniemania niewinności papieża oraz podania jakichkolwiek dowodów jego winy (poza jednym, ale o tym poniżej).

Nową jakością jest udział w owym medialnym wydarzeniu osób mniej lub bardziej związanych z Janem Pawłem II. Nie podają oni żadnych konkretnych faktów, które mówiłyby o jego odpowiedzialności za tuszowanie czynów pedofilskich. Mają za to do niego żal, że nie dzielił się z nimi swoją wiedzą na ten temat. Można zapytać: a dlaczego miałby się z nimi dzielić? Na jakiej podstawie?

Zajmują się też psychologizowaniem, próbując przeniknąć osobowość zmarłego papieża i stawiając tezę, iż był zręcznym aktorem oraz człowiekiem o wielu twarzach i nie wiadomo, która z nich była prawdziwa, ponieważ ciągle grał. Stawiają też tezę o jego „sumieniu niepokonalnie błędnym", którego to określenia św. Tomasz z Akwinu używał wobec zatwardziałych heretyków odmawiających nawrócenia. Mają też pretensje do Jana Pawła II, że mimo posiadanej wiedzy nie zrobił nic lub bardzo niewiele, by zwalczyć plagę pedofilii wśród duchownych.

BIERNY CZY AKTYWNY?

Okazuje się to nieprawdą. Papież podejmował kroki w tej sprawie w miarę, jak wychodziły na jaw kolejne nadużycia i ujawniała się skala owego procederu. Można wspomnieć choćby o zmianach wprowadzonych do Kodeksu prawa kanonicznego w 1983 r., gdzie jest mowa o karaniu sprawców wykroczeń przeciwko szóstemu przykazaniu czy o konstytucji apostolskiej „Pastor Bonus" z 1988 r.

Pierwszy duży skandal wybuchł jednak wiosną 1993 r., gdy prasa amerykańska opisała wiele przypadków nadużyć seksualnych księży wobec dzieci. Już 8 czerwca podczas audiencji dla biskupów z Arizony, Kolorado, Nowego Meksyku i Wyoming papież poruszył ten temat, a trzy dni później napisał list do biskupów amerykańskich w związku z przypadkami nadużyć seksualnych popełnionych przez niektórych księży w USA. Kreślił w nim m.in. następujące słowa: „Ewangeliczne słowo »biada« ma szczególne znaczenie, zwłaszcza gdy Chrystus stosuje je wobec przypadków zgorszenia, a przede wszystkim wobec zgorszenia »najmłodszych«. Jak surowe są słowa Chrystusa, kiedy mówi o takim zgorszeniu i jak wielkie musi być to zło, skoro »dla tego, który sieje zgorszenie, lepiej byłoby mieć wielki kamień młyński zawieszony na szyi i utonąć w głębinach morza«".

Początkowo Jan Paweł II liczył na to, że episkopaty w krajach, w których dochodzi do takich przypadków, same poradzą sobie ze skandalami pedofilskimi. Zobowiązał je, by opracowały konkretne wytyczne i normy postępowania. Gdy jednak okazało się, że to nie działa, wydał w 1994 r. indult dla biskupów w USA, a w 1996 r. dla Irlandii, w których mówił o zasadzie „zero tolerancji" wobec sprawców pedofilii. Przekazał też sądom biskupim prawo wydalania ze stanu duchownego tych, którzy dopuścili się takiego czynu.

Gdy skala ponurego zjawiska okazała się większa, niż przypuszczano, Jan Paweł II postanowił działać bardziej zdecydowanie. Jako pierwszy papież w historii wprowadził na szczeblu centralnym systemowy mechanizm zwalczania pedofilii.

eprasa.pl d585177f9f

Temu służył ogłoszony 30 kwietnia 2001 r. list apostolski „Sacramentorum sanctitatis tutela", który przewidywał, że przestępstwo przeciw szóstemu przykazaniu Dekalogu, popełnione przez duchownego wobec osoby młodej, poniżej 18. roku życia należy do bezpośredniej kompetencji Kongregacji Nauki Wiary, która w takich przypadkach działa jako trybunał apostolski. W dokumencie czytamy też: „sądzenie czynów pedofilii popełnionych przez kapłanów jest uważane przez Kościół za ciężkie przestępstwa na równi z dwoma innymi ciężkimi przestępstwami (również zastrzeżonymi dla Stolicy Świętej), jakich można się dopuścić w stosunku do dwóch sakramentów: Eucharystii i przeciw świętości spowiedzi".

24 kwietnia 2002 r. w przemówieniu do biskupów amerykańskich Jan Paweł II powiedział, że w szeregach duchowieństwa i w życiu zakonnym nie ma miejsca dla tych, którzy mogliby zrobić coś złego młodzieży. Nieprawdą są więc twierdzenia, jakoby papież nie reagował na pedofilię wśród duchownych lub był nieczuły na krzywdę dzieci. Zaprzeczają temu przywołane wyżej czyny i słowa.

RACHUNEK SUMIENIA

Zarzuty wobec papieża często bazują na rzutowaniu naszej dzisiejszej wiedzy na czasy minione. Dotyczą one okresu, w którym społeczeństwo, Kościół i media nie miały takiej wiedzy ani świadomości w sprawach pedofilii, jaką mają obecnie.

W 1994 r. tygodnik „Time" ogłosił Jana Pawła II Człowiekiem Roku 1994. W uzasadnieniu napisano: „W roku, w którym tak wielu ludzi ubolewało nad upadkiem wartości moralnych albo próbowało usprawiedliwić złe postępowanie, papież Jan Paweł II z mocą głosił swoją wizję prawego życia i wzywał świat do jej przyjęcia. Za tę niezłomność – czy też bezwzględność, jak powiedzieliby jego krytycy – został ogłoszony Człowiekiem Roku". Za wspomnianym wyróżnieniem przemawiała wówczas także jego postawa wobec procederu pedofilii wśród duchownych.

Warto też przypomnieć, że w 2000 r. Jan Paweł II w związku z Wielkim Jubileuszem dokonał rachunku sumienia Kościoła, wspominając winy chrześcijan z przeszłości. Przypomniał wiele grzechów ludzi Kościoła, lecz ani razu nie wymienił w tym kontekście pedofilii. Co najbardziej zastanawiające z dzisiejszego punktu widzenia, nikt nie robił mu wówczas z tego powodu zarzutów. Żaden dziennikarz, żadna gazeta nie oburzyła się, że papież próbuje ukrywać lub relatywizować grzech wołający o pomstę do nieba. Dlaczego? Ponieważ ten problem nie istniał wtedy w świadomości społecznej w takiej skali jak dziś – i to zarówno w Kościele, jak i w świeckich mediach. Jeżeli już się pojawiał, to raczej incydentalnie, głównie w związku z doniesieniami z kilku krajów, m.in. Irlandii, USA czy Australii.

> Franciszek: „Jan Paweł II był człowiekiem tak rygorystycznie moralnym, o takiej prawości, że nigdy nie pozwoliłby na awans skorumpowanej, zdemoralizowanej kreatury"

Krytycy Jana Pawła II twierdzą, że musiał on jednak wiedzieć o przypadkach konkretnych duchownych, których obdarzał zaufaniem, a nawet awansował, mimo że prowadzili podwójne życie. Jako żelazny argument podaje się fakt, że to właśnie za jego pontyfikatu karierę zrobili duchowni, którzy zasłynęli później jako „homoseksualni drapieżnicy", tacy jak np. założyciel Legionu Chrystusa ks. Marcial Maciel Degollado czy kard. Theodore McCarrick. Przyjrzyjmy się obu przypadkom.

PRZYPADEK MACIELA

W tym kontekście najczęściej jest przywoływane wydarzenie, do którego doszło 25 listopada 2004 r., a więc pół roku przed śmiercią Jana Pawła II. Przyjął on wówczas na audiencji ks. Maciela, któremu udzielił publicznie błogosławieństwa z okazji 60-lecia święceń kapłańskich. Ten fakt przemawia jednak na korzyść papieża. Przecież gdyby miał on świadomość podwójnego życia prowadzonego przez meksykańskiego kapłana, nigdy by tego nie zrobił. Tylko niewiedza tłumaczy jego uczynek.

Powyższy przypadek nie dawał jednak spokoju meksykańskiej watykanistce Valentinie Alazraki, która w Rzymie jako korespondentka pracuje od 1974 r. Z jednej strony chodziło bowiem o jej rodaka, którego przypadek nadal stanowi żywą ranę w tamtejszym Kościele, z drugiej zaś o papieża, któremu towarzyszyła przez cały pontyfikat, uczestnicząc w 100 z jego 104 podróży po świecie. Przeprowadziła więc dziennikarskie śledztwo, któremu poświęciła cały rozdział w jednej ze swoich książek o Janie Pawle II. Postanowiła odpowiedzieć na pytanie, czy Karol Wojtyła znał prawdę o Macielu. Po długim dochodzeniu doszła do wniosku, że papież nie miał świadomości, kim tak naprawdę był założyciel legionistów.

Rzecznik prasowy Stolicy Apostolskiej Joaquín Navarro-Valls powiedział jej, że Maciel cynicznie oszukiwał Ojca Świętego – podczas spotkań z nim przysięgał na Boga, że jest niewinny, a wszystkie oskarżenia przeciwko niemu zostały spreparowane. Janowi Pawłowi II, który zawsze starał się dostrzegać w swoim rozmówcy lepszą stronę osobowości, nie mieściło się w głowie, że ksiądz katolicki może fałszywie przysięgać, klnąc się na Boga, i to w obecności samego papieża. Miał wizję kapłana jako osoby przejrzystej i spójnej wewnętrznie, wykluczającej możliwość życia całymi latami w cynizmie i oszustwie. Pamiętał też z czasów komunistycznych, jak fabrykowano przeciw duchownym nieprawdziwe oskarżenia na tle obyczajowym, dlatego nie dawał wiary takim zarzutom, dopóki wina nie zostanie udowodniona.

Trzeba też pamiętać, że sam Macial był mistrzem kamuflażu. Oprócz tego, że był księdzem, miał w Meksyku i Hiszpanii dwie żony, które nie wiedziały nie tylko o swoim istnieniu, ale nawet o tym, że jest duchownym. Posiadał kilka tożsamości. Używał wielu fałszywych paszportów. Przez kilkadziesiąt lat wiódł żywoty równoległe, wprowadzając

eprasa.pl d585177f9f

w błąd wiele osób w licznych środowiskach, w tym samego papieża.

PRZYPADEK MCCARRICKA

Mistrzem kamuflażu był też inny zdemoralizowany duchowny, kard. Theodore McCarrick, były metropolita Waszyngtonu. W jego sprawie watykańscy śledczy przeprowadzili dochodzenie, którego rezultatem stał się opublikowany w 2020 r. 447-stronicowy raport. Jego autorzy próbowali odpowiedzieć na pytanie, w jakich okolicznościach amerykański hierarcha otrzymał biret kardynalski. Okazało się, że przez długie lata informacje o jego podwójnym życiu nie dochodziły do Rzymu, ponieważ były blokowane w USA. Pierwsze zastrzeżenia dotarły do Watykanu dopiero w 1999 r. Nie było jednak wtedy twardych dowodów na niemoralne czyny duchownego. Ten ostatni przysięgał, że nie utrzymywał nigdy stosunków seksualnych z żadną osobą, ani z mężczyzną, ani z kobietą, ani z młodą, ani ze starszą, ani z duchownym, ani ze świeckim. Jan Paweł II dał wiarę tym zapewnieniom.

Trzeba pamiętać, że o swojej niewinności przekonywał człowiek, który był osobą powszechnie znaną, szanowaną i lubianą w USA. Miał niesłychany dar pozyskiwania sympatii i zaufania także wśród wielu osób w amerykańskim establishmencie. Utrzymywał serdeczne stosunki np. z kilkoma prezydentami i wiceprezydentami, m.in. z Joe Bidenem. Przez dekady nikt nie wpadł na trop jego podwójnego życia.

George Weigel, biograf Jana Pawła II, pisał: „Theodore McCarrick był nie tylko seksualnym drapieżcą. Był także znakomitym patologicznym kłamcą. A patologiczni kłamcy umieją zwodzić innych. McCarrickowi udawało się to przez dziesięciolecia choćby w kontakcie z mediami. Okłamywał swoich braci księży i biskupów. Zwodził bogatych katolików, którzy sfinansowali większość jego zagranicznych podróży. Oszukał wiele osób związanych z katolicką lewicą, która przez lata widziała w nim bohatera (i korzystała z pozyskiwanych przez niego pokaźnych funduszy)". Jak konkludował Weigel: „Nie powinno się także podważać faktu, że Jan Paweł II był ofiarą oszusta: człowiek, któremu ufał, Theodore McCarrick, okłamał go co do swojego prawdziwego oblicza. Święci także są ludźmi i mogą w swoim człowieczeństwie dać się oszukać. Pilnujmy jednak, żeby sprawca niegodziwości był w tym przypadku właściwie identyfikowany – jako Theodor McCarrick, a nie Jan Paweł II".

Wielce znamienne są cytowane w raporcie słowa Franciszka, który stwierdził: „Jan Paweł II był człowiekiem tak rygorystycznie moralnym, o takiej prawości, że nigdy nie pozwoliłby na awans skorumpowanej, zdemoralizowanej kreatury".

> Gdy skala ponurego zjawiska okazała się większa, niż przypuszczano, Jan Paweł II postanowił działać bardziej zdecydowanie. Jako pierwszy papież w historii wprowadził na szczeblu centralnym systemowy mechanizm zwalczania pedofilii

OPOWIEŚĆ GREINA

Właśnie w raporcie dotyczącym McCarricka, a konkretnie w przypisie nr 1385 na stronie 439, pojawia się jedyny dowód, jakoby Jan Paweł II miał wiedzę na temat seksualnych nadużyć amerykańskiego dostojnika. We wspomnianym dokumencie relacja została jednak zanonimizowana i nie nadano jej nawet numeru stosowanego zawsze wobec ofiar molestowania. Oznacza to, że nie została ona potwierdzona przez żadnego świadka ani przez żaden dokument. Dziennikarz TVN dotarł jednak do osoby, która kryła się za tą opowieścią. I to ona dostarczyła w sumie jedynego nowego argumentu przeciw Janowi Pawłowi II, który nie pojawiał się nigdy wcześniej w przestrzeni medialnej.

Wspomnianym mężczyzną był James Grein, ofiara McCarricka, którego amerykański hierarcha miał w 1988 r. zawieźć do Watykanu i przedstawić papieżowi. Podczas spotkania na osobności młodzieniec miał powiedzieć Janowi Pawłowi II, że jako dziecko był seksualnie wykorzystywany przez kardynała. W odpowiedzi Ojciec Święty objął go, pobłogosławił, lecz nic nie zrobił.

Do relacji osób wykorzystywanych jako dzieci przez dorosłych należy podchodzić z wielką uwagą, ponieważ najczęściej kryje się za nimi wielki dramat. Wspomniana opowieść budzi jednak kilka wątpliwości, które wymagają rozjaśnienia. Nie wiemy, po co kardynał miałby przywozić swoją ofiarę do Watykanu i przedstawiać ją papieżowi. Dlaczego Grein milczał o tym przez 31 lat, choć od dawna opowiadał o pedofilskich czynach McCarricka? Jak to jest możliwe, że obaj – młodzieniec i Jan Paweł II – nagle pozostali na osobności? To pytania niezwykle istotne, ponieważ zarzut wobec papieża opiera się na wspomnieniach zaledwie jednej osoby, których nie sposób dziś zweryfikować.

Z jednej strony jest to bardzo kruchy, ale z drugiej niezwykle groźny argument. Przekonał się o tym np. kard. George Pell z Sydney. Akt oskarżenia przeciwko niemu opierał się również na zeznaniach jednego człowieka, który przypomniał sobie, że 21 lat wcześniej był molestowany przez australijskiego hierarchę. Sąd Najwyższy podał jednak w wątpliwość relację mężczyzny twierdzącego, jakoby doszło do czynu w pustej zakrystii katedry w Melbourne tuż po niedzielnej mszy, podczas gdy wiadomo, że w tym czasie jest to miejsce tętniące życiem.

Konstruowanie monstrualnego oskarżenia wobec Jana Pawła II na podstawie niezwykle wątłego materiału dowodowego ma jednak określone konsekwencje. Skutkiem jest delegitymizacja moralnego autorytetu papieża i pozbawienie go wiarygodności. Oznacza to kolejny etap atomizowania narodu polskiego i pozbawiania go stałych punktów odniesienia. W wymiarze kościelnym stanowi zaś cios w jego nauczanie. Taka jest stawka tej gry.

eprasa.pl d585177f9f

Tyrowicz, jastrzębica RPP – Rady Polityki Partyjnej

Propozycje nowej członkini Rady Polityki Pieniężnej to przepis na katastrofę gospodarczą i wielkie niepokoje społeczne. Dlaczego? Bo prof. Joanna Tyrowicz, zamiast zajmować się polityką pieniężną, uprawia politykę w czystym sensie

DARIUSZ MATUSZAK

Ledwie miesiąc po tym, jak Senat wybrał Joannę Tyrowicz na członka Rady Polityki Pieniężnej, stała się ona ulubienicą opozycji i jej mediów. Wszystko to za sprawą jej aktywności, a właściwie nadaktywności, parcia na szkło i często absurdalnych, niemal groteskowych wypowiedzi i akcji.

Zacznijmy od spraw merytorycznych, czegoś, co jeszcze jakoś mieści się w zakresie jej obowiązków służbowych. Pani profesor biega po mediach i wszem wobec głosi: „Nie da się skutecznie obniżyć inflacji przy ujemnie realnych stopach procentowych".

SZTUKA I ULOTNA OBIETNICA NAGRODY

Wedle pani Tyrowicz stopy procentowe powinny być neutralne, czyli w teorii takie, które nie wpływają ani na wzrost, ani na spadek cen. W naszych warunkach skoro są ujemne, to są poniżej neutralności, a więc powinny być wyższe niż obecnie. Problem w tym, że co do sensowności terminu „neutralne stopy procentowe" spory trwają od ponad 100 lat. Według wielu ekonomistów jest on czystym wymysłem, fatamorganą, za którą się goni. Coś w tym twierdzeniu jest, bo samo dochodzenie do owej neutralności powoduje zmiany cen, więc w istocie jest to zabawa w gonienie króliczka. Nieustająca pogoń za ulotną obietnicą nagrody. Pani Tyrowicz skrytykowała RPP

Fot. PAP / Marcin Obara

eprasa.pl d585177f9f

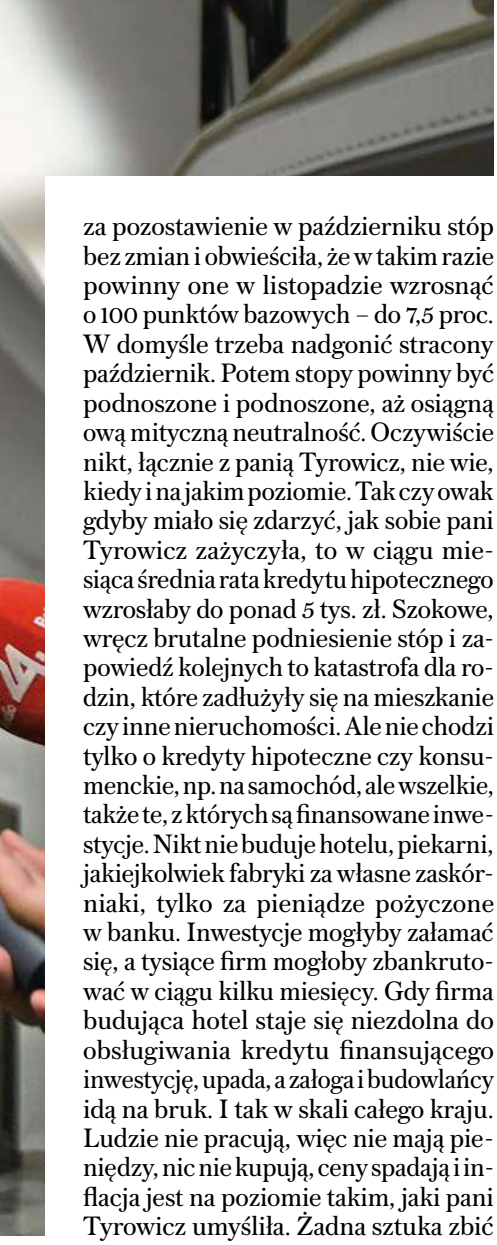

za pozostawienie w październiku stóp bez zmian i obwieściła, że w takim razie powinny one w listopadzie wzrosnąć o 100 punktów bazowych – do 7,5 proc. W domyśle trzeba nadgonić stracony październik. Potem stopy powinny być podnoszone i podnoszone, aż osiągną ową mityczną neutralność. Oczywiście nikt, łącznie z panią Tyrowicz, nie wie, kiedy i na jakim poziomie. Tak czy owak gdyby miało się zdarzyć, jak sobie pani Tyrowicz zażyczyła, to w ciągu miesiąca średnia rata kredytu hipotecznego wzrosłaby do ponad 5 tys. zł. Szokowe, wręcz brutalne podniesienie stóp i zapowiedź kolejnych to katastrofa dla rodzin, które zadłużyły się na mieszkanie czy inne nieruchomości. Ale nie chodzi tylko o kredyty hipoteczne czy konsumenckie, np. na samochód, ale wszelkie, także te, z których są finansowane inwestycje. Nikt nie buduje hotelu, piekarni, jakiejkolwiek fabryki za własne zaskórniaki, tylko za pieniądze pożyczone w banku. Inwestycje mogłyby załamać się, a tysiące firm mogłoby zbankrutować w ciągu kilku miesięcy. Gdy firma budująca hotel staje się niezdolna do obsługiwania kredytu finansującego inwestycję, upada, a załoga i budowlańcy idą na bruk. I tak w skali całego kraju. Ludzie nie pracują, więc nie mają pieniędzy, nic nie kupują, ceny spadają i inflacja jest na poziomie takim, jaki pani Tyrowicz umyśliła. Żadna sztuka zbić inflację takim sposobem.

Spójrzmy na pomysły pani Tyrowicz z pewnej perspektywy, choćby zagranicy. Oto średnia inflacja w strefie euro wynosi 10,7 proc. i rośnie szybciej niż w Polsce. W Niemczech wzrosła ona do 10,4 proc., a we Włoszech do aż 11,9 proc. – o 3 proc. w ciągu miesiąca. Dzień przed ogłoszeniem tych wyników Europejski Bank Centralny podniósł główną stopę procentową do 2 proc. Może niech prof. Tyrowicz weźmie się za ratowanie strefy euro i doradzi prezes EBC Christine Lagarde, by rada gubernatorów banku doprowadziła stopy do neutralności gdzieś na jakimś poziomie, nie wiadomo jakim, by i Holandia, w której inflacja wynosi tyle, co w Polsce, ale też kraje bałtyckie, w których sięga 24 proc., także skorzystały z dobrodziejstw neutralności.

Ustalanie poziomu stóp procentowych to wielkie wyzwanie, mające w sobie coś z artyzmu, bo przecież trzeba tak balansować, by kontrolując inflację i siłę waluty, utrzymywać wzrost gospodarczy i równowagę społeczną choćby przez niedopuszczenie do masowego bezrobocia. Inflacja nie jest najgorszym z możliwych dopustów.

KOMUNIKACYJNY HAPPENING

Te opinie prof. Tyrowicz może się jeszcze mieszczą w jakichś merytorycznych ramach. Gorzej już z całą resztą aktywności, jak choćby z oświadczeniem, że w listopadzie stopy powinny wzrosnąć o 100 punktów. To oznacza burzenie porządku, procedur polityki pieniężnej, które są przyjęte nie tylko w Polsce, ale i w bankach centralnych na świecie. Nigdzie bowiem nie obwieszczają one w ten sposób światu, co i kiedy zrobią. Komunikacja z rynkami, a także konsumentami nie jest jednoznaczna, zerojedynkowa. To zawsze język trochę pytyjski: może podniesiemy stopy, a może nie, zobaczymy, o ile i kiedy w zależności od sytuacji, i może zacieśnimy politykę, a może nie, bo właściwie zaczynamy myśleć o poluzowaniu itd. Przedstawiamy priorytety i oczekiwania, ale nie mówimy jasno, jak do nich dojdziemy. I paradoksalnie to, że wiele rzeczy pozostaje w sferze domysłów, oznacza przewidywalność polityki pieniężnej, wpływa na stabilność finansów. Polityka nie może być prowadzona tak, że jednego miesiąca następuje masowy zakup np. waluty, obligacji itd., ale wszyscy wiedzą, że po spekulacyjnym rajdzie przed kolejnym posiedzeniem RPP, amerykańskiego Fedu czy gubernatorów EBC trzeba wszystkiego się pozbyć. Spekulanci, fundusze nie mogą wiedzieć, co bank centralny w konkretnym czasie zrobi i na pewniaka wbijać się w kupno czy wyprzedaż. Szczęście, że pani Tyrowicz jest tylko w RPP, a nie w NBP, bo jeszcze powiadamiałaby świat, kiedy i jakiej interwencji bank dokona na rynku walutowym.

Poszczególni członkowie takich ciał jak RPP czy Fed przedstawiają swoje opinie, czasami się one nieco różnią, ale robią to w sposób łagodny, zawoalowany, taki by ze swoich opinii można było się wycofać, by nie burzyły one spójności całego gremium. I tak są umownie „gołębie", czyli zwolennicy nieco luźniejszej polityki monetarnej, i „jastrzębie", czyli chętni do radykalniejszej, twardszej postawy. Pani Tyrowicz jest jastrzębiem, który chciałby latać tak wysoko, że tlenu i siły nośnej powietrza mogłoby mu zabraknąć. Wysokie loty są efektowne, podobnie jak upadki z dużych wysokości.

Pani Tyrowicz zaczęła z przytupem, a dalej jest już tylko gorzej, bo wchodzimy w świat czystej polityki, publicystyki i jakichś egzaltowanych happeningów. Niczym innym bowiem jak happeningiem było naniesienie przez członkinię Rady Polityki Pieniężnej poprawek do oficjalnego komunikatu RPP, czyli stworzenie własnej wersji, dla popisu zrobienie jeszcze tego w trybie wybitej na czerwono korekty i opublikowanie takiej pokreślonej/poprawionej wersji. Co z tego, że RPP jest ciałem kolegialnym, polityka jest ustalana wspólnie, świat jest o niej powiadamiany wspólnym komunikatem. Pani Turowicz wie lepiej, ma własny komunikat, własny sposób komunikowania rynkom, tego co i jak na posiedzeniu ustalono, czy też według niej powinno się ustalić. Jak pobudzona nauczycielka na czerwono kreśli po pracy domowej czy klasówce i poprawia ją nawet stylistycznie. Nie wiem, jak się w psychologii nazywa taką robotę, ale musi być jakieś naukowe określenie na to, że na czerwono przekreśla się zwrot „prognozowane jest dalsze obniżenie dynamiki PKB", by również na czerwono wpisać „prognozowana jest niższa dynamika PKB".

Tyrowicz przedstawia nie tylko osobiste mniemania, ale wykreśla nawet zdania całkowicie, bezsprzecznie prawdziwe, jak choćby to, że w wielu krajach inflacja jest najwyższa od dekad (po ostatnich danych w Niemczech najwyższa od 70 lat). Zamieszczoną w serwisie LinkedIn całość swoich wynurzeń i poprawionego niby komunikatu podsumowuje: „RPP nie podejmuje działań niezbędnych dla zapewnienia stabilności makroekonomicznej i finansowej, w tym przede wszystkim w celu ograniczenia ryzyka utrwalenia się podwyższonej inflacji". I takie zdanie, że w Polsce RPP nic nie robi, idzie w świat. I nic jej, człeku, nie zrobisz, nawet jeśli prezes NBP wskazuje na odpowiedzialność prawną za takie zachowania.

eprasa.pl d585177f9f

Przecież Adam Glapiński to tylko taki „gość", którego – jak zapowiadają Donald Tusk i Tomasz Siemoniak – wyprowadzi się siłą z NBP. Furda, jak takie wygłupy są odbierane przez rynki, te, które decydują, czy nabywać, czy też może panicznie wyprzedawać polskie aktywa, furda, portfele Polaków, na panią Turowicz zstąpiło oświecenie i ona jednoosobowo wszystkim zarządzi za pozostałych członków RPP, a także nauczy porządków i polszczyzny.

NIEPRZYZWOITY KRAJ WARIATÓW I WARIATEK

Działalność polityczną i publicystyczną pani Turowicz najlepiej ilustruje wywiad w stacji TVN24. Oznajmiła w nim ni mniej, ni więcej, że Polska to nieprzyzwoity kraj wariatów albo przynajmniej przez nich rządzony. Pytana o KPO odpowiedziała: „Oni [inwestorzy, rynki finansowe – przyp. red.] widzą, że jest taki kraj, na stole leży bardzo dużo pieniędzy i żeby móc po nie sięgnąć, to trzeba zrobić to, co wszystkie przyzwoite kraje. A ten kraj mówi »nie«. To co sobie myśli rynek? No, wariat. My nie umiemy zakomunikować nikomu, dlaczego nasze wariactwo jest takie ważne, żeby rynek nas docenił za to".

Może i leżą na stole jakieś godne albo z lichwiarskiej pożyczki pieniądze, a może nawet w torbie z Biedronki i nic, tylko brać, ale nie jest rzeczą prof. Tyrowicz to oceniać, bo to już sprawa czysto polityczna, dotycząca naszego prawa i naszych relacji z Unią Europejską. Zapewne w Polsce są wariaci i wariatki (pamiętajmy o równościowym języku i nie pomijajmy pań). Polska to nieprzyzwoity kraj, więc może pani Tyrowicz nie powinna zasiadać w polskiej RPP i brać nieprzyzwoite pieniądze od polskich podatników wariatów i wariatek. Piszę o podatnikach wariatach i wariatkach, bo kim trzeba być, by przez demokratyczne wybory powierzyć rządy wariatom, którzy nie chcą brać pieniędzy?

Według profesor teraz mamy dwie opcje: „Albo wytłumaczyć, dlaczego jesteśmy takimi wariatami. Jest taka opcja zawsze na stole. Albo przestać grać wariata" – orzekła. Ostatnie zdanie pani profesor wymaga uzupełnienia zgodnie z równościowym językiem, więc na czerwono jej poprawimy. Powinno brzmieć: Albo przestać grać wariata i wariatkę.

BY ZAMĘT ROBIĆ

Zasadniczą sprawą jest to, że Tyrowicz całkowicie wychodzi ze swojej roli. Najwyraźniej nie rozumie, że Rada Polityki Pieniężnej, nie jest Radą Polityki Platformy czy jakiejkolwiek partii. Prof. Tyrowicz nie rozumie, jaką funkcję jej powierzono. Obywatele w wyniku demokratycznych procedur, bo przecież powołał ją demokratycznie wybrany Senat, uczynili ją strażniczką stabilności cen i złotego. Pani Tyrowicz dostaje pieniądze tylko i wyłącznie za to, że ma czytać, analizować, myśleć i od czasu do czasu zagłosować na posiedzeniu RPP. Przez 30 lat jakoś tam dbano o niezależność rady, o jej apolityczność, choć nieraz z tym różnie bywało, bo Hannie Gronkiewicz-Waltz zamarzyło się zostać panią prezydent, więc prowadziła kampanię wyborczą.

Apolityczność oznacza, że członkowie RPP nie są ani władzą wykonawczą, ani ustawodawczą, ani wiecowymi czy działaczami udzielającymi się w mediach. Podobnie jak wojskowi, policjanci, którzy też przecież są strażnikami. Państwo ma instytucje, które muszą działać niezależnie od bieżących zdarzeń politycznych, zachowywać dystans, zwłaszcza gdy jak RPP działają w obszarach podwyższonej wrażliwości. Jak ma się dbałość o stabilność cen i siłę waluty do obwieszczania inwestorom i uczestnikom owych rynków finansowych, że polska rada ds. pieniądza nic nie robi, a krajem rządzą wariaci. Zwłaszcza po tym, jak były premier, a teraz szef opozycji i były minister obrony obwieszczają, że jakieś osiłki wyprowadzą prezesa NBP z banku.

Nie ma wątpliwości, że pani Tyrowicz została powołana przez Senat tylko po to, by robić zamęt, by otworzyć nowy front walki z rządem, choć oczywiście ona może sobie mniemać, że swoimi akcjami dba o portfele polskiego ludu. Do tej pory NBP i RPP były atakowane z zewnątrz, bo trzeba wmówić wyborcom, że to pisowski prezes odpowiada za inflację. Co tam wojna na Ukrainie, co z tego, że pociski spadają przy naszej granicy, pal diabli, że 7 mln ukraińskich uchodźców do Polski wjechało, że w Unii jest wielki kryzys energetyczny, do którego w znacznej mierze się przyczyniła. Winny jest PiS i trzeba atakować wszytko, co w jakikolwiek sposób jest nim kojarzone. Nie ma państwa i jego instytucji, są tylko dominia reżimu, rządu wariatów, które trzeba zniszczyć, bo na razie nie da się ich przejąć. Teraz dzięki pani Tyrowicz ataki na NBP i RPP można przeprowadzać także od wewnątrz i założyć jakąś placówkę ruchu oporu w samym banku.

W akcjach pani Tyrowicz nie dostrzegam motywacji innej niż tylko polityczna, choć – jak wspomniałem – może ona myśleć, że dla dobra Polski opowiada z egzaltacją o wariatach. Pomińmy rozważania o pysze, która każe uznawać, że wie się wszytko lepiej niż inni członkowie rady. Przed panią Tyrowicz rysuje się świetlana kariera polityczna. Ze stołka prezes NBP o prezydenturę jednak nie powalczy, bo niewiele wskazuje na to, by w przewidywalnym czasie opozycja wygrała wybory, wyprowadziła „gościa" Glapińskiego z pomocą „silnych panów" i osadziła ją na tym stanowisku.

> Pani Tyrowicz skrytykowała RPP za pozostawienie w październiku stóp bez zmian i obwieściła, że w takim razie powinny one w listopadzie wzrosnąć o 100 punktów bazowych – do 7,5 proc. W domyśle trzeba nadgonić stracony październik. Potem stopy powinny być podnoszone i podnoszone, aż osiągną mityczną neutralność

Autopromocja

eprasa.pl d585177f9f

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

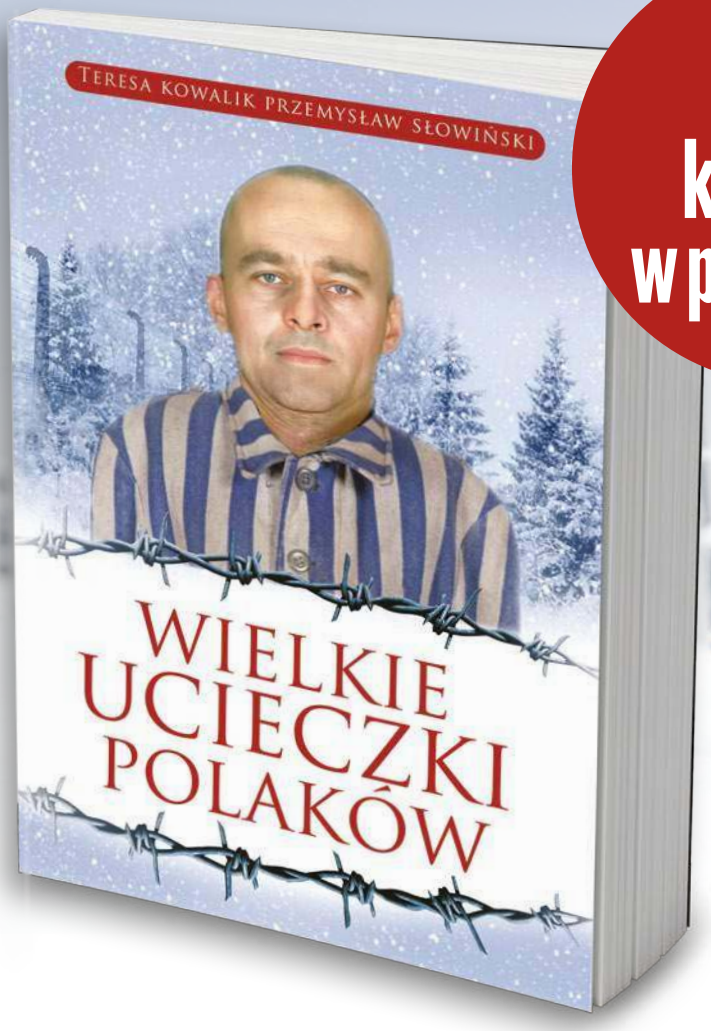

60 książek w prezencie

Bohaterów książki łączy polski gen wolności. Przedzierali się przez ostępy Syberii i piaski irackich pustyń, ukrywali w bagażnikach samochodów dyplomatycznych i zamarzali pod podwoziem tira…

Książkę **„Wielkie ucieczki Polaków”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl d585177f9f

BUDUJEMY KONCERN **MULTIENERGETYCZNY**

Połączony potencjał i kompetencje Grupy ORLEN oraz PGNiG to rozwój nowych, czystych źródeł energii, stabilność i bezpieczeństwo dostaw, a także lepsza oferta dla milionów Klientów. Silny, europejski koncern to nasza odpowiedź na wyzwania przyszłości. **Razem zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne.**

ORLEN

PGNiG GRUPA ORLEN

eprasa.pl d585177f9f

Miał wizję tego, w jaki sposób doprowadzić do obchodów milenijnych w Polsce. I co to może oznaczać dla Polaków. Bo doświadczenie wojny w 1956 r. nadal było obecne. Polska znajdowała się w stanie rozbicia, traumy i zagubienia – mówi nam Sławomir Grzymkowski, odtwórca roli kard. Stefana Wyszyńskiego w filmie Michała Kondrata „Prorok”

Misja prymasa Wyszyńskiego

Fot. Łukasz Szelag/Kondrat-Media

Reklama | 63/1022/F

eprasa.pl d585177f9f

Fot. Łukasz Szelag / Kondrat-Media, mat. prasowe

Ze Sławomirem Grzymkowskim, odtwórcą roli kard. Stefana Wyszyńskiego w filmie Michała Kondrata „Prorok", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak rozumieć tytuł „Prorok"?

Sławomir Grzymowski: Najprostsza interpretacja nawiązuje do kryptonimu akcji tajnych służb PRL prowadzonej przeciwko kard. Stefanowi Wyszyńskiemu. Kolejne dają możliwość znacznie szerszego odczytania...

Ciekawe, co zainspirowało esbeków do wymyślenia takiego kryptonimu?

Można powiedzieć, że obrócił się on przeciwko nim. Kard. Wyszyński był człowiekiem niezwykle przenikliwym i – jak się z czasem okazało – celnie przewidującym, do czego mogą doprowadzić różne zdarzenia i trendy – polityczne, społeczne, gospodarcze. W tej rozległej perspektywie nadchodzących zmian widział przyszłość związaną z losem Kościoła i rolą polskich księży w historii Europy czy nawet świata. Jego wizja ziściła się także za sprawą wyboru na Stolicę Apostolską kard. Karola Wojtyły. To, że Polak został papieżem, otworzyło nam drogę do wolności i siłę, by walczyć skutecznie i bardziej konsekwentnie z komunizmem. Nie jestem historykiem, nie udało mi się przeczytać i obejrzeć tak wielu materiałów na temat prymasa tysiąclecia, by być ekspertem, ale to, do czego dotarłem, pozwala na stwierdzenie, że kard. Wyszyński był człowiekiem, który nie zatrzymywał się na teraźniejszości. Nie wracał do przeszłości. Patrzył w przyszłość, skupiając się na misji, którą miał do spełnienia. Umiał też dostrzec potencjał w młodszym pokoleniu księży. Tak, jak w Karolu Wojtyle, w którym zobaczył kogoś, kogo trzeba wspierać w drodze do Rzymu. Jego wizja była jasna i – jak wiemy – spełniła się.

W jakim okresie życia poznajemy bohatera?

Kard. Wyszyński wraca z Komańczy – z klasztoru nazaretanek – gdzie do 28 października 1956 r. był internowany.

Ile ma lat? Jest pan jego rówolatkiem?

Ma lat 55. Ja w tym roku skończyłem 54, ale trudno byłoby porównywać swoje doświadczenia z przeżyciami prymasa związanymi z wojną i pracą dla Kościoła.

W jakim momencie przygotowań do roli pomyślał pan: zaczynam rozumieć swojego bohatera?

Kiedy uświadomiłem sobie, jak ważną postacią był w politycznym wymiarze. Zastanawiałem się, jaką czuł na sobie presję, ale też odpowiedzialność – nie za pojedynczego człowieka, nawet nie za siebie, ale – jakby to nie zabrzmiało górnolotnie – za cały naród. Moment, w którym zrozumiałem, że trzeba być naprawdę wielką postacią, by stanąć samotnie naprzeciw całego aparatu partyjnego, służb specjalnych, Moskwy, żeby powiedzieć: „Stop! Chcę zawalczyć o Polaków, o Polskę. Chcę zawalczyć o polski Kościół". Musimy mieć świadomość, że były to czasy, kiedy organizowano pokazowe procesy – także księży i ludzi związanych z Kościołem. Na dobrą sprawę w każdej chwili kard. Wyszyński mógł „zniknąć" i jego losy pozostałyby nieznane. I on się tego nie przestraszył, a po trwającym trzy lata internowaniu [od 26 września 1953 r. do 28 października 1956 r. – przyp. red.] nie poddał się.

Jego praca, postawa przynosiły efekty?

Oczywiście. Miał też wizję tego, w jaki sposób doprowadzić do obchodów milenijnych w Polsce. I co to może oznaczać dla Polaków. Bo doświadczenie wojny – dużo o tym myślałem – w 1956 r. nadal było obecne. Polska znajdowała się w stanie rozbicia, traumy i zagubienia. I były tylko dwie drogi. Ta, którą proponowali komuniści, prowadziła do pewnego rodzaju degradacji – i w myśleniu, i budowaniu społeczeństwa, pozostawiała w jakiejś pustce. Można też było iść za głosem kard. Wyszyńskiego, poszukując głębszego sensu. Kiedy uświadomiłem sobie, że to był moment decydujący, kluczowy, postać prymasa stała się dla mnie – i jako człowieka, i aktora – jeszcze ważniejsza. Zobaczyłem kogoś, o kim warto, także dziś, opowiadać.

Decyzje podejmowane przez kard. Wyszyńskiego nie zawsze miały pełne poparcie Kościoła?

Można nawet powiedzieć, że niektóre były odbierane jako kontrowersyjne. Prymas miał oponentów także w środowiskach katolickich, które sprzeciwiały się dialogowi z komunistami, bo jednak był to dialog, którego on się podjął. I tu wracamy do tytułu filmu. Mam wrażenie, że kard. Wyszyński zdawał sobie sprawę z tego,

eprasa.pl d585177f9f

że jeżeli nie zawalczy, jeżeli się ugnie, to może się to skończyć tak jak na Węgrzech czy w Czechosłowacji – na zmarginalizowaniu roli Kościoła i duchownych w życiu społecznym, na laicyzacji społeczeństwa. Wiedział, że nie może na to pozwolić.

Ponoć Ryszarda Hanin, opiekunka pana rocznika w warszawskiej PWST, dużą wagę przywiązywała do precyzyjnego, niespiesznego wchodzenia w graną postać. Która ze scen okazała się dla pana kluczowa?

Pamiętam nocne zdjęcia na Jasnej Górze, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej. Kręciliśmy scenę, w której w przeddzień obchodów milenijnych prymas modli się przed cudownym obrazem. W kaplicy byłem sam, ekipa znajdująca się właściwie na zewnątrz, realizowała bardzo długie ujęcie. Uświadomiłem sobie wtedy, że nie miałbym szansy znaleźć się w tym niezwykłym miejscu, w takiej sytuacji, gdyby nie film. To było też mocne duchowe doświadczenie. Wcześniej najważniejszy wydawał mi się wątek politycznej rozgrywki. W czasie tamtych scen miałem poczucie, że nie opowiadamy tylko o księdzu, ale o kimś więcej.

O kim?

Jestem z pokolenia, w którym szukało się autorytetów, ludzi, którym można było zaufać bezgranicznie, do których można się było odnieść. Mam wrażenie, że współczesne czasy zatarły nam te autorytety, a ludzie się zagubili. Myślę, że dla wielu Polaków, zwłaszcza z pokolenia starszego od mojego, prymas był autorytetem. Silnym człowiekiem, który nie dał się złamać. Szczególnie istotne i imponujące jest dla mnie to, że przez wszystkie lata inwigilacji i prowokacji, gdy znajdował się pod czujną obserwacją ponad 100-osobowego zespołu szukającego na niego haków, czegokolwiek, co mogłoby go skompromitować, nie dał szansy na znalezienie czegokolwiek. Nie wiem, czy dziś moglibyśmy znaleźć kogoś tak czystego i niezłomnego.

Ciekawe, jakby prymas Wyszyński odnalazł się we współczesnych realiach?

Przyznam, że wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Myślę, że byłby przygnębiony tym, w którą stronę się to potoczyło. Ale też próbowałby działać. Jego fenomen

polegał też na tym, że doskonale potrafił dyscyplinować ludzi wokół siebie, tłumaczył im, dlaczego czysta postawa jest tak istotna; że ktoś, kto ma być wzorcem dla innych, nie może mieć żadnej rysy. PRL-owskie służby, nie znajdując skazy u kard. Wyszyńskiego, dobierały się do ludzi z jego otoczenia. Szantażowano ich, przekupywano, łamano. Prymas miał tego świadomość, ale potrafił wybaczyć tym, którzy na niego donosili. Miał głębokie zrozumienie nawet dla takiej postawy. Nagrywaliśmy scenę – mam nadzieję, że weszła do filmu – w której jeden z jego bliskich współpracowników przyznał mu się do współpracy z tajnymi służbami. Prymas powiedział mu: „Dziękuję, że mi to powiedziałeś. Teraz jesteś wolny, bo już nie musisz się bać".

W filmie pojawiają się Gomułka i Cyrankiewicz. Grają ich Adam Ferency i Marcin Troński.

To prywatnie moi przyjaciele. Adam Ferency był moim wykładowcą w szkole teatralnej, wciąż pracujemy w Teatrze Dramatycznym. To mi bardzo ułatwiło przygotowanie do scen najtrudniejszych w filmie. I powiem pani dlaczego. Otóż reżyser bardzo pilnował, by w tej części dialogi były dosłownymi cytatami, czyli brzmiały tak, jak zostały zapisane w stenogramach. By były autentyczne w treści i formie. A nie jest proste, by się w taki język wgryźć, bo te zdania nie mają rytmu, napięcia, które buduje się w dialogach filmowych. W każdym razie rzetelność historyczna, której Michał Kondrat bardzo w tym filmie przestrzegał, jest wartością „Proroka".

Czy spotykał się pan z ludźmi, którzy pamiętali księdza prymasa?

Na planie zdarzało się nieraz, że podchodzili statyści, wspominali. Często słyszałem, że jestem bardzo podobny do kard. Wyszyńskiego. Rozmawialiśmy też z jedną z pań z Ósemek – grupy kobiet, która współpracowała z kardynałem (ich szefową była Maria Okońska). Dokumentowały życie i posługę kardynała, prowadziły archiwistyczną pracę, ale też rozpowszechniały jego teksty, w tym apel jasnogórski napisany w Komańczy. Udało im się wtedy dotrzeć do prymasa, namówiły go na napisanie tego apelu. Proszę pamiętać, że był to 1956 r. Dokument musiał zostać wywieziony, powielony i jak najszybciej rozprowadzony do wszystkich diecezji w Polsce. Nieprawdopodobne, ale im się to udało. Z jedną z członkiń Ósemek spotkaliśmy się w Instytucie Prymasa Tysiąclecia. Bardzo zależało mi, żeby poznać dzięki niej prymasa od prywatnej strony, dowiedzieć się, jakie miał przyzwyczajenia, co lubił, jak pracował.

Znamienne, że autorkami scenariusza są trzy panie: Katarzyna Bogucka, Joanna Dudek-Ławecka, Karolina Słyk. Przecież kobiety pełniły tak ważną rolę w bliskim otoczeniu kard. Wyszyńskiego.

Mnie to w ogóle nie zdziwiło. Trzeba pamiętać, jak bardzo prymas był związany ze swoją matką. Stracił ją jako dziecko, ale cały czas w jego życiu funkcjonowała. Myślę, że tak często zwracał się do Matki Bożej, że to, iż powołał ją na Królową Polski, w pewien sposób wiąże się z tym, jak bardzo potrzebował matczynej miłości. I tęsknił za nią. To moje intuicyjne odczytanie. Szukając postaci prymasa, tak po aktorsku, cały czas o tym myślałem. Mam nadzieję, że udało mi się przekazać w tej roli zarówno złożoność, wyjątkowość, jak i zwyczajność człowieka tak ważnego dla różnych pokoleń Polaków. Serdecznie zapraszam na film „Prorok". W kinach już od 11 listopada.

eprasa.pl d585177f9f

3 MIŁOŚCI

Chlew panie, nie salon

ROBERT TEKIELI

Deeskalacja zdrowego rozsądku. Świat, w którym stowarzyszenie byłych SS-manów potępia ustawę o IPN, a multikulti jest nawozem dżihadu. Chlew i ciemnogród, bezczelność bez granic.

We Francji budżet, jak oznajmiła pani premier, zostanie przyjęty bez głosowania w parlamencie ze względu na brak konsensusu w tej kwestii. Patrzę na postępowanie Unii Europejskiej wobec Polski i Włoch: jakie będą konsekwencje zaprzestania udawania przez zachodni establishment, że demokracja jest dla niego jakąkolwiek wartością?

A w Polsce. Salon? Chlew III RP! Język żuli, brak zasad, akceptacja prawa do przestępstwa u swoich. Rynsztokowa elita. Jakie są konsekwencje odwrócenia wektorów stratyfikacji społecznej?

W wyniku odrzucenia pojęcia grzechu i chrześcijańskiej antropologii pokolenie X – roczniki 1965–1980 – jest najbardziej poranionym przez aborcję pokoleniem w historii USA. Abortowano co trzeciego z jego potencjalnych członków, a połowa rodziców tych ludzi jest rozwiedziona lub w separacji. Sześć tygodni temu lokalna świątynia kościoła satanistycznego zaskarżyła w sądzie zakaz aborcji w stanie Indiana, ponieważ wprowadzenie prawa chroniącego życie dzieci w łonach matek „narusza wolność religijną jej członków zamieszkujących na terenie tego stanu". W Polsce między 1956 a 1993 r. zabito od 12 do 18 mln dzieci nienarodzonych. Ktoś myśli, że duchowe, społeczne i psychosomatyczne konsekwencje takiej zbrodni nie dotykają do dziś naszych narodów?

Świat pozbawiony rozumu, cywilizacja szaleńców. Na wiosnę 2023 r. w Berlinie otwarte zostanie pierwsze przedszkole LGBT+. Już teraz zapisanych do niego jest 60 dzieci. Nadzór nad placówką sprawuje dotowana przez niemieckie ministerstwo ds. rodziny organizacja Schwulenberatung Berlin zajmująca się poradnictwem gejowskim. Dyrektor Schwulenberatung Berlin Marcel de Groot powiedział prasie: „W przedszkolach należy zilustrować, jak to jest być gejem lub lesbijką". W zarządzie Schwulenberatung Berlin znajduje się Rüdiger Lautmann, aktywista działający na rzecz legalizacji pedofilii. Domaga się on usunięcia z niemieckiego kodeksu karnego paragrafu kryminalizującego seks z dziećmi. Jest autorem książki zatytułowanej „Przyjemność z dzieckiem". Do takiej skrajności – wcześniej abdykując – doprowadziła Zachód ideologia liberalna.

A na kim wzorują się dzisiaj dzieci? Popularny brytyjski youtuber Oli London chce być znów mężczyzną, po tym jak przeszedł 32 operacje, by być koreańską kobietą. W Polsce fanka rapera o pseudonimie Popek, która pięć lat temu poddała się zabiegowi wstrzyknięcia tuszu do gałek ocznych, by upodobnić się do swojego idola, straciła całkowicie wzrok, pracę i środki do życia. Zapowiada, że będzie walczyć o sprawiedliwość w sądzie. Ale to jeszcze nic, przez reprezentatywnych przedstawicieli najmłodszego pokolenia van Gogh został uznany za winnego produkcji spalin samochodowych, więc za 13 lat samochody spalające benzynę i ropę nie będą już w Europie produkowane. Rozsądek pokonany przez ideologię i pieniądz. Ciemnogród. Rewolucyjny establishment w miejsce elit.

Termin „ciemnogród" wymyślił i upowszechnił żyjący w latach 1812–1881 Polak Teodor Tripplin, doktor medycyny, podróżnik, pisarz, jeden z prekursorów literatury fantastycznonaukowej, powstaniec listopadowy, działacz emigracyjny, uczestnik walk niepodległościowych we Włoszech i w Serbii. Ten zapomniany polski Verne Ciemnogrodem nazywał, jak opisuje na swoim profilu społecznościowym Robert Kowalczyk: „ludzi ograniczonych, bez wiedzy, bardziej ufających modnym nowinkom naukowym niż Panu Bogu (miernych duszą choćby wydawali się wyżsi nauką), liczykrupów (lichwiarzy, bankierów), warszawskich przestrzegaczy wszelkich regulaminów i ukazów, tzw. zawistników z towarzystwa i tych, co zawsze wiedzą lepiej, ale nigdy nikomu nie pomogą z dobrego serca. Tych ostatnich pozbawiał w ogóle zdolności honorowej".

Teodor Tripplin opracował nowoczesne zasady higieny i wydał je po polsku, przyczyniając się do zmniejszenia śmiertelności na zakażenia, na suchoty i zatrucia. Był przez wiele lat najlepiej zarabiającym polskim pisarzem, ale mimo to, ocenzurowany przez warszawkę, został kompletnie zapomniany. Podobnie jak Feliks Koneczny, najwybitniejszy polski historiozof. Twórca naukowych prac o cywilizacjach, których precyzji pozazdrościłby Samuel Huntington, autor słynnego „Zderzenia cywilizacji", gdyby w ogóle Konecznego przeczytał.

Nie znamy wielkich, bo zostali zamilczeni. Literacką Nagrodę Nobla dostaje feministka głównie za opis swojej aborcji. Kogo są w stanie wychować elity Ciemnogrodu? „Mąż idzie na randkę. Ja też chodzę na randki. Ustaliliśmy granice naszego związku". Tak ze swego ciemnogrodzkiego piedestału deprawuje naród moherowych beretów witruwiańska „Gazeta Wyborcza". Chlew, panie, nie salon.

eprasa.pl d585177f9f

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „W zasłoniętych kotarą drzwiach, pod złotym szyldem z napisem: »Zakład pogrzebowy Paolo Peruginiego«, stał śniady, szpakowaty Włoch w żakiecie. Palił papierosa, czekając, aż ktoś umrze". Przywołanie tej frazy niezapomnianego Raymonda Chandlera nie ma umniejszyć przez porównanie kryminalnej prozie Donny Leon, o której dziś tutaj piszę. Wręcz przeciwnie. W kryminałach Leon rzeczywistość jest ważna, a świat Chandlera czy Hłaski, inteligenta udającego chuligana, nigdy nie istniał, będąc dekoracją, zatopioną w przezroczystej kuli chatką, którą oprószy śnieg, gdy odwrócimy ją do góry nogami. Świat kryminałów Donny Leon również jest konwencją, jednak otwartą na realną rzeczywistość. I nie znaczy to, że z jej książek dowiedziałem się czegoś więcej o naszym najpiękniejszym ze światów, nie. Ale o autorce i jej klasie społecznej już tak.

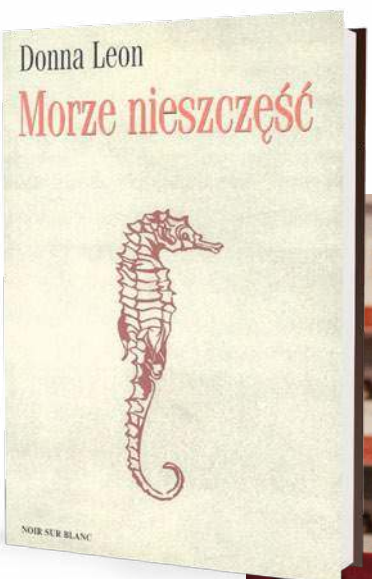

Seria pisanych od 1991 r. kryminałów Leon o pochodzącym z Wenecji komisarzu Brunettim odniosła międzynarodowy sukces. Blisko 30 wydawanych po angielsku książek amerykańskiej specjalistki od literatury pozwala jej wieść wygodne życie i sponsorować orkiestrę klasyczną. Po polsku ukazała się większość tomów, a ja zacząłem znajomość z komisarzem Guido od „Morza nieszczęść". Intryga jest tu przyzwoita, fraza też, równoległy wątek zakochiwania się detektywa w dwudziestoparoletniej koleżance z pracy poprowadzony subtelnie. Na plus można również zaliczyć zdolność do skrótowego budowania ryso- i psychopisu postaci drugoplanowych oraz konstrukcję figury głównego bohatera. Donnie Leon udało się wyjść poza stereotyp twardziela o miękkim sercu, udającego cynika swojego chłopa po przejściach. Komisarz Guido Brunetti jest inteligentem, prawnikiem, który zrezygnował z kariery akademickiej, pasjonatem historii starożytnej. „Człowiekiem przyziemnym, którego interesowało tylko to, co dzieje się tu i teraz, konkrety". Sprawowanie władzy było ostatnią rzeczą, na której mu zależało. „Sam zadowalał się szczęściem rodziny, przyzwoitym życiem, sumiennym wykonywaniem swojej pracy".

Jego żona zaś – podobnie jak Donna Leon – wykłada literaturę na uniwersytecie, jest miłośniczką Henry'ego Jamesa. I tu docieramy do głównego powodu mojego zainteresowania prozą Leon. Ciekawi mnie bowiem portret liberalnej elity, który jest odciśnięty w strukturach tych kryminałów. Kiedy Leon opisuje włoską chłopkę, wdowę ubraną w tradycyjny strój, porównuje ją do kobiety niskiego stanu z Boliwii. Jest w tym ton wyższości białego człowieka, który wreszcie widzi na własne oczy Aborygena. Żona głównego bohatera to córka arystokraty, członka elity rządzącej dotąd Włochami i zachodnim światem. Cóż, są autorzy, którym własna twórczość służy do poprawiania samopoczucia, ale niech dziecinne projekcje autorki nie przysłonią nam najważniejszego. Mamy tu bowiem portret człowieka witruwiańskiego, którego tak trudno mi zrozumieć. Pierwszy raz zobaczyłem go w postaci włoskiego oficera przerywającego dwa lata temu mszę św. w myśl przepisów antypandemicznych. Jego świat wewnętrzny nie zawierał pojęcia sacrum. Dokładnie tak samo jest u Leon. Tak pisze ona o żonie głównego bohatera: „Ponieważ wiara była jej równie obca jak związana z nią obrzędowość, nie miała nic, absolutnie nic, przeciwko religii i przyglądała się osobliwym sposobom jej praktykowania oczyma zdystansowanego antropologa".

Oto profil nowego człowieka. Sam komisarz Brunetti jeszcze nie dorasta do ideału, został wychowany przez wierzącą matkę i choć

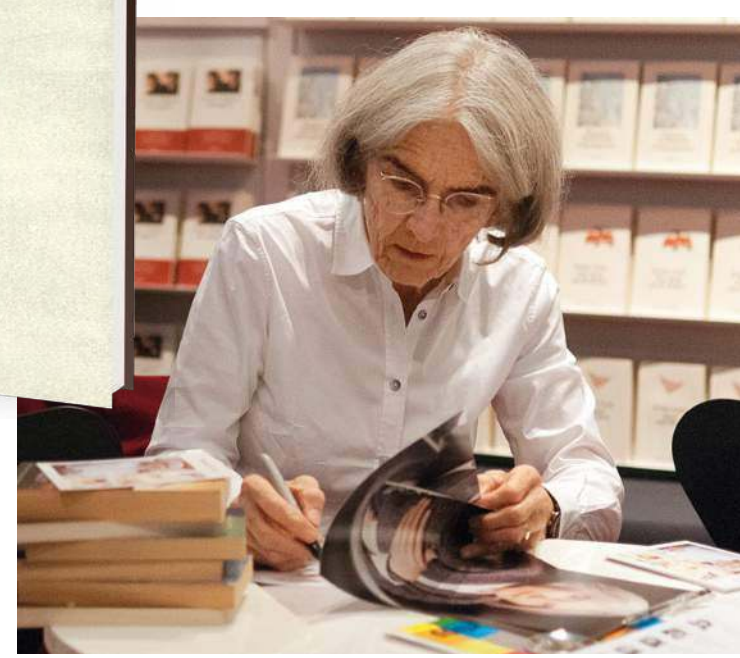

„przestał chodzić do kościoła na długo przed okresem dojrzewania, przechował pamięć wiary czy raczej własnego od niej odstępstwa". „Wiedział, że ma do religii stosunek niechętny, jeśli nie wrogi, i choć próbował z tym walczyć, nie mógł uwolnić się ani od niej, ani od poczucia winy". Jak powiedział arcybiskup Fulton Sheen: „Ateizm w dziewięciu przypadkach na dziesięć rodzi się z łona nieczystego sumienia. Niewiara rodzi się z grzechu, nie z rozumu". No i na koniec bardzo smutna konstatacja. Człowieka witruwiańskiego choćbym chciał, nie będę w stanie nawrócić. Nie da się zrobić tego słowem, jedynie przykładem.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

Czytanie jako sp

Udomawianie

Wojciech Stanisławski

Dla czytelników przerażonych kształtem współczesnego świata powieści Michela Houellebecqa coraz częściej są źródłem gorzkiej satysfakcji

Jak oceniać sytuację, gdy uznany autor w kolejnych dziełach sięga po te same rozwiązania, konflikty, techniki pisarskie? Dla jednych będzie to źródłem satysfakcji: oto twórca dopracował się swojego stylu, wyrazistego i niepowtarzalnego (choć podatnego na naśladowanie i parodiowanie, ergo – możliwego do podrobienia). Inni, bardziej spragnieni nowych wyzwań czy obrazów, będą reagować znużeniem: przecież to już było! Dylemat jest poważny, nie da się go zagadać cytatem sucharem o inżynierze Mamoniu, entuzjaście melodii, które już zna. Na ile powinniśmy oczekiwać od twórców sięgania po nowe tematy i wyzwania, na ile zaś potrzebujemy ich dzieł do wytłumaczenia świata wokół nas? Czy to dylemat autora, wydawcy czy czytelnika?

Pytania te pojawiają się przy najnowszej powieści Michaela Houellebecqa – okrzykniętego już i prorokiem, i klasykiem, i skandalistą – najbardziej rozpoznawalnego współczesnego pisarza francuskiego, od kilku lat żelaznego (i prawdopodobnie nigdy niespełnionego) kandydata do literackiej Nagrody Nobla. Wiadomo, że autor ceni sobie prowokację rozumianą nie tylko jako technikę marketingową czy zawody w opisaniu sytuacji wstrząsających czy gorszących, lecz jako gest dystansu. Wiadomo, że większość czytelników ma na jego temat wyrobione zdanie. I nie tylko czytelników: jego pisarstwo od lat jest przedmiotem rytualnej debaty publicznej we Francji i na świecie, przez lewicę jest solidarnie znienawidzony, prawica chciałaby go przytulić, ale się waha. Co gorsza, jego powieści docierają do nas z oczywistym, kilkumiesięcznym opóźnieniem: „Unicestwianie" w świetnym przekładzie Beaty Geppert pojawiło się w Polsce jesienią br., długo po paryskiej premierze.

I oto kolejna powieść, czytana w dodatku trochę w cieniu Nobla dla salonowej skandalistki (ale i rewolucjonistki literackiej) Annie Ernaux. Co można przewidzieć przed jej lekturą? Na pewno będzie to realistyczny, czyli gorzki, niebudujący obraz Francji (Europy Zachodniej), współczesnej czy w bliskiej przyszłości: zapaść demograficzna, bezrobocie, wydmuszki social mediów... Równie realistyczny będzie obraz życia politycznego: nawet jeśli nie kryzys gazowy i szantaż Kremla, to na pewno terroryzm, globalizacja, mordercze walki słabnących potęg europejskich o utrzymanie kęsa rynku i manipulacyjne techniki władzy. Na pewno pojawi się zdumiewająca w tym kontekście, a w każdej powieści wyraźniejsza, żarliwa, chociaż dyskretna pochwała urody prowincjonalnej Francji: widoków ziemi, łąk i winnic, łanów żarnowca, rzekłbyś – nerd cytuje Konopnicką.

Na pewno uderzająca okaże się kompetencja autora w dziedzinie którejś ze współczesnych technologii, które warunkują kształt naszej codzienności, są niezauważalnie wszechobecnymi „superbytami". Houellebecq wtajemniczał nas już mimochodem w genetykę, atomistykę, chemioterapię i zarządzanie, tym razem część intrygi będzie oparta na wiedzy o komputerowym modelowaniu obrazów, tych wszystkich piękniejszych-niż-w-rzeczywistości łanów traw i chmur ptaków, które pojawiają się w co drugiej reklamie. I jak zawsze najdotkliwsza (i najbardziej utrudniająca integralnym, a może tylko parafialnym tradycjonalistom usynowienie Houellebecqa, uznanie go bez reszty za swojego) będzie gorycz w postrzeganiu kondycji ludzkiej: za młodu człowiek jest bezradny wobec swoich pragnień i namiętności (z Erosem na czele, opisanym bez wzniosłości, z całą dosłownością i brutalnością pożądań). Gdy te zaczną słabnąć, pozostaje stygnięcie, odchodzenie, chłód: unicestwienie.

Może jeszcze jedno. Gdzieś na obrzeżach tego świata, który dogasa (czy tylko mnie ta optyka kojarzy się z ostatnią re-

Michel Houellebecq, „Unicestwianie", tłum. Beata Geppert, W.A.B., 2022

eprasa.pl d585177f9f

lacją podróżnika z „Wehikułu czasu" Wellsa?), obecne są grudki żaru: miłości wiernej i bezwarunkowej, miłości, która wszystko przetrzyma i we wszystkim pokłada nadzieję, obecnej nawet w obliczu choroby i poniżenia. Na szczęście dla literackiego poziomu powieści, na nieszczęście dla entuzjastów łatwych pocieszeń, widzimy tylko grudki, iskry, bez jasnej perspektywy dogasania lub rozpłomienienia żaru: gorejąc, nie wiesz, czy staniesz się wolny, czy to, co twoje, będzie zatracone.

Jeśli udało mi się nakreślić w trzech powyższych akapitach główne płaszczyzny „Unicestwienia" bez streszczania doświadczeń wysokiego rangą urzędnika Paula Raisona i jego rodziny, bez zdradzenia intrygi z udziałem ministra Brunona Juge i komika Benjamina Sarfatiego – tym lepiej. Bo tej opowieści razem z mistrzowsko niedomkniętym rebusem kryminalnym nie należy odbierać czytelnikowi, ciekawość losów Paula i Prudence, Cécile i Auréliena powinna go prowadzić przez tę powieść parabolą, dobiegającą końca późną, zaduszkową jesienią.

Znacznie bardziej istotny jest dla mnie dylemat krytyków i publicystów, osobliwy na szeroko pojętej prawicy: czy zdobędą się na uznanie wielkości Houellebecqa, z całą jego „nieprzysiadalnością", z niechęcią do uników, grzeczności i zasłon, z jednakowo dosłownym opisywaniem erekcji i agonii, impotencji i afazji? Czy też łaskawie zaoferują mu rolę zwiadowcy-diagnosty, pożytecznego obcego, który niczym Żyd karczmarz lub mieszkający na obrzeżach miasteczka kat para się zajęciami potrzebnymi, lecz zbyt kłopotliwymi dla lepiej urodzonych?

Mogą tak zrobić – i może zrobią tak, podobnie jak gotowi by się obrazić na „brutalny realizm" u Szekspira, Dostojewskieco, Céline'a, a kto wie, może i na kartach ksiąg Starego Testamentu? Niech zostaną ze swoją grzecznością. Dla mnie klasa francuskiego autora, który traktuje czytelników na tyle poważnie, by pozostawić ich w obliczu nieoczywistości, dylematów, tragizmu ludzkiego życia, z każdą jego książką staje się bardziej oczywista.

Mruczanka Wielkiego Niemowy

Literatura? No, nie bardzo. Ale przecież i nie prosty wykaz, książka telefoniczna czy wyciąg z akt, choć i taki materiał bywa bezcenny dla socjologa czy historyka. Literatura faktu? Też niekoniecznie. A jednak nie wyobrażam sobie osoby – niezależnie od tego, czy słucha Beaty Kozidrak, Dawida Podsiadły, czy jedynie motetów Willaerta – która wziąwszy do ręki „Narodowy spis zespołów", nie zaczęłaby go kartkować z mieszaniną (w różnych proporcjach) rozbawienia, ciekawości i niesmaku. Jeszcze strona, jeszcze dwie... Krakowski Kosma? Krwawe Stokrotki? Krzywy Zgryz? Z „Nardowym spisem..." jest jak z paczką chipsów: tam sięgasz do torby, tu do następnej strony. Czy to nie najkrótsza definicja bestselleru?

Aż tak bym się nie zapędzał – ale wydane przez Ha!Art zestawienie będzie pewnie często przeglądane w księgarniach. Nie wszystkie tytuły wydawane w „Linii konceptualnej" tego wydawnictwa są równie trafione, nawet jeśli niektóre cieszą się większym rozgłosem. Ale „Narodowy spis..." zestawiony przez dwóch badaczy kontrkultury jest jednym z tych okien na Polskę, które otwierają się nieoczekiwanie i ukazują nam to, co nieprzedstawione: nic dziwnego, że opublikowała go ta sama oficyna, której zawdzięczamy „Nie ma i nie będzie" Magdaleny Okraski.

„Narodowy spis..." to w najprostszym rozumieniu alfabetyczny wykaz zespołów muzycznych aktywnych w Polsce w latach 1975–2022 – zespołów definiujących się lub zdefiniowanych przez Tomasza Sikorę i Artura Sobielę jako alternatywne, od A po Żywiołaka.

Tomasz Sikora, Artur Sobiela, „Narodowy spis zespołów", Korporacja Ha!Art, 2022

Sikora i Sobiela zwracają oczywiście uwagę na współistnienie w tej książce różnych gatunków, od ska, punka i industrialu po całą paletę metalu, ze skrupulatnością badaczy tłumaczą się z uwzględnienia również zespołów neonazistowskich, ale dinozaury, które zatrzymały się na Kulcie i Kaczmarskim, doskonale obejdą się bez tych wtajemniczeń. Nie jest bowiem „Narodowy spis..." pracą muzykologiczną czy etnograficzną: to starannie zweryfikowany (mrówcza robota) wykaz blisko 14 tys. kapel, w których przypadku – co niesłychanie ważne – uwzględniono ich miejsce powstania. Nie zatem po prostu Brain Connect, Echo Wyżu Powojennego czy Sajgon, tylko Askalon (Ostrowiec Świętokrzyski), Deathroned (Zawiercie) i Regalizacja (Zgorzelec).

Oczywiście rasowy data miner wydobyłby pewnie z takiej bazy danych jeszcze więcej, zestawiając lokalizację, lata i gatunki, dochodząc do źródeł zdumiewającej popularności freak folku w Łomżyńskiem za Beaty Szydło, ale to byłaby już praca naukowa, ziew. „Narodowy spis zespołów" to czyste świadectwo, świadomie postny katalog – marzeń, grafomanii i inwencji językowej dwudziestolatków, którzy któregoś wieczora zaczynają stroić gitarę basową w Bogatyni, Ustrzykach albo Złotowie. To niesłyszany nigdy na prawych ani lewych salonach warszawskich głos Wielkiego Niemowy – czy może raczej jego mruknięcie. „Polska nieczłowiecza / wyjąca z nudy w grudniowe wieczory...", jakoś tak to szło, prawda?

eprasa.pl d585177f9f

Fot. Albert Zawada PAP

Prof. Piotr Gliński
Wiceprezes Rady Ministrów, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Szanowni Państwo!

Kultura buduje tożsamość. A tożsamość jest fundamentem wspólnoty. Jak ważne są to wartości, dobitnie świadczy przykład Ukrainy, która mimo zniewolenia i prób unicestwienia przez potężnego sąsiada, dzięki kulturze zachowała swoją tożsamość i od ponad ośmiu miesięcy toczy bohaterską wojnę o przetrwanie swojej wspólnoty, o niepodległość swojej ojczyzny.

Umiłowanie ojczyzny zaczyna się od zachwytu jej pięknem, przyrodą, architekturą, a także – historią, którą dzisiaj możemy poznawać dzięki bezpośrednim doświadczeniom – m.in. odwiedzając muzea. Polska sieć muzealna rozwija się w ostatnich latach bardzo dynamicznie, ale warto pamiętać, że są w niej muzea szczególne. Nie tylko dlatego, że mieszczą się w zamkach i pałacach, ale przede wszystkim dlatego, że przechowują pamiątki najcenniejsze dla naszej wspólnoty – materialne ślady naszej historii, pamiątki wielkich wydarzeń, wspomnienia władców Rzeczypospolitej, a wszystko to w otoczeniu niezwykłych i nieustająco wzbogacanych zbiorów sztuki.

To właśnie rezydencje królewskie, które od ponad dekady w listopadzie udostępniają znaczącą część swojej oferty nieodpłatnie. Darmowy Listopad to okazja nie tylko do zwiedzania wystaw stałych i czasowych, ale także do udziału w wielu spotkaniach edukacyjnych, wykładach, konferencjach, warsztatach i lekcjach muzealnych. Zachęcam do odwiedzania skarbów polskiego dziedzictwa.

prof. Piotr Gliński, Wiceprezes Rady Ministrów, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Łazienki Królewskie

Darmowy listopad w rezydencjach królewskich

Muzeum Łazienki Królewskie – w II połowie XVIII w. znajdowała się tutaj letnia rezydencja ostatniego króla Polski, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jej sercem był wzorowany na włoskich rozwiązaniach klasycystyczny Pałac na Wyspie, który miał symbolizować marzenie o państwie idealnym, nowoczesnym i suwerennym, a jego architektura i dekoracje symbolizują odbicie programu politycznego króla.

W listopadzie rezydencja króla Stanisława Augusta zaprasza do bezpłatnego zwiedzania wystaw stałych. Dorośli zainteresowani tematyką hippiczną będą mogli posłuchać opowieści o czasach, gdy konie należały do codziennego krajobrazu Warszawy. Dzieci i młodzież będą miały okazję wziąć udział w bezpłatnych lekcjach muzealnych: najmłodsi dowiedzą się, skąd pochodzi nazwa letniej siedziby ostatniego króla Polski, nieco starsi zmienią się w nadwornych artystów króla, młodzież pozna różne typy ogrodów oraz zasady kompozycji i złotego podziału.

Zamek Królewski na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki zaprasza w listopadzie do bezpłatnego zwiedzania wybranych wystaw stałych. Na szczególną uwagę zasługuje **nowy Skarbiec Koronny**. Wystawę zlokalizowano w 12 nowo zaaranżowanych salach. Skarbiec w nowej odsłonie zawiera precjoza z królewskich i książęcych skarbców, pamiątki po sławnych Polakach – monarchach, arystokratach i przywódcach – a także oznaki wysokich dystynkcji, dary dyplomatyczne i trofea. Kolekcja klejnotów oraz wytwarzanych na specjalne zamówienia od XV do XVIII w. naczyń paradnych ze srebra i złota składa się na jeden z najważniejszych zbiorów kosztowności w Polsce. Na ekspozycji można oglądać także najcenniejszą polską pamiątkę historyczną – Szczerbiec, który był świadkiem niemal wszystkich koronacji królów polskich od Władysława Łokietka (1320) do Stanisława Augusta (1764).

Zamek Królewski na Wawelu – wystawa Skarbiec Koronny

Fot. Anna Stankiewicz

Pałac Króla Jana III w Wilanowie

Fot. Volatus Media

Zespół zamkowy wybudowany w Malborku przez Zakon Krzyżaków, przeszedł w polskie władanie w czasie wojny 13-letniej, w 1457 r. W tym czasie Zamek Wysoki został przeobrażony z klasztoru w gospodarcze zaplecze twierdzy. Przechowywano tu smołę, sól, piwo, chmiel i inne produkty żywnościowe. Załoga wojskowa i kadra urzędnicza mieszkała na Zamku Średnim. Na początku XVII w. niektóre z pomieszczeń zaadaptowano na apartamenty królewskie Zygmunta III Wazy. Zamek bardzo mocno ucierpiał w czasie II wojny światowej. Obecnie w ogólnej liczbie ponad 40 tys. muzealiów mieszczą się tak cenne zbiory, jak np. unikatowy w skali światowej zbiór artystycznych wyrobów z bursztynu.

W listopadzie **Muzeum Zamkowe w Malborku** proponuje zwiedzanie Zamku na podstawie bezpłatnych biletów wstępu. **Na bezpłatne zwiedzanie i wydarzenia zapraszają także Oddziały Muzeum Zamkowego w Malborku – Zamek w Sztumie i Zamek w Kwidzynie**.

Fot. Paweł Czarnecki

Muzeum Zamkowe w Sandomierzu – wystawa Krzemień pasiasty

Fot. Marek Banaszek

Muzeum Zamkowe w Sandomierzu zachęca do odwiedzenia w listopadzie za darmo nowej wystawy stałej „Zamkowa galeria sztuki XVIII–XX w." oraz wystawy czasowej „Chotyniec – wrota do antycznej Scytii". Dzieci, młodzież i dorośli mogą skorzystać z warsztatów towarzyszących nowym wystawom. Ponadto w listopadzie zamek udostępni zwiedzającym słynną wystawę krzemienia pasiastego. To jedyne miejsce w Polsce i na świecie, gdzie można podziwiać kolekcję krzemienia pasiastego w biżuterii i małych formach złotniczych oraz podziwiać niezwykłe szachy sandomierskie – niemal kompletny zestaw odnaleziony w Sandomierzu, datowany na XII–XIII w.

Dobrze wykształcony, obyty w świecie i władający obcymi językami król Jan III – założyciel **pałacu w Wilanowie** – był znawcą nie tylko wojennego rzemiosła, ale także sztuk pięknych i wszelkich nauk. Zasłynął jako mecenas wybitnych malarzy, m.in. Jana Reisnera i Jerzego Szymonowicza Siemiginowskiego, promotor podręcznika gospodarowania Jakuba Haura, opiekun astronoma Jana Heweliusza i matematyka Adama Kochańskiego. Znane jest zamiłowanie króla Jana do ksiąg (czytał codziennie, nawet podczas wypraw wojennych) i jego talenty literackie, których ślad odnajdujemy w zachowanych listach do żony, Marii Kazimiery. Ogrodnicze pasje króla Jana III to jedna z najbardziej niezwykłych twarzy króla. Wiemy, że sprowadzał do Wilanowa szczepki rzadkich roślin egzotycznych, w tym cytrusów, a może nawet sam sadził drzewa w wilanowskim parku.

W listopadzie **Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie** zaprasza do bezpłatnego zwiedzania pałacu i parku, muzeum oferuje też ponad 130 bezpłatnych zajęć edukacyjnych dla grup szkolnych.

Zamek Królewski w Poznaniu – obecnie siedziba **Muzeum Sztuk Użytkowych – Oddziału Muzeum Narodowego w Poznaniu** – zaprasza w listopadzie do bezpłatnego zwiedzania wszystkich wystaw oraz uczestnictwa w bezpłatnych pokazach i wykładach. **W listopadzie na Zamku Królewskim w Poznaniu można bezpłatnie zwiedzać wystawę sreber Funduszu Obrony Narodowej**. FON, utworzony dekretem Prezydenta RP z 9 kwietnia 1936 r., miał za zadanie pozyskać drogą składki społecznej dodatkowe środki na dozbrojenie armii w obliczu zagrożenia bytu państwa przez hitlerowskie Niemcy. Polacy niezwykle ofiarnie zasilili go zarówno gotówką, jak i cennymi przedmiotami.

Muzeum Narodowe w Lublinie zaprasza w listopadzie do udziału w bezpłatnych warsztatach rodzinnych i spotkaniach dla dorosłych. Farby, pędzel, pleksi i dobre chęci wystarczą, by wykonać kolorowy witraż podczas warsztatów rodzinnych. W ramach akcji „Darmowy listopad w rezydencjach królewskich" dorośli będą mogli posłuchać opowieści o historii zamku lubelskiego i kaplicy Trójcy Świętej, miejscu spotkania dwóch wielkich kultur – bizantyjskiego Wschodu i łacińskiego Zachodu. Dla szkół muzeum przygotowało bezpłatne warsztaty i lekcje muzealne: „Jagiellonowie w Lublinie" czy „Unia Lubelska". W wybrane dni listopada zamek zaprasza do zwiedzania wystaw stałych.

Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka zaprasza w listopadzie do zwiedzania Zamku Żupnego – historycznej siedziby administracyjnej przedsiębiorstwa solnego, które funkcjonowało tu od końca XIII w. do 1945 r. Zamek w przeszłości był własnością królewską.

Bezpłatny wstęp obejmuje ekspozycje w zamku. Szczególnie wartą uwagi jest wystawa „Solniczki – małe arcydzieła sztuki" z obiektami światowej klasy. Wielicka kolekcja naczyń na sól jest zaliczana do najcenniejszych na świecie. Eksponaty pochodzą prawie z wszystkich kontynentów, zostały wykonane w znanych warsztatach złotniczych i wytwórniach porcelany. W przeszłości solniczki świadczyły o statusie i zamożności właściciela. Na stole stały przed najważniejszą osobą, wyznaczając dla niej miejsce.

Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum. Rezydencja Królów i Rzeczypospolitej zaprasza w listopadzie do Pałacu pod Blachą, gdzie można bezpłatnie zwiedzać Apartamenty Księcia Józefa Poniatowskiego oraz wystawę „Jan Piotr Norblin. Sentymentalny reporter". Ponadto w wybranych godzinach można również nieodpłatnie zwiedzać zamkowe wystawy stałe.

Akcja „Darmowy listopad w rezydencjach królewskich" jest realizowana dzięki dofinansowaniu przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Szczegółowy program akcji jest dostępny na stronie internetowej https://www.gov.pl/web/kultura/rezydencje.

MKiDN

ZESKANUJ MNIE

Materiał powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 2/1122/F

eprasa.pl d585177f9f

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Apollo z Bellac" – poezja o pochlebstwie

TVP postanowiła uczcić 70-lecie siebie samej powrotem na moment do starej konwencji Teatru Telewizji. W 1958 r. Adam Hanuszkiewicz wyreżyserował „Apolla z Bellac" Jeana Giraudoux. Było to przedstawienie nagrywane na żywo, jedno z pierwszych zachowanych. Zalicza się je do złotej setki Teatru Telewizji. Teraz wróciła do tej sztuki Anna Wieczur. Zrealizowała je w ten sam sposób. Aktorzy grali jednym ciągiem do siedmiu kamer, a myśmy oglądali w tym samym czasie. Jak w teatrze.

Tamto zdarzenie jest pamiętne i dla mnie, choć załapałem się na „Apolla" przy okazji powtórki. Wydało mi się popisem perfekcji. Trudno zapomnieć Kalinę Jędrusik (Agnieszka), Jacka Woszczerowicza (Dyrektor) i samego Hanuszkiewicza (Apollo z Bellac) bawiących się typowo francuskimi paradoksami i poetyckimi smaczkami. Zarazem sztuka przyciągała mnie i drażniła. Czy to pochwała pochlebstwa, hipokryzji? – pytałem sam siebie. A może ten sceniczny żart, to po prostu popis francuskiej sofistyki.

Onieśmielona wielkim światem, szukająca posady Agnieszka za radą tajemniczego pana z Bellac mówi wszystkim napotkanym w ponurym urzędzie facetom, że są piękni. Wprawiając ich w euforię, ale i torując sobie drogę. Czy to znaczy, że kadzenie facetom jest zadaniem kobiet? Na Facebooku spotkałem się z typową dla dzisiejszej gorączki opinią, że to sztuka seksistowska. A przecież można też spojrzeć odwrotnie. Może to drwina z próżności męskiej? Może to my nie umiemy się oprzeć najprostszej manipulacji?

A może to i o tym, że warto człowieka dźwigać do góry, bo wszyscy w istocie zasługujemy na bycie pięknymi? Tylko dlaczego ta zasada ma dotyczyć jednej płci? Jest jeszcze finał. Agnieszka osiąga iluzoryczny sukces, ale przecież nie szczęście. Ono być może wiązałoby się z postawieniem na prawdziwego pięknisia Apolla. Ale on, autor całej intrygi, jest skazany na zniknięcie. Czy to więc o tym, że prawdziwe szczęście niesione przez prawdziwe piękno jest nieosiągalne? Co jednak w zamian? Prozaiczny realizm?

Kiedy zasiadałem do wersji Anny Wieczur, byłem pewien, że ona to poda w sposób dla mnie najbardziej strawny. Uwielbiam jej inscenizacje, ona zawsze zmienia prozę w poezję i stawia na niejednoznaczność. Nie zawiodłem się i tym razem. Ta przypowiastka filozoficzna w jej wersji mnoży pytania i zmusza nas do zajrzenia w siebie. Że wciąż błaha? Nie aż tak, jak mi się zdawało kiedyś.

Przemysław Stippa jako Apollo w białym garniturze jest atrakcyjny, ale też inaczej niż Hanuszkiewicz dworuje sobie z własnej postaci niezwykle sugestywnie. Czyniąc wymowę jeszcze bardziej obrotową. To duża kreacja. Monika Pikuła jest inną Agnieszką niż zmysłowa nawet w swojej dziewczęcej wersji Kalina Jędrusik. Zwyczajną, wciąż zagubioną, uwalnianą w ten sposób od zarzutu obłudnej gry. Jarosław Gajewski, „ładniejszy" od Woszczerowicza, każe nam współczuć utwierdzanemu w poczuciu własnej brzydoty Dyrektorowi, ale dba, byśmy nie zapomnieli o ewentualnej, bardziej „antymęskiej" wymowie. No i drugi plan: Robert Majewski (Sekretarz Generalny), Sławomir Orzechowski (Woźny), Anna Sroka-Hryń (antypatyczna narzeczona Dyrektora). Dzięki nim groteska zmienia się nagle w liryzm i równie szybko zawraca ku ludzkiej śmieszności.

To spektakl starannie przyrządzony. Muzyka Ignacego Zalewskiego, jak on sam napisał, „rozpięta między Brelem, Debussym, Poulenkiem i Wagnerem", pointuje sceny i buduje klimat. Scenografia Katarzyny Adamczyk zamyka nas w przestrzeni posągowego urzędu, ale z prześwitami ku innej, przeczuwanej rzeczywistości. Warto się czasem zadumać i nad takimi fantazjami. Nawet jeśli są retro i bardzo francuskie.

Piotr Zaremba

Skąd te ceny energii? Rosja na energetycznej wojnie

Rosja, atakując Ukrainę, poszła na wojnę nie tylko z tym państwem, lecz też – na polu energetycznym – z całą Europą. Skutki działań Kremla odczuwa cały świat. Polski rząd i kluczowe dla energetyki spółki skarbu państwa podejmują skuteczne działania na rzecz ochrony Polaków przed skutkami rosyjskiej agresji

Internet i media od dłuższego już czasu straszą nas wizją surowej zimy, podczas której będziemy zamarzać we własnych domach, nie mogąc ogrzać ich z powodu wysokich cen energii i gazu. Z jakichś przyczyn bardzo często jako winowajcę wskazuje się... polski rząd! Trudno doprawdy znaleźć coś odleglejszego od prawdy. W istocie wysokie ceny energii mają swoje źródła gdzie indziej, a rząd i krajowe spółki podejmują skuteczne działania na rzecz tego, by Polacy nie przepłacali za energię.

Co więc realnie ma wpływ na ceny? Przede wszystkim agresywna polityka Kremla, której efektem jest wojna na Ukrainie. Ale nie tylko, bowiem irracjonalna polityka klimatyczna UE i rosnące koszty zakupu uprawnień do emisji CO_2 (EUA) w systemie EU ETS.

ROSJA WYPOWIADA ENERGETYCZNĄ WOJNĘ

Rosja, będąc największym na świecie dysponentem gazu ziemnego i zarazem jego eksporterem, już wcześniej wykorzystywała błękitne paliwo jako formę nacisku czy szantażu. Teraz jednak, po tym jak świat zachodni zjednoczył się w potępieniu dla jej agresywnych działań, Rosja drastycznie przykręciła kurek, choć należy zaznaczyć, że zmniejszanie dostaw odbywało się już wcześniej – choćby w 2021 r. Rosja wykorzystywała bowiem uzależnienie Europy Zachodniej od jej gazu. Gdy polski rząd podejmował działania na rzecz uniezależnienia się (jak choćby zakupy gazu skroplonego z USA czy rurociąg Baltic Pipe), państwa Unii Europejskiej na potęgę uzależniały się od Rosji... i dziś odczuwają tego skutki. Zresztą, by nie być gołosłownym, warto przywołać tu słowa... byłego prezydenta Rosji Dmitrija Miedwiediewa. Ten bliski współpracownik Putina i wiceszef rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa, jeden z liderów kremlowskiej progandy, wprost przyznawał: „Witamy w nowym wspaniałym świecie, w którym Europejczycy już niedługo będą płacić 2 tys. euro za 1 tys. m^3 gazu ziemnego!". Jednocześnie jednak Polacy są zalewani fake newsami dotyczącymi prawdziwych przyczyn obecnej sytuacji, co ma wywoływać poczucie zagrożenia i być może niepokoje społeczne.

REALNA POMOC RZĄDOWA DLA POLAKÓW

Wbrew fake newsom z Rosji spółki energetyczne mają bardzo ograniczony wpływ na politykę cenową. Rząd także nie posiada instrumentów, które miałyby w jakikolwiek sposób podnosić drastycznie te ceny... ale może oraz pomaga je zmniejszać!

Takie działania już są podejmowane i nie chodzi tu tylko o wielkie inwestycje uniezależniające nas od Rosji. Polski rząd jako pierwszy w UE zaapelował o zawieszenie systemu handlu emisjami – to istotne, biorąc pod uwagę, że istotna część cen energii to koszt zakupu uprawnień do emisji CO_2.

Baltic Pipe czy zakupy gazu LNG od USA to tylko część działań. Rząd kreuje też programy adresowane do zwykłych obywateli. Inicjatywy Mój Prąd i Czyste Powietrze oferują wsparcie na wymianę pieców czy instalację fotowoltaiki. W ostatnim czasie wdrożono też dodatek węglowy, tarczę antyinflacyjną, która skutecznie obniża stawki VAT czy akcyzę na energię lub tarczę solidarnościową

Paweł Majewski, prezes Enea

– ta ostatnia zamraża ceny energii na poziomie z 2022 r. Nie tylko zwyczajne polskie rodziny skorzystają na pomocy, ale też m.in. samorządy, szpitale i szkoły lub przedsiębiorstwa prywatne.

Warto też zwrócić uwagę na działania mające na celu walkę z dezinformacją, choćby kampanię PKEE „Walczymy o polską niezależność", punktującą kremlowskie kłamstwa i pokazującą realny obraz sytuacji. – Polskie spółki energetyczne pracują intensywnie nad gwarantowaniem Polakom stabilnych dostaw energii, zabezpieczają surowce i nie ma dziś powodów do obaw co do naszego systemu energetycznego – wskazuje Paweł Majewski, prezes Enei, dodając: – Wprowadzane przez polski rząd regulacje i zmiany prawne pozwolą spółkom energetycznym oferować niższe ceny za prąd. Samorządy, szpitale czy szkoły będą płacić za energię na poziomie zbliżonym do tego sprzed wojny. Jednocześnie ogromnym wparciem dla Polaków będzie tarcza solidarnościowa i dopłaty do zakupu surowców. To jest realna pomoc dla polskich rodzin. A my robimy wszystko, aby zapewnić im bezpieczeństwo energetyczne.

Arkady Saulski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 26/1022/F

eprasa.pl d585177f9f

System kaucyjny

obrał słuszny kierunek, ale brakuje szybkiej ścieżki legislacyjnej

Nowe założenia projektu ustawy wdrażającej system kaucyjny w gospodarce odpadami przedstawił 5 października br. Jacek Ozdoba, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, podczas posiedzenia sejmowej Komisji Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej.

– Nasza propozycja obejmuje butelki z tworzywa sztucznego o pojemności do 3 l, butelki szklane wielokrotnego użytku na napoje o pojemności do 1,5 l oraz puszki aluminiowe o pojemności do 1 l – mówił wiceminister. Jak wyjaśniał dalej, system ten będzie obowiązujący dla sklepów o powierzchni od 200 m². Dla sklepów o mniejszej powierzchni będzie dobrowolny. Ostateczna wysokość kaucji na poszczególne rodzaje opakowań znajdzie się w rozporządzeniu ministerstwa. Przewiduje się, że jej maksymalna wysokość wyniesie 2 zł.

Nowy projekt ustawy wdrażającej system kaucyjny zmierza do ustanowienia dobrego rozwiązania. Teraz ważne jest pilne przyjęcie tych przepisów przez Sejm i Senat – taki wniosek można wyciągnąć, przysłuchując się opiniom polskich producentów opakowań i przedstawicieli handlu

Wiceminister Jacek Ozdoba przedstawił też mapę drogową wdrożenia projektu ustawy. – Zakładamy, że przyjęlibyśmy rozwiązania systemu kaucyjnego do końca roku. Od 1 stycznia mielibyśmy wtedy okres *vacatio legis*, który trwałby do 2025 r. Od 2025 r. funkcjonowałby dobrowolny – chociaż motywowany – system kaucyjny – mówił. Stwierdził jednak, że resort nie zdecydował się na postulat branży spożywczej i handlowej, by wprowadzić jednego operatora systemu, argumentując to konstytucyjną zasadą swobody prowadzenia działalności gospodarczej.

GŁOS PRZEDSIĘBIORCÓW WYSŁUCHANY

Przedsiębiorcy i eksperci uznali nowy projekt ustawy za krok w dobrym kierunku i chwalili resort za wsłuchiwanie się w ich argumentację. „Dołożono starań, aby nowe zapisy jak najbardziej pasowały do uwarunkowań polskiego rynku" – komentował Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności dla portalspozywczy.pl.

„Projekt ustawy [...] dowodzi, że Ministerstwo Klimatu i Środowiska otworzyło się na argumenty polskich przedsiębiorców. Projekt ten jest dobrym punktem wyjścia do dalszych prac nad ustawą" – stwierdzili eksperci Instytutu Staszica w swoim stanowisku poświęconym systemowi kaucyjnemu.

„Ministerstwo Klimatu i Środowiska, które było autorem projektu i podjęło trud analizy wielu uwag, należy pochwalić za słuszną decyzję o wyłączeniu z systemu kaucyjnego szklanych butelek jednorazowych" – napisał Damian Kuraś, dyrektor Instytutu ESG, na portalu raportcsr.pl.

Rzeczywiście, ministerstwo zgodziło się z argumentacjami rynku i nie włączyło butelek szklanych jednorazowych do systemu kaucyjnego, co pozwoli większej liczbie placówek handlowych dołączyć do systemu, a np. samorządom zachować dostęp do cennych surowców.

SZKLANY RECYKLING W POLSCE I W EUROPIE

Jednym z postulatów branży było objęcie systemem kaucyjnym wyłącznie opakowań z tworzyw sztucznych, czyli PET, których w Polsce odzyskuje się najmniej. Eksperci wyliczali przy okazji, że w Europie tylko 3,1 proc. szkła jest objęte systemami kaucyjnymi. Co więcej, w krajach europejskich, w których są osiągane najwyższe poziomy recyklingu szkła, nie zostały wprowadzone systemy kaucyjne dla tego surowca. Np. w Szwecji recykling szkła jest na poziomie 99 proc., Norwegii i Belgii – 98 proc., Włoch – 87 proc., Hiszpanii – 80 proc. a w Bułgarii – 78 proc.

Na plus oceniono, że opakowania szklane jednorazowe mają być pozyskiwane jak do tej pory – systemem gminnym (przez zbiórkę odpadów komunalnych przy użyciu kontenerów na surowce). Już dziś notuje się wysoki (ok. 70-proc.) udział zbiórki szkła jednorazowego w systemach gminnych. Przy czym z badań Instytutu Badań Pollster wynika,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

że prawie 90 proc. Polaków deklaruje segregowanie szkła w ramach zbiórki gminnej. Obecne systemy zbiórek (przez gminy i przez producentów) powinny być w opinii branży kontynuowane i rozwijane.

OPÓŹNIENIE, KTÓRE MOŻE SŁONO KOSZTOWAĆ

Przedsiębiorcy i eksperci ogólnie wskazują, że system kaucyjny umożliwi wywiązanie się przez Polskę z obowiązków wynikających z unijnej regulacji, tzw. dyrektywy plastikowej Single Use Plastic Products (SUP), która zobowiązuje państwa członkowskie UE do zebrania do 2025 r. minimum 77 proc. butelek z tworzyw sztucznych, wprowadzonych do obiegu po 2024 r., a w 2029 r. do 90 proc. (obecnie zbiera się 50 proc. butelek PET). Żeby uniknąć kar finansowych wymierzonych przez Komisję Europejską, konieczne jest szybkie przyjęcie przez polski parlament ustawy o systemie kaucyjnym.

Także eksperci Instytutu Staszica utrzymują, że Polska potrzebuje jak najszybszego uchwalenia rozsądnych rozwiązań w obszarze gospodarowania opakowaniami wielokrotnego użytku. Przypominają, że dzień po ogłoszeniu założeń projektu ustawy o systemie kaucyjnym, 29 września, Komisja Europejska podjęła kroki prawne przeciwko 11 państwom członkowskim UE (w tym Polsce, a także Belgii, Francji, Finlandii i Portugalii) za niewdrożenie SUP. „Szybkie wprowadzenie systemu kaucyjnego – z naciskiem na opakowania plastikowe – leży zatem w interesie Polski. Odwrotnie, odkładanie pracy nad przepisami na bliżej nieokreśloną przyszłość naraża nasz kraj na konkretne kary" – podkreślają eksperci.

NOT FOR PROFIT JEST ZGODNE Z KONSTYTUCJĄ

Zastrzeżenie do nowego projektu ustawy dotyczy kwestii operatora systemu. Zdaniem branży i ekspertów operator systemu powinien być jeden i działać w formie spółki not for profit, powołanej przez producentów lub producentów i detalistów (not for profit – pojęcie z ekonomii społecznej, dotyczące działalności o celach głównie społecznych, w ramach której zyski nie podlegają podziałowi, lecz są przeznaczane na te cele lub na rzecz wspólnoty – w przeciwieństwie do zwykłych przedsiębiorstw, gdzie celem jest maksymalizacja zysku i zwiększenie dochodu właścicieli). Taki jeden operator systemu powinien być właścicielem materiału uzyskanego ze zwróconych opakowań i zapewnić producentom dostęp do zakupu rPET (poliestru z recyklingu), by producenci w kraju nie byli zmuszeni ściągać go z zagranicy.

Argumentacja, że powołanie jednego operatora byłoby sprzeczne z konstytucyjną zasadą swobody działalności gospodarczej, w ocenie Instytutu Staszica jest chybiona. „Nie chodzi tu przecież o wskazanie jednego podmiotu, który będzie obracał zebranymi opakowaniami w celu zarobkowym, ale o podmiot, którego formuła działania wykluczy, mówiąc kolokwialnie, robienie biznesu na recyklacie. Ten punkt powinien stać się przedmiotem dyskusji podczas prac w parlamencie" – ocenili eksperci.

KTO ZAPŁACIŁBY ZA POSTULATY EKOLOGÓW

Rozczarowania nie kryją za to środowiska ekologów, które – powołując się na systemy kaucyjne Łotwy, Estonii, Litwy czy Niemiec – postulowały objęcie systemem kaucyjnym wszystkich rodzajów opakowań, w tym butelek plastikowych, szklanych (jednorazowego i wielokrotnego użytku) i puszek aluminiowych. Według nich najczęstszymi formami zanieczyszczenia środowiska odpadami jest zaśmiecanie go opakowaniami, szczególnie więc negatywnie oceniają wyłączenie z systemu kaucyjnego szkła jednorazowego.

„Co do szkła jednorazowego użytku to nasza propozycja po konsultacjach nie zakłada jego uwzględnienia. Widzimy tu opłatę produktową" – mówił wiceminister Ozdoba (opłata produktowa – rodzaj ekologicznej opłaty, która musi zostać wniesiona przez przedsiębiorcę w przypadku niewykonania obowiązku zapewnienia odzysku, a w szczególności recyklingu odpadów opakowaniowych i poużytkowych).

Wiceminister nie krył, że choć rozumie argumenty o sprzątaniu terenów, jednak resort musiał wysłuchać argumentów przedsiębiorców. „Ta grupa wskazywała, że obciążenia i generowane koszty dla sklepów będą bardzo duże". I faktycznie – np. w lipcu br. Polska Izba Handlu i 16 organizacji branżowych za pomocą konkretnych argumentów alarmowały, że włączenie butelek szklanych jednorazowego użytku do systemu kaucyjnego silnie uderzyłoby we właścicieli mniejszych sklepów, a patrząc na skalę recyklingu butelek szklanych – byłoby to zbędne, a nawet szkodliwe.

eprasa.pl d585177f9f

Komu zależy na wysokich cenach wody i ścieków

Samorządy prawie w całej Polsce wzywają Wody Polskie i Ministerstwo Infrastruktury do natychmiastowego podwyższenia taryf za wodę i ścieki. Odpowiedź, z którą się spotykają, jest jasna – odmowa

Przedstawiciele rządowej instytucji regulującej ceny wody sygnalizują, że trwa przecież kryzys, który szczególnie odczuwają zwykli obywatele, a podwyżki jeszcze bardziej uderzą w domowe budżety. Kuriozalna walka samorządów o wyższe koszty życia w zarządzanych przez nie gminach staje się symbolem wyjątkowo zaskakującego sposobu traktowania mieszkańców. Mają płacić więcej nawet za wodę.

Spółki wodociągowe argumentują, że rośnie inflacja, a tym samym wzrastają ceny usług. Dlatego też wnioskują o zmianę taryf za dostarczanie wody i odprowadzanie ścieków. Zwracają uwagę, że branża zatrudnia ponad 150 tys. osób i jest jedną z kluczowych polskiej gospodarki.

Regulator cen – Wody Polskie – i Ministerstwo Infrastruktury odpowiadają, iż samorządy już mają wystarczające instrumenty, by stosować dopłaty i dofinansować przedsiębiorstwa wodociągowo-kanalizacyjne. Wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk wielokrotnie wyjaśniał, że podwyżki to niezwykle wrażliwa kwestia, a Polacy i tak cierpią z powodu inflacji i na każdym kroku odczuwają rosnące ceny. Dlatego cena wody powinna być jak najbardziej chroniona choćby ze względu na konieczność jej używania i powszechność dostaw do gospodarstw domowych. – Jako rząd nie możemy dopuścić do podwyżek cen za media, jeśli nie są one niezbędne. Dzięki rządowemu wsparciu dla samorządów stawki opłat nie powinny wzrosnąć. Samorządy powinny stosować dopłaty lub bilansować rosnące koszty, by pozostawić ceny wody i ścieków na obecnym poziomie. Zahamowanie wzrostu cen pozwoli ograniczyć inflację i pomoże mieszkańcom. To ważne, gdyż woda jest powszechnym dobrem, które nie powinno być drogie dla zwykłych ludzi – mówił minister we wrześniu, podczas jednej z konferencji prasowych.

APEL DO SAMORZĄDÓW

W ostatnich miesiącach Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie otrzymało 400 wniosków o zmianę obowiązującej taryfy wodno-ściekowej. Aż 150 zostało odrzuconych. We wrześniu br. Wody Polskie opublikowały także apel do samorządów – chodzi o zachowanie dotychczasowych cen za zbiorowe zaopatrzenie w wodę odbiór ścieków. Skąd taki krok? – Zbiorowe zaopatrzenie w wodę i odprowadzanie ścieków są realizowane przez przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne w imieniu samorządów, ale nie można zapominać, że jest to

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d585177f9f

podstawowe zadanie gminy. Zdajemy sobie sprawę z trudnej sytuacji związanej z rosnącymi kosztami energii i inflacją, ale należy też wziąć pod uwagę sytuację mieszkańców naszego kraju – tłumaczy Paweł Rusiecki, zastępca prezesa Wód Polskich ds. Zarządzania Środowiskiem Wodnym. – W naszej ocenie jest to moment, w którym samorządy powinny maksymalnie ograniczyć wzrost cen. Kryzys dotyka nas wszystkich, nie tylko przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne, ale każdą dziedzinę gospodarki, wszystkich obywateli.

SAMORZĄDY DOSTAJĄ WSPARCIE

Temat trafił do... Senatu RP. Kryzysowi ekonomicznemu w branży wodociągowo-kanalizacyjnej poświęcono wspólne posiedzenie senackiej Komisji Nadzwyczajnej ds. Klimatu, Komisji Środowiska oraz Komisji Samorządu Terytorialnego i Administracji Państwowej. Podczas dyskusji reprezentanci samorządów skarżyli się senatorom, że nie otrzymują wystarczającego wsparcia ze strony rządowej, że może się to odbić wkrótce na jakości usług i stracą na tym przede wszystkim odbiorcy.

WSPARCIE

Czy rzeczywiście wsparcie ze strony rządu jest za słabe? Dla przypomnienia – decyzją premiera Mateusza Morawieckiego jesienią doszło do zmian w ustawie o dochodach jednostek samorządowych. Tym samym blisko 13,7 mld zł w wyniku zmian w podatku PIT trafi do samorządów. Każda gmina dostanie pieniądze jeszcze w 2022 r. A to nie wszystko. – Sytuacja samorządów zmieniła się nie tylko ze względu na dodatkowe pieniądze, które zostały przeznaczone, czyli te wspomniane 13,7 mld zł, ale również działania rządu w obszarze zamrożenia cen za energię oraz działalności spółek komunalnych i samorządów. Ta cena została zamrożona do maksymalnie 785 zł. To też są działania, które pozwolą samorządom ograniczyć koszty związane z zakupem energii. Dzięki temu koszty przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych za energię także maleją – zwraca uwagę Rusiecki. – W naszej ocenie tego typu działania rządu pozwalają samorządom przeznaczyć część środków na dofinansowanie. Są oczywiście samorządy w znacznie trudniejszych sytuacjach, są to szczególnie małe gminy, które mają znacznie mniejsze dochody. W takich przypadkach będziemy uważnie weryfikować wnioski o skrócenie taryf. W każdym razie uważamy, że gminy powinny wesprzeć przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne w tak ciężkiej dla nas wszystkich sytuacji – dodaje.

Warto tutaj też wspomnieć, że aż 25 proc. samorządów, które są właścicielami spółek prawa handlowego, przejmuje w różny sposób środki z tych przedsiębiorstw, np. przez wypłaty dywidend, umorzenie udziałów lub sprzedaż nieruchomości infrastruktury sieciowej przedsiębiorstw wodno-kanalizacyjnych. Od 2006 do I półrocza 2022 r. była to kwota ponad 3,5 mld zł. Te środki zasiliły lokalne budżety.

IMPAS?

Po wspomnianych rozmowach w Senacie sprawa podwyżek taryfy za wodę i ścieki stanęła w martwym punkcie. Jak długo ta sytuacja może potrwać i czy przyjdzie w końcu przełamanie? – Mamy nadzieję, że przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne i samorządy podejmą działania. A wnioski składane przez przedsiębiorstwa ograniczą się do propozycji zmian cen tylko w kwestii tych czynników, które są dopuszczalne w szczególnym trybie ustawy. Liczymy też na to, że samorządy podejmą trud i chociaż częściowo sfinansują wzrosty cen. A tym samym ograniczą ten wzrost. Nasze działania zmierzają przede wszystkim do tego, by uchronić mieszkańców przed nieuzasadnionym, gwałtownym wzrostem cen. Obecnie proponuje się wzrost cen za wodę średnio o 45 proc. i za ścieki o 37 proc. – według nas to za dużo w porównaniu ze wzrostami zatwierdzonymi w 2021 r. Oczywiście dalej będziemy prowadzić dialog nad procesem taryfikacji i próbować znaleźć wspólny mianownik. Jednak woda musi być ogólnie dostępna – zaznacza prezes Rusiecki.

Z wniosków procedowanych obecnie w Wodach Polskich wynika, że proponowane wzrosty to 4,47 zł. W przypadku czteroosobowej rodziny w ciągu miesiąca przekłada się to na blisko 54 zł. Czyli rocznie jest to wzrost o blisko 650 zł. A podczas zakończonego w 2021 r. procesu taryfikacji ceny za zbiorowe zaopatrzenie w wodę i odprowadzanie ścieków już i tak wzrosły. – To całkiem spora kwota, szczególnie jeśli mówimy o niezbędnej do życia wodzie. Dodatkowym argumentem przemawiającym za tym, że należałoby się przyjrzeć tym wzrostom kosztów, jest fakt, że przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjne są przedsiębiorstwami monopolistycznymi. Oczywiście jest to monopol techniczny, jednak odbiorca usług nie może dokonać zmiany dostawcy wody i jest ściśle zależny od przedsiębiorstwa i gminy, która dostarcza tę wodę. Rolą regulatora (czyli Wód Polskich) jest kontrola tych kosztów uwzględniających oczywiście przychody przedsiębiorstwa – tłumaczy prezes Rusiecki.

Trzeba też podkreślić, iż wyroki sądów jednoznacznie potwierdziły, że to regulator ocenia, które koszty są zasadne. Tryb „skrócenia" obowiązujących taryf jest trybem szczególnym, wyjątkiem ustawowym. Stąd ocena takiego wniosku różni się od procedury typowego wniosku złożonego przez przedsiębiorstwo po wygaśnięciu obowiązujących taryf. Katalog czynników, które mogą wpłynąć na złożenie wniosku i zmianę cen, jest ustawowo bardzo ograniczony, a wodociągi często nie uwzględniają wyjątkowości tego trybu. Stąd wiele wniosków taryfowych zostało odrzuconych.

ZABRAKNIE WODY W KRANACH?

Czy zatem w ostateczności w Polsce rzeczywiście może nastąpić wodny blackout? Czy istnieje na to realna groźba, jak wskazują niektórzy? – Nie ma obawy wystąpienia wodnego blackoutu. Dostarczanie wody jest ustawowym zadaniem gminy. Tutaj nie może dojść do sytuacji, że samorząd nie wykona swojego zadania ustawowego. Nie może też dojść do sytuacji, że przez brak zatwierdzenia taryfy mieszkańcy nie będą mieli dostępu do wody i ciągłości dostawy. Oczywiście wierzę w mądrość zarządzających przedsiębiorstwami wodno-kanalizacyjnymi i w to, że znajdziemy wspólny mianownik w obronie interesu mieszkańców – uspokaja prezes Rusiecki.

Kamil Gieroba

Materiał powstał przy współpracy z Państwowym Gospodarstwem Wodnym Wody Polskie

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 61/1022/F

eprasa.pl d585177f9f

MIA ÖHRN*

Zagrajmy w kulki

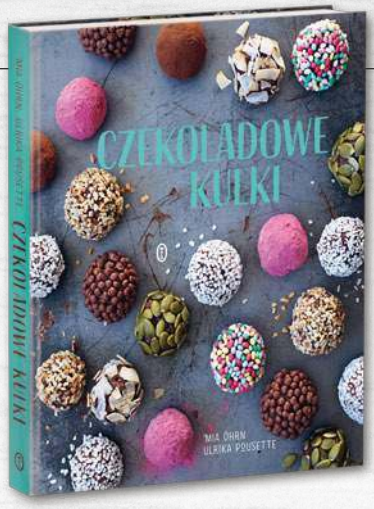

Kulki kajmakowe z gorzką czekoladą i solą morską; z orzechami laskowymi, pestkami dyni i nasionami chia; kulki na patyczkach i w tortowej masie; muffinki z kulkowym środkiem i kulki z bułeczkami cynamonowymi; klasyczne kulki Mozarta (z marcepanem) oraz kulki arakowe, a także te wzmocnione... bekonem i te z cieciorki z lukrecją i figami...

Cukierniczka Mia Öhrn i fotografka Ulrika Pousette – autorki książki, którą dla Wydawnictwa Literackiego przełożyła Ewa Wojciechowska – doskonale wiedzą, jak zagrać z czytelniczymi łasuchami w czekoladowe kulki. Smakowicie i obszernie opisały i pokazały na zdjęciach ponad 30 krągłych słodkości. Tworzonych – w wersji podstawowej – z bakalii i płatków owsianych z dodatkiem czekolady, a także wypełnianych zaskakującym nadzieniem i dekorowanych wedle uznania, potrzeb i upodobań.

Czekoladowe kulki, jak podkreślają autorki, to jedne z najpopularniejszych w Szwecji łakoci. Są podawane na prawie każdej imprezie. Zarówno tej dla dzieci, jak i dorosłych. Można je też dostać niemal w każdej kawiarni.

„Czasem zapominam, jakim genialnym są wynalazkiem, ale już po chwili szybko miksuję masę, formuję kulki i wbijam w nie zęby. I wówczas sobie przypominam. Ależ one są pyszne" – pisze we wstępie Mia Öhrn. I zaraz dodaje, że wśród wielu zalet, które można dostrzec w słodkich kulkach, jest m.in. to, że przyrządza się je dziecinnie łatwo – z prostych, względnie niedrogich składników, które zwykle mamy w domu. Poza tym robi się je szybko (co ważne w sytuacji, gdy dopada nas wielka ochota na coś słodkiego), no i nie trzeba ich piec.

„Kulkami mocy" – wymyślonymi i zrobionymi przez żonę – ponoć chętnie wspiera się przed wejściem na boisko nasz najlepszy piłkarz. Dodają mu siły i energii.

W książce znaleźć też można m.in. ciekawostkę dotyczącą szwedzkiej bułki z kulką. Pierwszy raz napisano o niej 80 lat temu, choć niektórzy twierdzą, że funkcjonowała i wcześniej jako szkolny prowiant m.in. w okolicach Sztokholmu.

Mia Öhrn zapewnia, że ta zwykła pszenna bułka przełożona czekoladową kulką jest wyjątkowo smaczna. „Można by rzec, że to szwedzki krewny francuskiej pain au chocolat (bułeczki z czekoladą). W Szwecji bułka z kulką doczekała się nawet swojego święta, obchodzimy je 10 kwietnia" – dodaje cukierniczka, zachęcając czytelników do własnych kulkowych działań. Na początek proponuje najprostszy, bazowy przepis.

Jolanta Gajda-Zadworna

**szwedzka cukierniczka, współautorka książki „Czekoladowe kulki"*

Czekoladowe kulki (ok. 20 szt.)

Masa: 300 ml płatków owsianych, 100 ml cukru, 1 łyżka cukru waniliowego, 3 łyżki kakao, 3 łyżki wystudzonej mocnej kawy, 100 g masła o temperaturze pokojowej, 1/2 łyżeczki soli.

Posypka: 150 ml cukru perlistego lub wiórków kokosowych (pamiętajcie, że do obtoczenia kulek możecie też użyć barwnika spożywczego w proszku w dowolnym kolorze, mielonych orzechów lub migdałów, pestek dyni, posiekanych, prażonych pistacji, czyli wszystkiego, czego dusza zapragnie!).

1. Przełóż wszystkie składniki do misy robota kuchennego lub zwykłej miski. Zmiksuj je lub wyrób ręcznie na gęstą masę. Skosztuj i ewentualnie dopraw solą, kawą lub kakao. Jeśli masa wydaje się za rzadka, by formować z niej kulki, schłodź ją w lodówce.

2. Uformuj kulki i obtocz je w cukrze lub wiórkach kokosowych. Wstaw do lodówki. Przechowywane w chłodzie nadają się do spożycia przez 2–3 tygodnie.

eprasa.pl d585177f9f

SŁODKO-SŁONY

Przespać przeziębienie

ANNA MONICKA

Sezon grypowy chyba się rozpędza, bo w klasie mojej córki melduje się codziennie mniej więcej połowa składu. Może to efekt obostrzeń, bo każdy kichający czy smarczący osobnik jest odsyłany do domu. W dawnej podstawówce sprawa wygląda podobnie – na zastępstwa przychodziła ostatnio nawet szkolna sekretarka, bo pomór padł i na uczniów, i na grono pedagogiczne. Skoro więc żarty się skończyły, warto zadbać o odporność. Wiem, że buduje się ją nie w ciągu kilku dni, ale przez całe miesiące, jednak warto popić trochę ziół i rozgrzewających mikstur zamiast kaw czy herbat, żeby wypłukać z gardła bakterie i wirusy.

Większość „leków", po które sięgam, każdy ma w domu. To pospolite przyprawy. Nie tylko dosmaczajmy nimi dania, ale też zaparzajmy w imbryku lub termosie, żeby przez cały dzień mieć ciepłe pod ręką. Nie zaszkodzi porobić sobie z nich inhalacje, gdy katar zatyka nos.

Absolutnym numerem jeden jest majeranek. Nie wiem, czy piliście kiedykolwiek majerankową herbatę, a jeśli nie – warto spróbować. Ja suszę latem całe pęki, żeby mieć susz do jesiennych naparów. Osłodzony miodem nie tylko chroni przed przeziębieniami, lecz także ułatwia trawienie. Podobnie działa dzikie oregano w kapsułkach – skuteczny roślinny antybiotyk.

Szałwia również ma moc. Zasłużyła sobie nawet na powiedzenie: śmierć tego nie ubodzie, u kogo szałwia w ogrodzie. Jej balsamiczna gorycz ma zbawienny wpływ na nasze ciało – w herbatach, płukankach do ust, włosów, w kąpieli (ma działanie przeciwgrzybicze).

Cynamon i goździki – zaparzane z imbirem i doprawione cytrusami z miodem – stawiają szybko na nogi i poprawiają jesienią oklapnięty nastrój. Same goździki warto nosić w torebce w małym pudełeczku i żuć, gdy zaczyna drapać w gardle albo gdy boli ząb.

W zimne dni doskonałym wynalazkiem jest hinduska mieszanka przypraw masala chai z imbirem, kardamonem, pieprzem, gałką muszkatołową oraz właśnie goździkami i cynamonem, czasem też z liśćmi laurowymi i anyżem. Zaparza się ją z czarną herbatą w mleku i słodzi cukrem albo miodem. Jest ostra, mocno rozgrzewa, a po wypiciu dobrze jest wskoczyć pod koc i spróbować przespać przeziębienie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Drzewa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Szacunek dla drzew charakteryzuje narody i kraje mądre, o bogatej i rozwiniętej kulturze. Stare, okazałe drzewa są znakiem dobrobytu i zamożności. Takiej, której nie można kupić, bo pracuje się na nią i czeka dziesiątkami i setkami lat.

Kiedy patrzy się na przedwojenne zdjęcia Zaleszczyk, trafia się na takie, na których centralnym punktem fotografii jest zieleń, np. wzdłuż promenady nad Dniestrem. Widać młode, dopiero co zasadzone drzewa. Gdyby miały szansę rosnąć, miałyby dziś ok. 100 lat. W ZSRS takiej szansy nie dostały. Zostały zniszczone, w sumie nieważne, czy jako przejaw burżuazyjnej Polski, czy podczas działań wojennych – przy okazji lub celowo, tak jak i dzisiaj Rosja pozbawia Ukrainę jej drzew i dziedzictwa przyrodniczego. Stare drzewa są więc także znakiem tego, że mieszka się w kraju, który nie jest nękany wojnami.

Lekceważący stosunek do drzew i ich niszczenie jest zaprzeczeniem wymienionych wartości. Do różnych kolei dziejowych dochodzi przesiąkanie złymi ideami. Wiele polskich miast (zdarzają się jeszcze chlubne wyjątki), już i tak uboższych o aleje i parki utracone podczas działań wojennych i innych zawieruch dziejowych, nie widzi wartości w starych drzewach i zamienia swoje skwery, rynki i cmentarze w betonowe lub kostkowe patelnie, usuwając wszystko, co rośnie. Wielki problem jest także z wyznaczaniem nowych terenów pod parki i ogólnie pojętą zieleń – zielone jest to, co powstało niegdyś i czemu udało się przetrwać.

Zmiany prawa ułatwiające usuwanie drzew, czy to pod inwestycje, czy na opał, są bardzo delikatnym tematem. I złym kierunkiem. Nie wspomogą rozwoju gospodarczego ani tym bardziej nie rozwiążą problemów energetycznych. Za to doprowadzą do kolejnego zaniku drzew, które miały szansę rosnąć ileś lat i zostaną usunięte, chociażby na wszelki wypadek, jeśliby przepisy miały zmienić się znowu.

To nie przypadek, że piękne parki i starodrzewy znajdują się w krajach zamożnych i bezpiecznych. I że w każdej niemal mitologii będącej u podstaw rozwoju bogatych kultur pojawia się drzewo. A ile razy drzewo i wartości z nim związane pojawiają się w Piśmie św., w tym w Ewangeliach?

Nasz stosunek do drzew poza wszelkimi pożytkami z zieleni jest wyznacznikiem kultury.

eprasa.pl d585177f9f

Europa Christi ks. Ireneusza

Alina Czerniakowska

Brakuje mi felietonów ks. Ireneusza Skubisia i wszelkiej bogatej działalności dla dobra Polski i świata, niestety ciężka choroba uniemożliwiła jego dalszą intensywną pracę.

Pamiętam międzynarodowe, znakomicie przygotowane sympozjum rozpoczęte w Częstochowie zawierzeniem Jasnogórskiej Królowej Polski, a potem w Warszawie, na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, pt. „Zjednoczona Europa – pomysł wierzących polityków, kandydatów na ołtarze". Tak rozpoczął publiczne działanie Ruch Europa Christi, wielkie przedsięwzięcie od dawna przygotowywane przez ks. Ireneusza Skubisia, twórcy i przez ponad 30 trudnych lat naczelnego redaktora katolickiego tygodnika „Niedziela", założyciela Fundacji „Myśląc Ojczyzna", człowieka mającego w sobie naturalną radość działania i czynienia dobra.

Nigdy nie zapomnę atmosfery niezwykłego spotkania jubileuszowego ks. Ireneusza Skubisia, opiekuna młodzieży akademickiej. Przyjechali wówczas dawni studenci, wychowankowie ks. Ireneusza. „Akademicy z piwnicy" – jak o sobie mówili – wspominali klimat uczelni lat 70. i działalność w duszpasterstwie akademickim z „przewodnikiem, przyjacielem, dobrym, cudownym człowiekiem, którego można było o wszystko zapytać, poradzić się i zawsze otrzymać pomoc". Byłam pod ogromnym wrażeniem serdeczności, spontaniczności, wspólnych śpiewów piosenek z tamtych lat: „Więc żyjmy, jak można najpiękniej, bo życie to skarb w naszych rękach...". Przywieźli z sobą gitary, dawne zeszyty z nutami i tekstami, były wspomnienia, wzruszenie, wzajemna bliskość, a przecież minęło tak wiele lat od tamtych studenckich czasów. Teraz ludzie różnych profesji, często z tytułami naukowymi, sprawującymi wysokie stanowiska na spotkaniu ze swoim akademickim przewodnikiem poczuli się znowu grupą młodzieży studenckiej, która – jak to zwykle wtedy bywało – szła przez życie pod prąd w trudnych latach PRL.

Powróciłam do tamtego spotkania, bo ono najlepiej obrazuje postać ks. Ireneusza Skubisia. Jego wszechstronne działania pokazywały współczesnemu światu, na czym polega istota człowieczeństwa i sens naszego życia. Stworzony przez niego projekt Europa Christi przypomina podstawowe myśli przyświecające założycielom jednoczącej się Europy. Geopolityka i myśl ekonomiczna, przestrzeganie norm moralnych w polityce, praca u podstaw i modlitwa, żywa chrześcijańska wiara i niezłomna nadzieja na lepsze jutro – to najważniejsze myśli trzech wybitnych mężów stanu: Roberta Schumana, Konrada Adenauera i Alcidego De Gaspariego, przywoływanych teraz przez głos z Polski. Ks. Ireneusz Skubiś napisał wtedy tekst, który jest swojego rodzaju odezwą do narodów Europy: „Europa Christi – Europa Chrystusa – to drugie imię naszego kontynentu. Nie: Europa Mahometa, Marksa i Engelsa czy inna, ale właśnie – Chrystusowa. Zakorzeniona w filozofii greckiej i w prawie rzymskim, lecz przepojona nauką Jezusa Chrystusa, co widać w jej szeroko pojętej kulturze z bogatą architekturą i sztuką sakralną, ze świętymi i bohaterami, ze sposobem myślenia i życia. Jest nadzieja, że ta myśl wbrew różnym wrogom, wbrew silnym liberalnym mediom i tendencjom obecnego kierownictwa Unii Europejskiej zwycięży i Europa powróci do korzeni, do swoich założycieli, dzisiaj będących kandydatami na ołtarze. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powitają się tak na nowo wszystkie narody Europy".

„Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?" – to wstrząsające pytanie zadał Francuzom Jan Paweł II w 1985 r. Ks. Ireneusz Skubiś podkreślał: „Jeśli będą chcieli zniszczyć naród i Polskę, to uderzą w Kościół. Tę myśl powtarzali wszyscy wielcy duchowni i świeccy, począwszy od Jana Pawła II i prymasa tysiąclecia, kard. Stefana Wyszyńskiego czy narodowego wieszcza C.K. Norwida. Prymas August Hlond już zaraz po wojnie, gdy Kreml zaczynał na polskich ziemiach swój okupacyjny terror, mówił: »Zwycięstwo, kiedy przyjdzie, będzie to zwycięstwo przez Maryję«".

Pamiętając te znamienne słowa wielkich duchowych przywódców narodu, stają się dla nas dzisiaj czytelne wszelkie uderzenia, zohydzania ludzi Kościoła i profanacje symboli tak drogich i świętych dla nas jak wizerunek Matki Bożej Jasnogórskiej Królowej. Polska duchowość od wieków opiera się na Bogu, naród doskonale rozumie, co znaczy nieść swój krzyż tak jak Chrystus. Pokazał to chociażby ostatni nasz męczennik ks. Jerzy Popiełuszko.

„Kulturę europejską tworzyli męczennicy, ks. Jerzy jest patronem naszej obecności w Europie za cenę ofiary z życia tak jak Chrystus. Taką miarę europejskości pragniemy podjąć i kontynuować i nie pozwolimy sobie zaniżyć tej miary. Świat potrzebuje Europy odkupionej u progu czasów, które nadeszły i które idą" (Jan Paweł II, Włocławek, 1991 r.).

Dzisiaj w Polsce, wbrew temu, co propagują wrogie media, kościoły są wypełnione wiernymi, przybywają młodzi ludzie w poszukiwaniu prawdy, wartości nadających sens ludzkiemu życiu, które nie kończy się razem ze śmiercią.

Ks. Ireneusz Skubiś pisał: „Wszyscy ci, którzy za pomocą walki z Bogiem, z naszą wiarą, z Kościołem w Polsce chcą zdobyć władzę, popularność i uznanie, szkodzą najbardziej sobie, polegną wcześniej czy później, bo przecież mamy w historii świata przykłady walki z Kościołem, gdy zło tryumfowało, ale wiemy, jak gorzkie były te zwycięstwa i jak kończyły się dla tych, którzy siebie postawili w miejsce Boga. Na naszych oczach spełniają się słowa Jezusa: »Ty jesteś Piotr (czyli skała) i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą«".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl d585177f9f

Kapsuła czasu

Piotr Cywiński

„Jesteś jeszcze bardzo młody i nie wszedłeś w okres dojrzewania? Możesz wziąć blokery, w ten sposób zyskasz więcej czasu, by spokojnie pomyśleć: jakie ciało mi odpowiada" – zaproponował niemieckim dzieciom tęczowy portal LGBT+. Wystarczy wziąć dawkę hormonów i bardzo młodemu lub młodej nic nie wyrośnie, póki się nie zdecyduje, czy chce być mężczyzną, czy kobietą. Ów portal jest wspierany przez Federalne Ministerstwo Rodziny, Seniorów, Kobiet i Młodzieży, kierowane przez Lisę Paus z partii Zielonych. Można? Można!

Dzieci to nasza przyszłość, ale trzeba zadbać, coby była właściwa ta przyszłość. Pewna rodzina z Rendsburga nie puściła dziecka na klasową wycieczkę do meczetu. A że „Ordnung muss sein", więc rodziców utrudniających szkole proces wychowawczy ukarano grzywną 300 euro. Niech się cieszą, że Jugendamt, znaczy, Urząd ds. Młodzieży, nie odebrał im dziecka, bo i takie kary są przewidziane. Można? Można!

Także lokalne władze Fryburga (Freiburg), gdzie w radzie miasta prym wiodą zieloni i czerwoni, nie pozwoliły rodzicom pluć sobie w kaszę i wbrew ich protestom uchwaliły Veggie-Plan z nakazem wycofania mięsa z przedszkolnych i szkolnych stołówek. Wszak dzieci muszą się właściwie odżywiać. Można? Można!

W szwedzkim mieście Umeå zakazano dzieciom modlenia się przed posiłkami. Żadne tam: „Pobłogosław Panie Boże nas, ten posiłek i tych, którzy go przygotowali...", przedszkolaki mają odmawiać po prostu: „Dziękujemy za słońce i deszcz oraz za żywność na naszym stole". Żeby wyjść naprzeciw tym dobrze odżywionym i wyrośniętym, Kościół anglikański rozważa możliwość udzielania powtórnego chrztu. Bo jeśli ktoś się urodził chłopcem, a później coś sobie uciął i coś przyprawił, to jako kobieta powinien mieć prawo do ponownego sakramentu, żeby Bogu nie sprawiać kłopotów z identyfikacją na sądzie ostatecznym. Amerykański stan Oregon uwzględnił również tych, którzy do końca się nie zdecydowali na jedną z 56 płci. Na życzenie wpisuje im się w papierach „x". Można? Można!

A co, gdy ktoś czuje się małpą albo osłem? Też coś należałoby napisać. Przy okazji postuluję wykreślenie Boga z dziękczynnych modlitw dorosłych, wystarczy np.: „Dziękuję za merca, za to, że jeszcze mogę... (do dowolnego uzupełnienia) i za tę cycatą sąsiadkę z przeciwka. Dla malkontentów, którym nie podoba się cywilizacyjny postęp, wymyślono w Szwajcarii przenośną kapsułę Sarco, w której można w dowolnym czasie i miejscu odciąć sobie dopływ tlenu. Można? Można...

Genialny improwizator o delikatnym zdrowiu

Adam Ciesielski

Solowy album „Bordeaux Concert" Keitha Jarretta zachwyca improwizacjami legendarnego amerykańskiego pianisty. Ale też budzi niepokój o zdrowie 77-letniego artysty, który jest częściowo sparaliżowany i raczej nie wróci już do koncertów i nagrań

Naukę gry na fortepianie zaczął jako trzylatek. Szybko próbował też komponować, inspirując się zarówno muzyką klasyczną, jak i synkopowaną. Mając 15 lat, trafił na studia do Berklee College of Music. W 1966 r. ruszył w świat z Charlesem Lloydem. Rok później z kwartetem tego saksofonisty był rewelacją Jazz Jamboree w Warszawie. W 1969 r. wypatrzył go Miles Davis, w którego składach Keith przez dwa lata grał na klawiaturach elektronicznych (na zmianę z Chickiem Coreą i Herbiem Hancockiem).

Współpraca z Milesem nobilitowała Keitha, jednak po rozstaniu z nim Jarrett wrócił do klasycznego fortepianu. Na tym instrumencie czarował jako lider własnego combo z Jackiem DeJohnette na perkusji i Garym Peacockiem na basie. W 1985 r. i w 2003 r. w tym towarzystwie oklaskiwaliśmy go w warszawskiej Sali Kongresowej. Były to magiczne wieczory. Publiczność tonowała reakcje, bojąc się rozproszyć drażliwego artystę, który grał jak natchniony i wydawał oczywiście znad klawiatury słynne okrzyki, kopiowane przez wtórnych naśladowców na całym świecie. Na koniec wybuchła burza braw.

Keith Jarrett, „Bordeaux Concert", wyd. ECM/Universal

Nie mieliśmy w Polsce okazji słuchać Jarretta w solowym koncercie, a Keith jest tu zjawiskiem wyjątkowym. Wydany przez ECM „The Köln Concert" z 1975 r. jest jego najlepiej sprzedającym się solowym albumem jazzowym w historii. Zarejestrowany w 2016 r., a wydany teraz z archiwów Manfreda Eichera „Bordeaux Concert" to jedno z wielu podobnych solowych przedsięwzięć bohatera. Jego 13 części składa się na barwną, zróżnicowaną stylistycznie i nastrojowo suitę. Chciałoby się znów posłuchać jazzmana na żywo. Ale to mało realne, bo Jarrett, od ćwierćwiecza cierpiący na syndrom chronicznego zmęczenia, doznał kilka lat temu dwóch udarów mózgu i paraliżu lewej części ciała. Trzymajmy kciuki za jego zdrowie.

eprasa.pl d585177f9f

PRZEZ ŚWIETLIK

Narodowa nieatomowa

Wiktor Świetlik

Niekiedy, by czemuś, jakiejś inicjatywie szkodzić, nie trzeba otwarcie być przeciwko niej. Wystarczy zastosować obstrukcję, strajk włoski, mieć nieustanne pytania, doprowadzać procedury do absurdu. Niestety, ostatnio coraz częściej dotyczy to racji stanu.

Mniej mnie zdziwił marszałek Senatu, który tłumaczył, że kierowana przez niego izba ma problemy z akceptacją kwestii wniosku o niemieckie odszkodowania, bo z MSZ jakiegoś kwitka nie dosłał. Domyślam się, że kwestia roszczeń jest panu Grodzkiemu bardzo bliska, szczególnie uwzględniwszy, że podstawowy plan na powrót do władzy jego partii to zagłodzenie Polski brakiem funduszy europejskich, wprowadzane przez niemiecką komisarz i raczej pod dyktando niemieckiej polityki.

Zaskoczyli mnie za to panowie z Konfederacji, a sądziłem, że już nie mogą. Na konferencji obwieścili bowiem, że nie podoba im się plan budowy elektrowni atomowych w Polsce. Dla przypomnienia konkurujący z sobą premier i wicepremier w zeszłym tygodniu obwieścili każdy z osobna, że podpisują kontrakty na elektrownie jądrowe. Jeden z USA, drugi z Koreą Południową. Widać konkurencja niekiedy służy, nawet wewnątrzrządowa.

Ale nie wszystkim, bo z miejsca uruchomiła się gromadka konfederatów, w tym posłowie Braun i Winnicki. Niby nie to, że są przeciwko samym elektrowniom, ale wszystko za zamkniętymi drzwiami, drogo, uzależni nas od USA itd. Ogólnie na kontrze. Oczywiście możemy toczyć publiczną debatę aż do czasu, kiedy autentycznie nam prądu braknie i będziemy musieli kupować go od litościwych sąsiadów, którzy do tego czasu kilka elektrowni postawią. Pan Braun zresztą zapewne optowałby za technologią rosyjską sprawdzoną w Czarnobylu. I niestety mam coraz więcej wątpliwości, czy jego działania wynikają wyłącznie z dziwactwa, bo szczerze mówiąc uderzanie w kontrakty na elektrownie akurat teraz, gdy tak ich potrzebujemy, jest w interesie kilku państw, ale jednego szczególnie. I nie jest to Polska.

Roman Dmowski (testament)

Lech Makowiecki

Jestem dumnym Polakiem,
Polskie mam obowiązki
Siłę daje mi Naród,
Wiedzę – Historia Polski...

Swój czy obcy nikczemnik
Już nie będzie mną gardził
Powstajemy dziś kolan
Zjednoczeni i hardzi...

Dość już naszej bierności,
Świętowania dni klęski!
Bóg, Ojczyzna i Honor
Wiodą nas ku zwycięstwu!

Refren:
Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie
I każdy Moskal, każdy Prusak już to wie!
Naród się zbudził, stanął karnie niczym wojsko...
Jestem Polakiem! I'm Polish! Je suis Polonais!

Pseudointeligencja
Co swój kraj zaprzedaje...
Ci „esteci" bez smaku...
„Patrioci" na wynajem...

Kosmopolici butni
I bezwstydni frustraci...
Naród właśnie was przejrzał
I z nawiązką odpłaci...

Wołam dziś do pokoleń:
Usłysz moje orędzie!
Nie pytaj: jaka Polska?
Lecz czy w ogóle będzie...

Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie...

(fragment koncertu „Polska")

eprasa.pl d585177f9f

Michał Korsun prezentuje: „Martwa natura nad Zegrzem", czyli twórczość rosyjskich dyplomatów

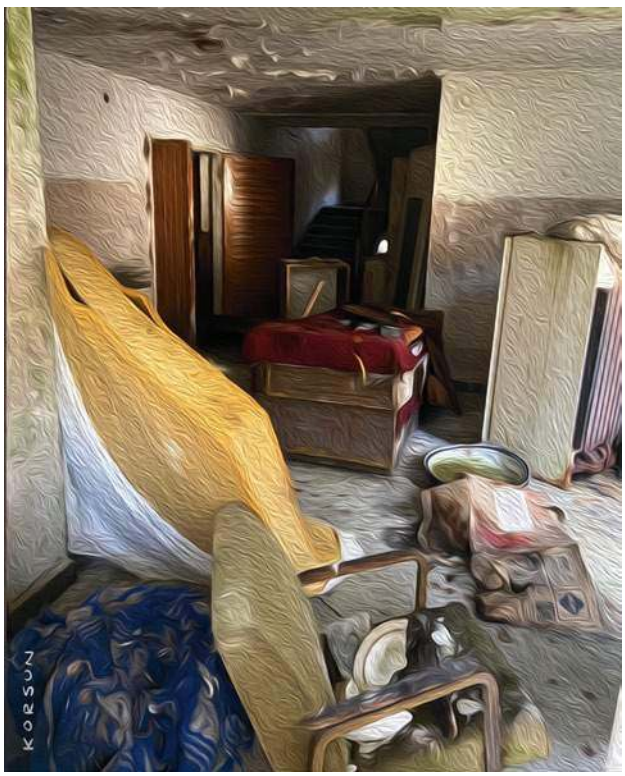

Na podstawie fot. Michał Gzowski/Lasy Państwowe

Wycinki z przeszłości

„Po długim oczekiwaniu nastąpiła oficjalna prezentacja Wartburga 1.3 z 4-suwowym silnikiem" – pisał tygodnik „Motor" w listopadzie 1988 r. I dodawał, że laikom zastąpienie taką jednostką napędową dotychczasowego silnika dwusuwowego może się wydawać proste. Niesłusznie. „Aby mogło to nastąpić, należało rozbudować kilka zakładów produkcyjnych" – wyjaśniała redakcja. Co ciekawe, NRD-owski przemysł nie był już w stanie samodzielnie stworzyć takiego silnika, zakupiono więc w RFN dwie licencje na produkcję nowoczesnych silników – do wartburgów i trabantów. W latach 90. takie pojazdy można było spotkać i na naszych drogach. Dziś to już jednak muzealna historia.

(mk)

Kilka westchnień kapuście poświęconych

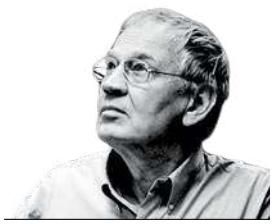

Leszek Długosz

Kilka myśli przelotnych
W ekspresie Warszawa – Kraków
(Wygodnie ciepło czysto
Za oknem późno pustka)
– Szklisty przymrozek października
– Doszczętne uprzątnięcie
Przegrana batalia lata i nikt już
Nikt i nic i tylko pofantazjujmy?
Ona
– Ostatnia schodzi z pola
Kapusta – Brassica

Jak oddział rzymskich wojowników
Choćby i w pień, ale do końca
Na stanowisku
Posiniały z zimna tłumek
Wyłącznie kapuściane głowy
Nabite jedną myślą: I l e
I l e t o j e s z c z e m o ż e p o t r w a ć?
A jeśli wie?
A jeśli zdaje sobie sprawę?
O komfortowe czaszki mej igraszki
Rozchełstane smakoszostwo pamięci
Faszerowanych gołąbków uroki
Pierogów pokumanie się z grzybami
Pańskich sałatek cienko przykrawanych wdzięki
Kapuśniakowy chlipot przaśny
O rozpasanie myśliwskiego wreszcie bigosu
Czy choćby to po sąsiedzku
Skromne danie – parę listków wprost (sauté)
W klatce obok – obiadek króliczy...
Tak skończyć?
Więc taka to przyszłość?
O współpodróżni, współbiesiadnicy
Jak łatwo myślą mlasnąć
Czas sobie dekorować miłą
W podroży retoryką
Lecz tak naprawdę – wiedzieć?
Do końca znać scenariusz?
W opustoszałym zostać polu
Po wszystkich już, po wszystkim
I czekać?
I z drżeniem czekać – kiedy
Tasaka spadnie zimne ostrze
Wtedy przyznacie, w t e d y...

Ot kilka westchnień moich
Kapuście poświęconych. W ekspresie
Więc przelotnie (na trasie Warszawa – Kraków)
Kapusta, przypominam – Brassica

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl d585177f9f

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Ulubiony oficer werbunkowy

Może właśnie leży obok ciebie... Nawet gdy wyłączysz powiadomienia, wyciszysz połączenia, to i tak domaga się uwagi. Chce, byś go potrzymał, zajrzał. Już zdążył cię oswoić. Ma wbudowane liczne technologie uzależniające. Szczególnie skuteczne wobec twoich dzieci i wnuków. *Towarzysz smartfon*.

ECH, TO MŁODE POKOLENIE

Ponoć ludzie starzy na młodych, na upadek ich obyczajów narzekali zawsze. Ponoć jest jakiś zapis na ten temat już z epoki starożytnego Sumeru. Czyli w sumie: nie ma się czym niepokoić.

Uważamy jednak, że *w sumie* podstaw do niepokoju nie brakuje. Oto krótkie historyczne spojrzenie na kłopoty z młodymi.

Społeczeństwa trwają i rozwijają się, m.in. dzięki tzw. transmisji kulturowej. Rodzice – obok świata sąsiedzkiego, obok wspólnot religijnych i szkoły – przekazują dzieciom kod kulturowy swojego społeczeństwa. Gdy świat rozwijał się bardzo powoli – było tak przed epoką kapitalizmu – kod kulturowy świata nowego pokolenia nieznacznie różnił się od kodu pokoleń wcześniejszych. Doświadczenie zgromadzone przez odchodzące pokolenie zachowywało swoją przydatność dla kolejnego. Stąd pewnie brał się autorytet ludzi starych przyćmiewający ich niedołężność. Warto było iść do nich po radę, gdyż stałość warunków życia społecznego oznaczała przydatność ich wiedzy.

Kapitalizm w dużej mierze to unieważnił. Zmiany tak przyspieszyły, że doświadczenia rodziców coraz częściej stawały się zupełnie nieprzydatne w obliczu wyzwań, przed którymi muszą stać dzieci. Stąd już blisko do lekceważenia starszych. Kurczowo trzymając się życia i swoich majątków, nie pozwalają młodym rozwinąć skrzydeł.

Kapitalistyczny dynamizm wprowadził nową jakość – napięcia międzypokoleniowe na wielką skalę

Nie sądzimy, by konflikt pokoleń był powszechny w każdej epoce, ale pewnie w każdej znajdziemy młodych kontestujących pozycję ludzi starych. Przez wieki były to jednak nieliczne przypadki. Dopiero kapitalistyczny dynamizm wprowadził tu nową jakość – napięcia międzypokoleniowe na wielką skalę.

NIEŚWIADOMI AGENCI ROZWOJU

Połączenie dwóch żywiołów: technologicznego i rynkowego, spowodowało, że młodzi w pewnym sensie stali się agentami cywilizacyjnej zmiany. Oszołomieni nowinkami, pierwsi je wprowadzali w życie, łamiąc opór starszych.

Przez wieki byli jednak agentami procesów żywiołowych, agentami, którymi na szerszą skalę nikt nie zarządzał. „Agenturyzacja" młodego pokolenia była spontanicznym procesem towarzyszącym rosnącemu w siłę kapitalizmowi. Choć można powiedzieć, że młodych „werbowano", by działali na rzecz postępu, to działo się to w sposób zasadniczo rozproszony, nierównomierny oraz – gdy spojrzymy na to z perspektywy dynamiki zdarzeń XXI w. – względnie powolnie.

ILE POKOI, TYLE TELEWIZORÓW

Gdy w Polsce pojawiły się pierwsze telewizory, pamiętamy to, integrowały one życie lokalne. Nie tylko rodzinne – gdy cała familia gromadziła się przy „pudle" – ale i sąsiedzkie, gdy krewni i znajomi specjalnie się schodzili, by obejrzeć jakiś szczególnie modny program lub transmisję. A potem to wspólnie komentowano.

Potem telewizja zaczęła nadawać na więcej niż jednym kanale, telewizory staniały, nasze mieszkania się powiększyły i nastąpił odwrotny proces. Rodzice i dzieci rozeszli się po swoich pokojach, by każdy, unikając sporów o to, kto będzie szefem pilota do zmieniania kanałów, mógł *w spokoju i samotnie* oglądać to, na co ma ochotę. Młodzi oglądali „nowoczesne" programy, a starzy swoje starocie.

Zatem dobrobyt przyniósł także oddalenie, izolację. I młodych w roli nieświadomych agentów tego samoczynnie rozwijającego się trendu. Ale to był tylko wstęp do tego, co w ostatnich dekadach zmienia się na naszych oczach.

Młodzi w dalszym ciągu są nieświadomymi zwykle agentami potężnych sił niosących zmiany – i te lepsze, i gorsze – ale dwie rzeczy są nowe. Dzisiaj każdy agent, nie tylko ten młody, ma swojego oficera werbunkowego (ba, nosi go z sobą). A każdy agent werbunkowy ma swoją centralę, która wydaje mu polecenia, jak programować agentów.

O tych centralach zarządzających agentami, którzy nasycają nasze rodziny antyrodzinnymi wartościami, za tydzień.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 53/0922/F

eprasa.pl d585177f9f

II Zielone forum wGospodarce.pl

Czy wojna i kryzys energetyczny mogą zatrzymać zieloną transformację?

14 listopada przeczytaj relację z Forum

na łamach tygodnika SIECI

PARTNERZY:

amazon
BGK Bank Gospodarstwa Krajowego
Enea
ORLEN
GPW
LIDL
Energa Obrót | Grupa ORLEN
PGE Polska Grupa Energetyczna
PGNiG
PKO Bank Polski
PFR Polski Fundusz Rozwoju
PZU
TAURON

Gazeta Bankowa
SIECI
wPolityce.pl
W POLSCE PL
wGospodarce.pl

eprasa.pl d585177f9f

KOLEO

*Wybieram **pociąg, bilety** kupuję w **KOLEO***

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

100% miłości do kolei

eprasa.pl d585177f9f